

№. 655

ROK 1812.

CIEKAWY POWIEŚCI

MIESIĘCZNIK, POŚWIĘCONY NAJWYBITNIEJSZYM
POWIEŚCIOM I ROMANSOM POLSKIM I OBCYM.

Nr. 8 □ Sierpień 1912

ROK 1812. Tom I.

Redaktor: □ Wydawcy:
ARTUR OPPMAN (Or-Ot). GEBETHNER I WOLFF.

ROK 1812

Powieść historyczna w 2-ch tomach

==== Według romansu ====
LUDWIKA RELLSTABA

Tom I

Z 6-IU ILUSTRACYAMI



WARSZAWA, NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SP. □□□□ 1912

DRUKIEM PIOTRA LASKAUERA
WARSZAWA, NOWY-ŚWIAT 41.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

I.

W kwietniu roku 1812 młody Niemiec, Ludwik Rosen, znalazł się o zachodzie słońca przed miasteczkiem Duomo d'Ossola, na zboczu Simplonu. Ponieważ wyruszył pieszo z Baveno, miasteczka leżącego nad Lago Maggiore, był dosyć zmęczony, jakkolwiek ta wędrówka przez olbrzymi ogród, wysokim pasmem alpejskiem od ostrych wiatrów północnych zabezpieczony, gotowała mu prawie na każdym kroku wciąż nowe radości i rozkosze. I byłby może piękno tego kraju jeszcze żywiej odczuwał, gdyby nie to, że przybywał z Włoch południowych, po spędzeniu zimy częścią na Sycylii, częścią w Neapolu, częścią w Rzymie. Nie mógł pozostać dłużej w tym pięknym kraju, który nie stracił charakteru spokojnego schroniska sztuk pięknych, otoczonego najbliższą opieką bogów, chociaż gwałtowny huragan wojenny wstrząsał do głębi całym kontynentem europejskim. Lecz właśnie ostatnie wypadki polityczne zmusiły go do jak najrychlejszego powrotu. Matka jego i siostra mieszkały dotychczas w Dreźnie, prowadząc życie niezależne, ciche i zamknięte. Ludwik stracił ojca

jeszcze w latach dziecięcych. Co było przyczyną jego śmierci, nie wiedział wcale, gdyż matka nie chciała mu tego bliżej wyjaśnić. Ostatnie cztery lata były dla północnych Niemiec dosyć spokojne, tak iż dwie samotne kobiety mogły się obejść bez męskiej opieki. Ale teraz po wszystkich drogach ciągnęły kolumny wojsk francuskich; z rozpoczynającą się wojną, Niemcy przeistoczyły się znowu w olbrzymi obóz. I dlatego Ludwik powracał do miasta rodzinnego, aby opiekować się matką i siostrą—powracał z trwogą w sercu, na samo wspomnienie nieszczęsnej zdeptanej ojczyzny. Ludwik miał lat dwadzieścia trzy, a przecież jest to wiek, w którym zarówno szczęście jak i troski najsilniej się odczuwa. Pomimo młodości umysł jego był poważny, dojrzewał bowiem szybko w epoce obfitującej w tyle zdarzeń nadzwyczajnych.

I oto teraz stanął znowu przed olbrzymiem, śniegiem okrytem pasmem gór, które dzielią poważną niemiecką ziemię od wesołej, swawolnej Italii.

Powoli zbliżał się do miłego miasteczka, ostatniej miejscowości włoskiej, która mu miała użyczyć noclegu. Zobaczywszy po lewej stronie drogi małe wzniesienie, mimowoli uległ pokusie, aby z jego szczytu rzucić ostatnie spojrzenie pięknemu krajowi, który przez tak długi czas leczył jego troski słodką pociechą. Podążył tedy przez świeżo skoszoną, aromatyczną łąkę, prosto na wierzchołek pagórka. Stamtąd mógł obserwować dokładnie miasteczko, które, jak zwykle na południu, ożywiało się o wieczornej godzinie. Na polach zieleniło się już wszystko w pełni rozwoju, kiedy za kolosami góorskimi, które zaczynały się za miastem, prawdopodobnie wszystko spowite było jeszcze głuchym snem zimowym. Ale tutaj rozległe łąki były podobne już do różnokolorowego

dywanu. Zboża wystrzeliły wysoko, nawet i winna latorośl ocieniać poczęła czyste, małe domki.

Ludwik miał po prawej stronie daleko ciągnącą się drogę, po lewej zaś rynek i uliczki Duomo d'Ossola leżały prawie u jego stóp. Widział nawet dokładnie, jak wędrowały po targu wesołe dziewczęta włoskie w szerokich kapeluszach słomianych. Mógł także rozróżnić kramik handlarki owoców, która rozstawiła koszyki pełne pomarańcz i fig. Chłopcy rzucali wysoko piłki, a dragoni francuscy, których oddział stał w miasteczku, siedzieli, gwarząc, na ławce przed odwachem. Słyszał huczące daleko odgłosy, które razem splatały się w jedną dziwną całość — głosy rozbawionych chłopców, śmiech dziewcząt, wołania przekupniów; dochodziły nawet w ciszy wieczornej poszczególne tony piosenki jakiegoś wędrownego śpiewaka, który zgromadził dokoła siebie wielkie koło słuchaczy. I oto to miniaturowe a barwne życie ludzkie, które toczyło się pośpiesznie tam na dole, zdawało się klócić z majestatyczną powagą i uroczystą ciszą potężnego pasma gór, które, zanurzone do połowy w mgłę niebieskawej, swe śnieżne głowy kryło już w chmurach.

Ludwik stał zatopiony w myślach; nagle wyrwał go z zadumy odgłos trąbki pocztowej i dziarskie trzaskanie z bąta. Otwarty kocz podróżny, zaprzężony w cztery konie, pomykał szybko drogą z Baveno. Wewnątrz siedziały dwie kobiety, z których starsza wyraźny miała pozór służącej. Młodsza zaś, ubrana w ciemną suknię, przybraną chustką koronkową, nosiła kapelusz słomiany, opasany zieloną woalką, która trzepotała w podmuchach wiatru. I właśnie ten widok poruszył wspomnienie bardzo niedawne. Oto, kiedy po raz pierwszy stanął na ziemi włoskiej, wędrując piechotą przez górę św. Bernarda

do doliny Aosty, spotkał kobietę, której obraz utkwiał mu żywo w pamięci i przypominał się teraz na widok nieznamojącej. Wtedy to właśnie, wstępując na górę, niedaleko już od schroniska, zobaczył karawanę, złożoną, jak mu się zdawało, z podróżujących Anglików. Uwagę jego zwróciła szczególnie postać kobiety, która, chroniąc się przed jaskrawym odbłaskiem śniegu, osłoniła twarz zielonym szalem. Karawany owej nie mógł dogonić, gdyż krótka przestrzeń, dzieląca go od niej, trudną była do przebycia. I tak owa zielona zasłona była mu jedynym punktem wytycznym na białych polach, dopóki wreszcie nie znikła w bramie schroniska. Napróżno spodziewał się, iż wieczorem przy wspólnym stole ujrzy przedmiot swego zaciekawienia. Nieznajoma nie ukazała się, a następnego poranku cała karawana niezwykle wcześniej wyruszyła w dalszą drogę. Ludwik nie spostrzegł się nawet, jak uczucie dziwnej, niewytłomaczonej tęsknoty kazało mu pośpieszyć naprzód, jakkolwiek zamierzał poprzednio cały dzień zabawić w schronisku. Po kilku godzinach drogi odkrył znowu zielony punkcik, którego szukały jego oczy. I był mu teraz sztandarem nadziei, który wiódł go w kraj włoski. Wreszcie Ludwik był tak blisko karawany, że mógł już na nich zawołać. Lecz kiedy droga w nagłym skrócie dalszy ukazała horyzont, ujrzał w odległości stu kroków mały domek ocieniony winną latoroślą, przy którym zatrzymali się nieznajomi. A więc miałyby zniknąć znowu w tej chwili, kiedy Ludwik już ją prawie dogonił?

Fantazya jego pracowała zbyt długo, tworząc rozkoszne przygody, aby mógł się wyrzec tak łatwo wymarzonego szczęścia. Ruszył tedy biegiem naprzód. Tylko raz pragnął zobaczyć oblicze tego bóstwa opiekuńczego, które po czarodziejskich ścieżkach prowadziło go do

kraju sztuk i piękna. Próżne-by jednak były jego usiłowania, gdyby nie pomógł mu przypadek. Oto, mimo pośpiechu, zobaczył jakiś przedmiot błyszczący. Była to bransoletka ze złotym zamkiem. Podniósł ją z zachwytem, bo dawała mu ona prawo zatrzymać powóz, który miał uwieźć nieznajomą.—Stójcie!—zawołał i jednocześnie dał znać ręką, że ma coś ważnego do powiedzenia. Przewodnicy, którzy towarzyszyli podróżnym, pośpieszyli na jego spotkanie, ale on zatrzymał się dopiero przy powozie, w którym siedziała zawoalowana nieznajoma.

— Czyż istotnie jestem tak szczęśliwym — mówił on, posługując się językiem ojczystym — że mogę pani zwrócić jej zgubioną własność?

Z temi słowy podał jej bransoletkę. Młoda kobieta rzuciła zdziwione spojrzenie na Ludwika, potem na swoją rękę.

— Istotnie, to moja własność — odparła — dziękuję panu bardzo.

Dźwięk tych słów zadziwił Ludwika w sposób szczególny, jakkolwiek bowiem wypowiedziano je bardzo płynnie, odznaczały się akcentem wybitnie cudzoziemskim. Ludwik czuł, że twarz jego pokrywa się rumieńcem, i nieśmiało spojrzał na nieznajomą, która teraz odrzuciła swobodnie szal z oblicza. Jej piękna twarz, wdzięk łagodny całej postaci wytrącił go zupełnie z równowagi. Niebieskie oczy, ocienione długimi rzęsami, spoczęły na nim z dziwnym wyrazem niewinności i dobroci, a przyjazny uśmiech doprowadził do wzruszenia, którego wcale nie mógł opanować. Zakłopotany i zaczerwieniony, napróżno usiłował coś odpowiedzieć. Lekki rumieniec pojawił się na twarzy nieznajomej; pochyliła się lekko, pozdrawiając go przyjaźnie. Mężczyzna obok siedzący zdjął kapelusz i w tej samej chwili powóz po-

toczył się szybko naprzód. Ludwik postępował w osłupieniu za znikającym zjawiskiem, utkwivszy spojrzenie w zielonym szalu, który oddalał się coraz bardziej i bardziej. Zdawało mu się, jakoby to wszystko snem tylko było. Od tego czasu obraz nieznajomej nie opuszczał go ani na chwilę — szukał jej w całych Włoszech, ale napróżno.

I oto teraz, kiedy stanął znowu u progu tego romantycznego kraju, tak samo jak wówczas, zobaczył nagle niespodziewanie ten symbol swego szczęścia, swoich nadziei. Pędem więc ruszył z wierzcholka, aby szybko uchwycić przelotne zjawisko. A konie biegły prędko, i Ludwik nie zdążył zabiedz drogę powozowi. Ale przecież w miasteczku trzeba przeprządz konie. Pocieszony tą okolicznością, wierzył, że powóz nie ucieknie mu przecież. Idąc powoli, stanął niebawem na placu przed odwachem, gdzie znajdował się jedyny w tem miasteczku zajazd. W istocie powóz stał tutaj, ale już prowadzono świeże konie, aby je zaprządz. Wielka gromada ciekawych zebrała się około obu kobiet. Oficer dowodzący strażą przedarł się przez ciżbę i, trzymając w ręce papier jakiś, zmierzał wprost do powozu. Na jego widok młoda dama z zielonym szalem zeszła z powozu i postąpiła parę kroków naprzeciw niemu. Oficer, skłoniwszy się, rozmawiał wprawdzie uprzejmie, ale jak można było z jego gestów wywnioskować, w sposób stanowczy odmawiał jej życzeniom. Ludwik zbliżył się do całej grupy i, pragnąc zobaczyć twarz nieznajomej, która odwróciła się w przeciwną stronę, obszedł ciekawych i przedarł się na drugą stronę. O nieba, to była ona! Te same rysy twarzy, tylko wybladłe, jakby zatrwożone, te same piękne niebieskie oczy, tylko łez pełne. Niepowstrzymanem kierowany uczuciem, szedł Ludwik do niej,

pragnąc pozdrowić tę czarowną postać, która niegdyś prowadziła go ku cudom Italii — pozdrowić ją teraz, kiedy Italię opuszcza — pragnął przypomnieć krótką chwilę pierwszego spotkania. Jego odwaga rosła, albowiem nieznamąca była bez towarzystwa; oprócz starego służącego, który siedział na koźle i starej służącej, która znajdowała się w powozie, nie widać było nikogo. Wtem wzrok jej padł nagle na niego. I wówczas po twarzy jej przemknęła szybka, ledwo dostrzegalna błyskawica radości. Ludwik nie wątpił już, że nieznamąca go poznała. Właśnie chciał ją pozdrowić, już prawie usta otwierał, kiedy ona rzuciła się ku niemu szybko, wołając:

— Voilà, mon frère!

Ludwik, zdumiony w najwyższym stopniu, widział w tych słowach jakieś nieporozumienie. Ale, zanim zdołał się opanować, jedno słowo przemówić, zawołała do niego tym razem po włosku tak, aby wszyscy słyszeli:

— Bogu niech będą dzięki, mój bracie, za to, że przybywasz.

A potem dodała cicho, lecz wyraźnie po niemiecku:

— Będę zgubioną, jeśli mi pan zaprzeczy.

Również szybko zwróciła się z powrotem do oficera, wzięła z jego rąk ów papier i, wręczając go Ludwikowi, rzekła znowu:

— Ten pan nie chciał uznać naszego pasportu, albowiem ty nie byłeś razem z nami. Oto są skutki twoich romantycznych wędrówek, kochany bracie.

I znowu dodała po cichu:

— Nazywa się pan hrabia Wallersheim.

Przerażony i zaniepokojony tą dziwną przygodą, pojął jednak niebawem Ludwik, że w jego jest mocy oddać wielką przysługę tej czarującej istocie, która sta-

ła teraz przed nim ze łzami w oczach i z lękiem w sercu. Nie namyślając się tedy dłużej, odparł bez wahania:

— Uspokój się, kochana siostró, ja pomówię z tym panem.

Następnie zwrócił się do oficera i, aby zyskać na czasie i poniekąd wybadać rzeczy, których jeszcze nie rozumiał, zagadnął go:

— Może pan, panie oficerze, zechcę mnie jeszcze raz powtórzyć swoje zastrzeżenia co do tego pasportu. Wie pan przecież dobrze, że w podobnych wypadkach kobiety są zawsze niedoświadczone.

— Ależ od tej chwili — odparł oficer — nie mam już żadnych zastrzeżeń. W pasporcie był pan wymieniony jako towarzysz swej siostry, hrabiny, ale nie było pana wcale. Wprawdzie siostra pana wyjaśniła mi, że pan oddalił się tylko na chwilę, aby przebyć pieszo romantyczną drogę, niemniej jednak w miejscowościach pogranicznych musimy przestrzegać surowych rozkazów, dlatego zmuszony byłem prosić panią hrabinę, aby zatrzymała się tutaj, dopóki pan się nie zjawi. Niech pan jednak będzie pewny, że uważałem za swój obowiązek wysłać jednego z moich żołnierzy na drogę, prowadzącą do Sempione, aby zawiadomić pana o tej przeszkodzie. W każdym razie, radziłbym panu w dalszej podróży nie opuszczać hrabiny, gdyż podobne nieprzyjemności łatwoby się mogły powtórzyć. Dopiero za szwajcarską granicą kończą się nasze prawa i tam też będą mogli państwo podróżować według swego upodobania.

Ludwik, zdumiony do najwyższego stopnia, nie odrzekł nic. Tymczasem stary służący zeszedł z kozła, wziął od niego lekką torbę podróżną i umieścił w powozie. Powiedziawszy oficerowi kilka słów uprzejmych, podał mu Ludwik rękę na pożegnanie, machinalnie wsiadł

do powozu i, prawie nie wiedząc co czyni, zajął miejsce obok tajemniczej nieznajomej.

Oficer skłonił się uprzejmie, wołając: „Bon voyage!“
A powóz szybko potoczył się naprzód.

II.

Ulice miasteczka migały szybko; piękna nieznajoma jednak milczała zawzięcie. A kiedy Ludwik prosił ją o wyjaśnienie tej dziwacznej przygody, odmówiła mu ruchem ręki, w którym malowało się przerażenie. Ludwik pograżył się tedy w najrozmaitsze domysły. Według wszelkiego prawdopodobieństwa towarzysza jego była Angielką, może nawet córką wysoko postawionego męża. Ponieważ wojna wybuchła na nowo, nienawiść Francuzów do Anglików podwoiła się; widocznie też, z politycznych względów, nieznajoma musiała użyć podstępu, aby opuścić kraj, który znajdował się w posiadaniu wrogów jej ojczyzny. Równocześnie jednak serce jego pełne było radości, bo oto cudowne zrządzenie przypadku pozwoliło mu uratować istotę, której słodki wdzięk tak potężnie go wzruszył. Spojrzał na nią i zobaczył, że dreszcz wstrząsa jej ciałem i oddycha z trudnością. Wreszcie zniknęły ostatnie domy na drodze i okolica stała się pusta. Konie, pnąc się pod górę, postępowały powoli. W tej samej chwili piękna nieznajoma chwyciła szybko rękę Ludwika i, przycisnąwszy ją do swych dłoni, rzekła cicho:

— Pan jest moim zbawcą, zbawcą tego wszystkiego, co mi jest najdroższem na ziemi.

Jakby wyczerpana śmiertelną obawą i długiem taniowaniem gwałtownych uczuć, które gromadziły się



w jej piersiach, westchnęła głęboko, i, objąwszy ramionami towarzyszkę, siedzącą naprzeciw, poczęła płakać niepowstrzymanym łez potokiem. Towarzyszka nieznanym usiłowała ją uspokoić i przemawiała do niej w jakimś obcym języku, którego Ludwik nie rozumiał, ale który w żaden sposób nie mógł być angielskim. Nieznajoma przyszła znowu do siebie i, odrzuciwszy zasłonę, skierowała spojrzenie swych niebieskich oczu ku niemu i złożyła ręce jakby w niemej modlitwie dziękczynnej. Wreszcie spojrzenie jej padło znowu na Ludwika.

— W jakiż sposób zdołam się panu odwdzięczyć?— rzekła.

— Odwdzięczyć? — odparł Ludwik głosem, w którym dźwięczało głębokie przekonanie. — Cudownym sposobem zgotował mi los szczęście, o jakim nigdy nie marzyłem, a pani mówi o odwdzięczeniu? Czyżby dlatego, że z ust twoich padło słodkie imię brata? A cóżem ja dla pani uczynił? Wiem tylko to, że pani człowieka obcego, nieznanego obdarzyła nadmiarem szczęścia, hojna, jak bogini z niebios.

— O, pan nie wie wcale — odparła — co pan uczynił dla mnie przez swoje szybkie i odważne zrozumienie sytuacji!

Chciała mówić dalej, ale stary służący, oglądając się uważnie na wszystkie strony, przerwał jej niecierpliwie. I znowu usłyszał Ludwik cudzoziemskie, zupełnie niezrozumiałe słowa. Czasami zdawało mu się, że chwytła hiszpańskie wyrażenia, to znowu słyszał najwyraźniej słowa polskie. Konie ruszyły szybciej, a rozmowa przerywała się niepowrotnie. Wkrótce podróżni znaleźli się na wolnej przestrzeni, na której ostatni skręt drogi pozwalał rzucić spojrzenie na Włochy. Romantyczny kraj leżał przed nimi w purpurze zachodzącego słońca. Ciem-

ne lesiste wzgórze Alp rozszerzały się daleko wśród kwitnących równin; szumiące strumienie snuły się jak wstęgi złociste i srebrne przez dolinę, a białe, błyszczące miasteczko świeciło jasno u stóp góry; dalsze horyzonty znikwały w zmierzchu purpurowym.

— Żegnaj! — zawołał Ludwik głęboko wzruszony.

Jego towarzyszka zwróciła swą piękną twarz w stronę tego rajy, który opuścić musiała. Łagodne wzruszenie pojawiło się na jej rysach, a usta zdawały się przyjaźnie uśmiechać do łyzy, która ledwo dostrzegalna błysnęła w oku.

— Żegnaj! — powtórzyła także, słodkim głosem, wyciągawszy przed siebie rękę.

Było to pożegnanie pełne wzruszenia, pozbawione jednak głębokiego bólu i rozpaczliwej tęsknoty.

Ponieważ droga szła znowu pod górę, rozmowa mogła zawiązać się z powrotem.

Rozpoczęła ją piękna nieznajoma.

— Musi zapewne dziwić pana w wysokim stopniu to, co mu się wydarzyło, ale niespodziewane zjawiska, które wstrząsają całym światem, wprowadzają często kroc ludzi w dziwaczne i tajemnicze sytuacje. W takim położeniu i ja byłam. I gdy już zdawało się, że zguba jest nieunikniona, niebo zesłało mi zbawcę w osobie pana. Czy może mi pan jednak ofiarować swą pomoc i w dalszym ciągu?

— Aż do ostatniego tchnienia — zawołał Ludwik gwałtownie.

— Proszę nic nie przyrzekać — przerwała nieznajoma — dopóki nie dowie się pan, czego żądam. Oto pragnę, aby pan dłużej występował w roli mego brata, i jako taki towarzyszył mi aż do Niemiec. Dodać jednak muszę, że rola ta bynajmniej bezpieczną nie jest.

Ludwik odparł z dumą, iż żadne niebezpieczeństwo go nie przeraża.

— Wiedziałam o tem dobrze — odrzekła nieznajoma — ale muszę wyznać rzecz jeszcze ważniejszą. Mogłabym okazać się panu niewdzięczną i nikkzemnie wyrachowaną, albowiem proszę o pomoc, nie wyjawiając wzamian tajemnicy mego położenia, gdyż ta tajemnica nie jest moją własnością. Inni mają do niej prawo, a mnie wiąże tylko surowy obowiązek. Nie mogę panu wyjaśnić nic więcej, niż to, co sam już zobaczyłeś. Łatwo się można było domyślić, że nie jestem hrabiną Wallersheim, ani Niemką z pochodzenia.

— Jakież tedy imieniem mam cię, pani, nazywać? Czyż twój los na zawsze pozostanie mi nieznanym?

— Nie, nie sędzę — odparła jego towarzyszka łagodnie — a do tej pory, proszę mię nazywać siostrą Bianką. To imię musi panu na razie starczyć za wszystko.

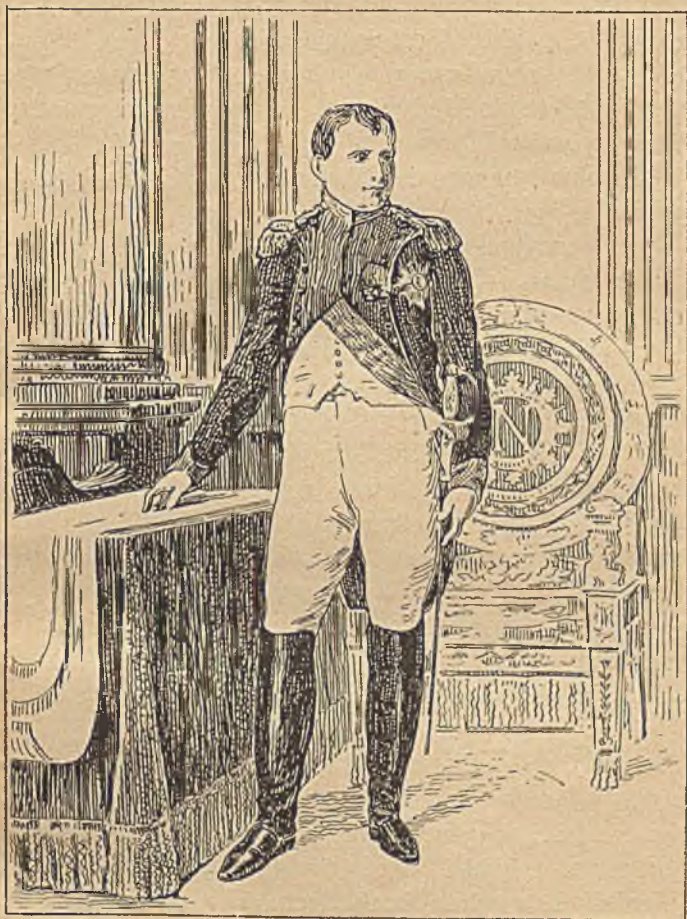
— Siostra! Bianka! — powtarzał Ludwik, a serce jego przepojone było zachwytem. — Siostra! Siostra! — patrzył na nią i zdawało mu się, że ma przed sobą jakieś marzenie, które zniknie z tą chwilą, kiedy oprzytomnieje.

Bianka znowu przerwała milczenie.

— Pan nietylko może nazywać mnie siostrą, — mówiła runieniąc się nieco — ale nawet musi, jeśli nie chce mnie zdradzić. Przypuszczam, że łatwo się pan do tego przyzwyczai i mówić będzie do mnie per ty.

— Obym tylko nie zapomniał — odrzekł Ludwik zakłopotany.

— Nie, napewno, nie uczyni pan tego. Myśl, że ten błąd mógłby być tak bardzo niebezpieczny zarówno dla pana jak i dla mnie, powinna mu zawsze przypominać pana braterski obowiązek. Ale muszę jeszcze odsłonić coś niecoś z mego położenia. Widzi mię pan tu w towarzystwie dwojga



Napoleon I.



starych służących naszego domu, którzy otaczają mnie niestrudzoną troskliwością. Moja podróż byłaby pozbawiona wszelkiego niebezpieczeństwa, gdyby tylko o ich milczenie chodziło. Niestety, jest jeszcze jeden człowiek, który zrabował mi moją tajemnicę. Muszę panu bowiem wyjawić, że aż do Medyolanu kto inny zajmował obecne miejsce pana.

Głębokie wzruszenie zatamowało na chwilę głos mówiącej.

— Oburzające nadużycie — mówiła dalej, rumieniąc się gwałtownie — jakiego chciał dopuścić się ten człowiek, korzystając ze sposobności, zmusiło mnie do ucieczki przed nim. Nie mogę teraz wątpić ani na chwilę, że zemsta uczyniła go zdrajcą. To tłómaczy panu dostatecznie mój pośpiech, moją obawę śmiertelną. Co chwila bowiem spodziewałam się rozkazu aresztowania nas. Wprawdzie zmieniałam drogę, początkowo bowiem celem mojej podróży była Weronia. Ale jakże łatwo zdrajca może mnie gonić na obu drogach. Bo trzeciej drogi niema już wcale. I oto widzi pan teraz niebezpieczeństwo. A muszę jeszcze dodać, że, gdyby pana schwytano razem ze mną, byłby pan bardzo surowo ukarany.

— Największem przestępstwem byłoby tutaj ustąpić tchórzliwie — mówił Ludwik.

Bianka milczała. Noc zapadała coraz głębiej i otulała wszystko swoim szarym płaszczem. Droga pięła się coraz bardziej w górę, a po obu stronach piętrzyły się groteskowe, zębate skały, pomiędzy któremi Veviola w pienistych spadała kaskadach. Wspaniały ten widok wywarłby napewno potężne wrażenie na podróżujących, gdyby spokojny nastrój ich zmysłów pozwolił używać rozkoszy wspaniałego widoku. Bianka, wyczerpana podróżą i wszystkimi przejściami, zdawała się być po-

grążoną w lekkim śnie. Ludwik nie mógł zasnąć, ale to wszystko, co przeżył niedawno, czyniło go nieprzy-
stępnym dla cudów przyrody. Skąły, przepaści i wo-
dospady odbijały się w jego oku, niby w tafli wzbu-
rzonego jeziora: w zarysach niepewnych i chwiejnych.
Jego świadomość, zajęta czem innym, nie była w stanie
zdać sobie sprawy z tego, co go otaczało. Często-
kroć patrzył przed siebie w niemem osłupieniu, i dopiero po-
tem obrazy jawiły mu się, niby ciemne, nieokreślone
wspomnienia. Dusza jego spostrzegła z całą mocą i wy-
razistością tylko obraz Bianki, podobny do postaci łago-
dnej Madonny.

Było już zupełnie ciemno, kiedy podróżni znaleźli
się na moście, przerzuconym nad okropną przepaścią,
na której dnie syczy, niby wąż srebrzysty, Veviola. W do-
mu pocztowym zmieniono konie. Bianka nie przebudziła
się ani na chwilę; zdawało się, jakgdyby dusza jej, wie-
rząc nowemu przyjacielowi, odpoczywała, nie trapiąca
już żadną troską. Droga stawała się coraz dzikszą i strasz-
niejszą. Olbrzymie zwaliska skał otaczały ją wokoło,
a w wązkim przesmyku zaledwie kilka gwiazd błyszczało.
Nagle droga skręciła ostro, a Ludwik ze zdziwieniem
zobaczył przed sobą, na tle czarnej skalistej ściany,
olbrzymiego białego potwora. Jednocześnie rozległ się
głuchy grzmot. Bianka zbudziła się i zawołała przera-
żoną:

— Boże! co to jest, gdzie my jesteśmy?

— To jest wodospad przy wejściu do wielkich gale-
ryi — rzekł stary sługa, odwracając się.

Tymczasem powóz zatrzymał się, a z okien padł
promień światła. Pocztylion klasnął z bicia.

— Co to znaczy — spytała trwożliwie Bianka —
czyżbyśmy zostali tu zatrzymani?

— O ile wiem — odparł Ludwik — jest to granica Lombardyi, przejedziemy most i staniemy po stronie szwajcarskiej.

— Bogu niech będą dzięki! — zawołała Bianka i westchnęła głęboko.

Tymczasem przy powozie zjawily się dwie postacie, otulone w szare płaszcze, z których jedna trzymała w ręce latarnię. Wysokie hełmy, przybrane końskimi ogonami, zdradzały francuskich dragonów.

— Votre passeport, Monsieur? — brzmiało uprzejme, ale stanowcze pytanie.

— Pasport, kochany bracie — rzekła Bianka i przycisnęła się do jego ramienia; dając znak, aby nie zapominał o swej roli.

Ludwik wyciągnął z bocznej kieszeni pasport i podał go dragonom. Uważny obserwator dostrzegłby łatwo przy dziennem świetle niepokój w jego twarzy, bo Ludwik nie był jeszcze przyzwyczajony do przygód podobnych. Oficer wziął pasport i udał się z nim do domu. Po pięciu minutach wrócił i oddał go Ludwikowi ze słowami:

— Votre serviteur, Monsieur le comte!

— Naprzód! — zawołał stary sługa, a powóz ruszył szybko przez most, w stronę wodospadu. Jego loskot ogłuszał ucho, a białe chmury otulały powóz gęstą mgłą. Nagle mgła zniknęła i głęboka ciemność go otoczyła. Loskot wodospadu i rzeki dochodził z oddalenia.

— Gdzie jesteście? — zapytała znowu Bianka.

— Zdaje mi się, że znajdujemy się w tunelu, przez który przechodzi droga.

— To jest galerya Frissinone — ozwał się głos poczytliwa.

Ani Bianka, ani Ludwik nie zauważyli, kiedy znaleźli

się w tunelu. Powóz posuwał się zwolna, a ciemności nie rozjaśniał najlżejszy błysk światła. Po dziesięciu minutach podróżni znaleźli się znowu na wolnej przestrzeni. Bianka odetchnęła pełną piersią.

— Bogu niech będą dzięki! — rzekła. — Lęk przejął mnie już w tej pieczarze. Ale jakież jest cel tego ponurego sklepienia?

— Głównie jest to ochrona przeciwko lawinom, a także bardzo znaczne skrócenie drogi. Cała ta droga jest olbrzymiem dziełem; jak wszystko, cokolwiek uczynić zamierza ten mąż potężny. Zbudował drogę, albowiem ostry jego wzrok spostrzegł, iż jest potrzebna do złączenia jego ludów. Co od lat tysiąca było niespełnionem życzeniem, przed czem dwadzieścia pokoleń ustępowało ze drżeniem, bo zdawało się, iż zadanie to przewyższa ludzkie siły, to uczynił ten śmiały budowniczy tylko jednym skinieniem, tylko dlatego, że jego potężna wola tak chciała.

— Podziwiam go, lecz sądzę, że ten ponury geniusz straszniejszym jest wtedy, gdy pustoszy, aniżeli potężnym, gdy buduje — odparła Bianka — drżąc na wspomnienie wojennych wypadków, które nasunęły się jej na myśl przy tych słowach.

— On burzy po to, aby budować — odparł Ludwik z przekonaniem. — Na potokach lawy, które wyrzuca wulkan, ściele się potem niwa kwiatami bogata.

— Lecz czyż nie należy myśleć o tych, którzy giną, pokryci prochem popiołów? — pytała Bianka.

Ludwik westchnął. Te słowa godziły jego duszę w najtkliwsze miejsce. Przypomniła mu się bowiem jego własna ojczyzna; pomimo wszystko jednak, nie mógł pozbyć się podziwu dla męża, przed którym drżała cała

Europa. Ta sprzeczność niejednokrotnie była mu bolesną. I tembardziej teraz, kiedy zbliżał się do ojczyzny, zagrożonej wojną, która niby zwał czarnych chmur piętrzyła się nad nią coraz potężniej.

— Żyjemy po to — zaczął po chwili cichym głosem — aby pokutować za winy naszych ojców. Żelazne koło przeznaczenia miażdży nas; ach, wiem to aż zanadto dobrze! Ale nie ono jest winne, że wypełnia wyrok nieodwróconej Nemezis. Historia odbywa surowy sąd. A ona sędzi tylko czyny, nie tych, którzy czynili. Dlatego zmuszeni jesteśmy zapłacić za winy naszych przodków. Ale pomimo to i sami nie jesteśmy bez winy.

Oboje umilkli. Droga zawróciła w kierunku wschodnim. W łagodnem świetle księżyca widać było dwa śnieżne szczyty górskie.

— O, Boże! — zawołała do swej służącej i wskazała ręką na potężne góry.

— Wierchołek po stronie lewej to jest Sempione — objaśnił pocztylion, zwracając się do starego slugi.

— Czy prędko tam będziemy? — zapytał ten.

— W wiosce staniemy zaraz, ale na sam szczyt mamy jeszcze dwie godziny drogi.

Istotnie, wioska Sempione, która leży u samego podnóża góry, ukazała się bardzo szybko. Podróżni zatrzymali się tutaj przez parę chwil, bo Bianka nagliła do dalszej drogi. Szybko dosięgli szczytu, a potem powóz błyskawicznie zjeżdżał w dolinę. Po kilku minutach jednak pocztylion zatrzymał konie.

— Co się stało? — zapytał Ludwik.

— Hm, signore — brzmiała odpowiedź — czas nie jest najlepszy, trzeba być ostrożnym. Mieliliśmy ciepłe dni, a wtedy lawina często spada na biednych podróżnych, jak jastrząb na wróble. Trzeba wystrzelić.

To mówiąc, wyciągnął stary, zardzewiały muszkiet i strzelił w powietrze. Strzał zahuczał daleko ponad pustkowiec górskim i tysiącnie ozwał się echem. Ale potem zapanowała cisza.

— Można spróbować — rzekł pocztylion i popędził konie.

W powozie panowało milczące napięcie i każdy wyobrażał sobie mimowoli straszliwą historię śmierci wśród spadającej lawiny. W milczeniu przypominano sobie te wszystkie opowiadania, które w najmłodszych jeszcze latach karmiły dzieciinną fantazję opisami straszliwych kataklizmów przyrody. Nagle w górach rozległ się głuchy grzmot.

— Dio Santo! — zawołał pocztylion i spojrział w górę.

Widocznie nie było już wiele czasu do stracenia, bo pocztylion uderzył ostrogami swego konia, zawinął bitem nad głowę i powóz ruszył z błyskawiczną szybkością. Bianka, w przerażeniu szukając punktu oparcia, schwyła rękę swej starej służącej. Ludwik starał się zachować spokój i rzekł:

— Niebezpieczeństwo nie jest znowu tak groźne, ci ludzie umieją sobie dać radę w podobnych wypadkach.

Ale ledwo wymówił te słowa, przeraźliwie zagrzmiął straszliwy łoskot nad ich głowami. Zdawało się, że cała góra zapada się z nimi razem w przepaść. Konie wspięły się i, skacząc w bok, pociągnęły powóz na sam brzeg przepaści. Ale śmiały jeździec nie stracił przytomności umysłu, tylko ostrogami i biczem pędził je naprzód. Niebezpieczeństwo runięcia w przepaść trwało tylko sekundę. Ale zbliżało się większe. Straszliwy łoskot rozlegał się wokół podróżnych, a biała chmura zakryła nagle wszystko. Ziemia drżała w swych posadach, a gwałtowny wicher zrzucił Ludwika z siedzenia. Biały obłok zaciemnił się

szybko i przeobraził jakby w gęste, czarne kłęby dymu. W chwilę potem powóz zatrzymał się, jak okręt, który nagle o rafę podwodną uderzy. Zatrzeszczały osie, obie kobiety krzyknęły przerażone, a nawet Ludwik nie mógł się od niego powstrzymać. Nieprzenikniona ciemność otoczyła wszystko i w tej ciemności usłyszano straszliwy odgłos toczącego się grzmotu, który oddalał się powoli, aż wreszcie nastąpiła ponura cisza, jak w grobie.

— To była ucieczka z paszczy lwa! — zawołał pocztylion — szczęśliwie dosięgliśmy tunelu.

Te słowa napęliły nowem życiem zamaryłych od strachu.

— A więc nie jesteśmy zasypani? — zawołał Ludwik radośnie.

— Lawina musiała spaść tuż za nami — odpowiedział pocztylion — bo odłamki lodu i śnieg oślepiły nas prawie. Dwie osie złamane. Czulem to dobrze, że udrzyliśmy mocno o skałę. No, ale nie było to łatwo w pełnym galopie i w takich ciemnościach dostać się w tę wąską dziurę.

Ludwik nie słuchał już ostatnich słów pocztyliona, bo uczuł, że Bianka, tracąc przytomność, osunęła się w jego ramiona.

— Na Boga, siostró! — wołał, przyciskając ją do piersi. — Siostró, co ci jest?

Ale ona nie odpowiadała. Ludwik drżał z przerażenia. Czyżby ta straszna chwila pozbawiła ją życia?

Tymczasem w ciemnościach błysnęło światło. To pocztylion zapalił latarnię i w jej migotliwym blasku Ludwik ujrzał Biankę, leżącą w jego ramionach z zamkniętymi oczyma i ustami. Pocztylion podniósł w górę latarnię i pytał:

— Nikomu nie stało się nic złego?

Skoro światło padło na twarz Bianki, otworzyła oczy,

ale, rażona blaskiem, zamknęła je z powrotem. Wtedy Ludwik, ujawszy jej rękę, szepnął cicho:

— Bianco! Bianco!

A ona zapytała wówczas, jakby we śnie jeszcze zagrożona:

— Kto mnie woła?

— Twój brat, Bianco — rzekł Ludwik głęboko wzruszony.

— Brat, brat — powtórzyła mimowoli i, uniósłszy się nieco, tuliła się do piersi Ludwika, który przycisnął usta do jej czoła.

Wtem szybko odzyskała przytomność i, rzuciwszy nań zdumione spojrzenie, podniosła się, wołając:

— Mój Boże! to oszłomienie, nie wiedziałam sama, co czynię.

Tymczasem pocztylion, świecąc latarnią, oglądał ze starym sługą powóz.

— Przedewszystkiem musimy zobaczyć, jak się ma nasz wehikul — mówił pocztylion. — O, zdaje się, że rozleciał się w tysiąc kawałków. Państwo będą łaskawi wysiąść.

— Czy ten wypadek zatrzyma nas długo w drodze? — pytała Bianka z troską w głosie.

— Signora — odrzekł pocztylion, zdejmując swoją czerwoną czapkę — do najbliższej poczty dowleczymy się jakoś, może nawet aż do Brieg, ale tam stelmach będzie miał dzień, albo nawet półtora dnia roboty.

Ale stary służący, w odpowiedzi na trwożliwe spojrzenie Bianki, uspokoił ją zaraz:

— To się da zrobić, pani hrabino. Dobrze zapłacony kowal i stelmach naprawi powóz w przeciągu kilku godzin. W każdym razie teraz nie mamy czasu do stracenia.

— Tak, mój przyjacielu — zaczął pocztylion — ale

trzebaby kilka młodych drzewek, aby przynajmniej osie z dyszlem złączyć.

— A więc dalej, naprzód — zawołał służący—chodźmy szukać to, czego potrzeba, bo moi państwo śpieszą się bardzo.

Ale pocztylion stał bez ruchu.

— Dobrze ci mówić, monsignore! Lawiny mogą walić dalej. Nie można być teraz pewnym życia ani przez jeden kwadrans. Gdybyśmy to chociaż mróz mieli, ale czuję w powietrzu odwilż. Mogłoby się tak stać, że czekałibyście tu długo na nasz powrót. Musimy czekać do rana.

Ludwik, czując, jak bardzo nieprzyjemną musi być dla Bianki ta zwłoka, zawołał:

— A więc pójdę z wami razem, podzielimy niebezpieczeństwo.

— Cóż to pomoże, monsignore? Lawina nie będzie pytać, czy nas jest dwóch, czy trzech: znieście wszystkich, którzy staną na jej drodze.

— W każdym razie spróbujemy, przyjacielu — odparł krótko Ludwik i schwycił za latarnię. — Ja pójdę naprzód.

Bianka rzuciła mu wdzięczne spojrzenie. Pocztylion, przekonany tym tonem stanowczym, wyjął topór i sznury z powozu i ruszyli w drogę.

Nie uszli pięćdziesięciu kroków, kiedy woźnica zawołał:

— Santo Boromeo! tunel jest zamknięty. Lawina rozdzieliła się po obu jego stronach. Siedzimy teraz, jak mysz w pułapce. Jesteśmy zamknięci od jednej i od drugiej strony.

Ludwik przekonał się niebawem, że pocztylion mówił prawdę.

— Cóż się stanie z nami? — zapytał przestraszony.

— Ba, niema się znowu czego obawiać. Na poczcie nie byli głusi, słyszeli lawinę; jeżeli jutro nie zobaczą moich koni, będą mnie szukać, gdzie też utkwilem.

Wiadomość ta zaniepokoiła Biankę, ale przyjmując ją, rzekła poprostu:

— Musimy znosić to, co nam Bóg zsyła. Niech się stanie, co się stać ma. Jestem na wszystko gotowa.

Pocztylion uspokajał podróżnych w dalszym ciągu:

— Damy sobie jakoś radę. Zaręczam, że jutro w południe staniemy cali i zdrowi w Brieg. Tymczasem będziemy się starali dać znać o sobie. Mam nadzieję, że usłyszą huk mojego muszkietu i wtedy na pewno z braskiem dziennym pośpieszą nam z pomocą.

Po tych słowach zręczny Włoch odrazu wziął się do dzieła. Wyjął dyszel, ażeby za pomocą niego wywiercić dziurę w śniegu. Tymczasem rozległ się znowu daleki, głuchy łoskot. Bianka przestraszyła się.

— Co to znaczy?

— A co, czy nie mówiłem? To druga lawina.

Łoskot powtórzył się trzy razy, a potem słychać było wyraźnie, jakgdyby olbrzymia masa kamieni toczyła się w przepaść. Wszyscy pobledli z wrażenia, tylko pocztylion uśmiechnął się wesoło.

— Tu się nie dostanie! Mamy szczęście, że nie mogliśmy wyruszyć w dalszą drogę. Ta druga lawina zasyłałaby nas z pewnością.

Pocztylion razem ze służącym wzięli się razem do dzieła. Usiłowania ich uwieńczył pomyślny skutek. Po pewnym czasie, za pomocą dyszla, wybili w ścianie śniegowej małe okienko, przez które widzieć było można tarczę księżyca. Pocztylion wystrzelił poza ten otwór kilkakrotnie. Tymczasem kobiety i Ludwik zajęli z powro-

tem swoje miejsca w powozie, aby oczekiwać brzasku dziennego.

III.

Rano znużonych podróżnych zbudził wystrzał.

— To pomoc przybywa! — zawołał pocztylion — trzeba im dać odpowiedź.

Naładowawszy swój muszkiet, strzelił znowu przez otwór w ścianie śniegowej. Natychmiast potem odezwały się bardzo blisko glosy wielu mężczyzn.

— Pokład śniegu nie musi być bardzo szeroki! — zawołał pocztylion — niedługo będziemy wolni.

Jakoż niebawem słowa jego sprawdziły się. W przeciągu pół godziny podróżni wydostali się z ponurej pieczary na światłoienne. Przed nimi leżała cicha dolina, jak na dłoni leżało miasteczko Brieg, otoczone srebrzystą wstęgą Rodanu.

Ponieważ powozu nie można było jeszcze wyciągnąć, stary sługa zaproponował, aby dotrzeć do najbliższej poczty, oddalonej tylko o pół godziny drogi. Na miejscu wypadku został pocztylion ze starym sługą, aby sprowadzić powóz.

Dom pocztowy leżał znacznie niżej, otoczony lasem o zieleniejących się sosnach. Wśród dzikiej natury czynił on wrażenie bezpiecznego schroniska dla małych ludzkich potrzeb. Nie było tu żadnych trosk, ani też żadnych pożądań; nie było w uregulowanych formach życia współzawodników, ani nieprzyjaciół, ani zazdrosnych sąsiadów. Dość ludzi, aby nie umrzeć w samotności, zbyt mało jednak, aby być porwanym przez wir wypadków światowych. Niestety, jednak czasami człowiek nosi w swej własnej piersi żądę burzenia własnego spoko-

ju, i dlatego nawet takie ciche schronisko nie mogło dać szczęścia, jeśli nieszczęście mieszka w duszy ludzkiej.

Odpucawszy i posiliwszy się w tem cichem schronisku, podróżni ruszyli dalej, skoro tylko poczytliion ze starym sługą zajechali jako tako wyreparowanym powozem. Do Brieg jednak powóz ledwo dotrzymał. Skoro więc tylko podróżni w nowej rozgościli się gospodzie, Ludwik zajął się naprawą powozu. Zawołano kowala i stelmacha, którzy oświadczyli, że muszą mieć na to co najmniej cztery godziny czasu. Nic innego nie było do wyboru, bo w całym miasteczku na wagę złota nie nabyłby podobnego wehikulu.

Postanowiono czekać cierpliwie. Bianka udała się ze służącą do pokoju. Ludwik zaś zajął sąsiedni, postanawiając spędzić czas na skreśleniu w swym pamiętniku ostatnich przeżyć. Z przestraczem jednak zauważył, że zgubił torebkę podróżną, gdzie i pamiętnik przechowywał. Ponieważ pamiętał dobrze, że jeszcze niedaleko od Brieg miał ją przy sobie, postanowił poszukać zguby na drodze. W ten sposób przewędrował przez całe miasteczko i znalazł się na szosie wijącej się w górę. Szedł już tak całą godzinę i zupełnie stracił nadzieję, kiedy z daleka jakiś czerwony przedmiot zabłyszczał na trawie. Była to zguba, którą podniósłszy, wesoło podążył do miasteczka. Kiedy był już od niego niedaleko, usłyszał za sobą gwałtowny tętent kopyt końskich. Obrócił się i spostrzegł jeźdźca, który w pełnym galopie zmierzał w jego stronę. W odległości zaś kilkuset kroków widać było powóz, który w towarzystwie drugiego jeźdźca z niemiejszą podążał szybkością. I zanim jeszcze Ludwik zdążył uczynić jakiegokolwiek przypuszczenie, jeździec osadził konia i zawołał doń po francusku:

— Czy jest pan z Brieg?

— Nie — odparł Ludwik. — Jestem podróżny i wracam do miasta ze spaceru.

— Może więc zechce nas pan objaśnić, czy nie przybył tam powóz zaprzężony w cztery konie, w którym siedziały dwie kobiety i mężczyzna, a na koźle stary służący.

Ludwik chciał już zaprzeczyć, gdy tymczasem nadjechał dyliżans i zatrzymał się. Mężczyzna, który w towarzystwie oficera francuskiego siedział wewnątrz, wychylił się i powtórzył to samo pytanie. Ten krótki przeciąg czasu pozwolił Ludwikowi użyć podstępu. Szybko więc odparł:

— Istotnie, taki powóz przejeżdżał tędy, ale to już kilka godzin temu. Zdaje mi się, że podróżni mieli wypadek w drodze. W miasteczku musiano im dorabiać nową oś. Przed kwandransem jednak, kiedy ja wychodziłem z miasteczka, wyruszyli w dalszą drogę.

— Na szatań! — zawołał nieznajomy mężczyzna. — Jakiż obrali kierunek?

— Jedyne, jaki mogli — odpowiedział Ludwik — przez Sion do Genewy. Niedługo ujrzycie ich jadących nad Rodanem.

— Czy nie możnaby pojechać za nimi jakąś krótszą drogą i ominąć miasteczko? — pytał niecierpliwie podróżny?

— Ależ tak! — zabrał głos pocztylion. — Zaraz niedaleko możemy skrócić na lewo i jeśli łaskawi panowie nie będziecie się obawiać przeprawy przez Rodan, to zaoszczędzimy sobie pół godziny drogi i w mgnieniu oka dogonimy tamtych podróżnych.

— Czy ta droga jest niebezpieczna?

— Boże broń, tylko trochę niewygodna.

— A więc naprzód! — zawołał teraz oficer — a dwa-

dzieścia napoleondorów będzie twoją zapłatą, jeśli zbiegów dogonisz.

W odpowiedzi na to, pocztylion zaciął konie i powóz gwałtownie ruszył naprzód.

Tymczasem Ludwik, miotany przerażeniem, szybko pobiegł do Brieg, aby opowiedzieć Biance o niebezpiecznym spotkaniu. Skoro ukazał się w jej pokoju, Bianka odrazu, po niepokoju, jaki malował się na jego twarzy, poznała, że stało się coś złego. Oddychając z trudnością, Ludwik rozpoczął swoje opowiadanie.

— Litościwe nieba! — przerwała mu Bianka — jesteśmy zgubieni. Czy ten podróżny nie miał czasami czarnych oczu i włosów, czy nie widział pan jego olśniewająco białych zębów i bladej twarzy?

— Tak, zdaje mi się — odpowiedział Ludwik. — Zresztą nie miałem wiele czasu mu się przyglądać. Ale niech pani słucha dalej.

I teraz opowiadał szczegółowo, w jaki sposób, używając podstęp, zmylił prześladowcom drogę.

— Bogu niech będą dzięki, jesteś pan moim aniołem opiekuńczym — mówiła Bianka, podając Ludwikowi rękę. — Nie mamy jednak ani chwili do stracenia. Trzeba zawołać Pawła.

— Rozporządzamy co najmniej dwoma godzinami czasu — zauważył Ludwik — nim oni dostrzegą swoją pomyłkę. To czas, którego trzeba użyć, aby raz na zawsze uniknąć grożącego niebezpieczeństwa.

— Już drugi raz — mówiła Bianka drżącym głosem — wybawiasz mnie, przyjacielu, od grożącego niebezpieczeństwa.

Kiedy stary sługa dowiedział się o wszystkim, postanowiono uciekać natychmiast.

— Nie możemy czekać na naprawienie powozu —

mówił on — musimy uciekać pieszo. Pani hrabino, zechciej razem z Małgorzatą udać się ścieżką, która prowadzi wzdłuż Rodanu. Ja udam się w przeciwnym kierunku, lecz czekać będę na was w zaroślach, oddalonych stąd o pół godziny drogi. Pan hrabia musi zaś obrać trzecią drogę, aby ślad nasz zupełnie został zatarty. Dopiero, gdy spotkamy się wszyscy razem, weźmiemy sobie przewodnika.

Stary sługa powiedział to wszystko tonem tak stanowczym, jak wódz, który wydaje rozkazy. Jego postanowienie było zresztą tak bardzo rozumne, że nikomu nie przyszło na myśl się sprzeciwiać.

W przeciągu pięciu minut, według ułożonego planu, Bianka z Małgorzatą wyruszyły w jedną stronę, stary sługa w drugą, Ludwik w trzecią.

IV.

Po wielu bardzo przygodach, Ludwik, długo wędrując po górach, nie natrafił jednak na ślad Bianki. Wszystkie usiłowania, jakie przedsięwziął, ażeby znaleźć najłżejszy chociaż ślad drogi — zawiodły. Po kilkodniowej podróży dotarł do Andermatt, gdzie zamierzał wypocząć po szalonych trudach poszukiwania Bianki.

Był już teraz zeszłą zupełnie zrezygnowany. Urocze zjawisko znikło tak samo dziwnie, jak i dziwnie mu się ukazało.

Rozstrojony do najwyższego stopnia, stanął Ludwik po wyteżającej podróży w wielkiej sali gościnnej, gdzie olbrzymi stół, nakryty białym obrusem, zdawał się uprzejmie zapraszać znużonego wędrowca. Przy jednym jego końcu siedziało trzech podróżnych, którym właśnie po-

dawano kolację. Ludwik zajął miejsce, pozdrowiwszy uprzejmie nieznanym. Wytworna grzeczność, z jaką odpowiedzieli na to pozdrowienie, zwróciła jego uwagę. Ich strój i twarze marsowe każyły mu przypuszczać, że ma przed sobą wojskowych; wprawdzie, pozdrawiając go, mówili po francusku, było jednak coś w ich postaci, co wskazywało, że do innej należą narodowości. Dwóch z nich miało czarne włosy i krótkie strzyżone brody, trzeci miał włosy jasne i oczy niebieskie. Ludwik, zachęcony uprzejmością, próbował rozpocząć rozmowę.

— Czy panowie do Włoch, czy z Włoch? — zapytał.

— Nasza droga — odpowiedział najstarszy, z którego całej postaci przebijała uderzająca dostojność — nasza droga prowadzi na południe. Dążymy za cesarzem Francuzów, który w tych dniach ma stanąć w Dreźnie.

— Więc wojna zaczyna się? — pytał dalej Ludwik.

— Mamy nadzieję — odparł nieznanym tonem, w którym było coś więcej, niż zwykła radość żołnierza, spodziewającego się zaszczytu i sławy.

Te słowa odbiły się żalosnem echem w sercu Ludwika. Jako Niemiec, ze smutkiem patrzeć musiał na to, jak liczne zastępy obcych wojowników znowu zalewają jego ojczyznę; ale surowy głos prawdy mówił mu, że hańba Niemiec jest zasłużoną.

Czyż nie było stokroć zaszczytniej służyć teraz potężnym celom zwycięzcy, niż oddać się na niełaskę tchórzliwej, nędznej polityki, która od śmierci Fryderyka Wielkiego tak bardzo obniżyła powagę jego narodu? Te słowa cudzoziemca: „mamy nadzieję“, zbudziły w nim cały świat myśli, tak, że zapomnieć musiał o swoich osobistych smutkach.

Wrażenie, które malowało się na twarzy Ludwika, nie uszło uwagi nieznanego. Po kilku chwilach ogólnej

ciszy zaczął on mówić ze spokojną godnością, tym razem po niemiecku:

— Mój panie, jak widzę, nadzieja, którą wyraziłem, jest panu przykra, a to tembardziej, że pan jest Niemcem. Może wydaje się to panu nawet i lekkomyślnem, że my witamy radośnie niespodziewany zwrot historii świata, na który pół Europy patrzy z drżeniem i żalobą w sercu. Ale nasze położenie zmusza nas do tego.

W tem miejscu przerwał na chwilę, jakby wewnętrzne wzruszenie nie pozwalało mówić mu dalej. Szlachetne rysy jego twarzy wyrażały wzniosły smutek, na wysokiem czole leżała tęsknota. Oko patrzyło znacząco przed siebie, jakgdyby wola nie rozkazywała spojrzeń.

Ludwik czuł się tem głęboko wzruszonym i nie odważył się przerwać głębokiej ciszy. Także idwaj młodsi towarzysze nieznajomego milczeli ponuro.

— Jesteśmy Polakami — padły po chwili męskie, stanowcze słowa. — Od rozpoczynającej się wojny oczekujemy wolnej ojczyzny, my, bezdomni tułacze. Teraz rozumie pan dobrze, dla czego wszystkie nasze nadzieje łączą się z tą wojną.

Ludwik, porwany temi prostemi słowami, nie umiał nie odpowiedzieć, tymczasem nieznajomy podniósł w górę kielich napełniony winem i zawołał:

— Piję na cześć ojczyzny, a ten toast wychylić powinien każdy bez względu na swoją narodowość.

Wypili go też wszyscy, zarówno Ludwik, jak i nieznajomi.

Starszy mężczyzna zaczął mówić teraz zupełnie swobodnie, jakgdyby ten kielich wina spłoszył wszystkie jego troski.

— Jesteśmy podróżnymi — zaczął on — którzy w tym niezwykajnym czasie na niezwykajnem spotykają się

miejscu. Z góry św. Gotarda, na której teraz się znajdujemy, tryskają źródła w cztery strony świata i płyną rzeki do Niemiec, Francji i Włoch. Naodwrot zaś drogi tych wszystkich krajów łączą się tu razem i tworzą jeden węzeł. Jesteśmy niejako na krzyżujących się drogach świata. Spotykają się tu ludzie, którzy udają się w różne jego strony. Jedni wędrować będą za Ren, drudzy za Rodan, jeszcze inni pójdą w kierunku Tessino. Trzeba szanować chwilę spotkania w tem miejscu, bo niewiadomo, czy spotkamy się jeszcze kiedykolwiek na rozbieżnych drogach tego świata. My trzej—mówił dalej, zwracając się do Ludwika—jesteśmy rodakami i kolegami, pan jesteś dla nas obcy i dlatego sędzę, że lepiej będzie, jeśli wymienimy wzajemnie swoje nazwiska. Ja jestem Stefan Sieniawski, pułkownik w wojsku cesarza, a to oficerowie tego samego pułku, hrabia Bolesław i hrabia Stanisław.

— A ja nazywam się Ludwik Rosen i jestem Niemcem.

— A więc witaj nam. Rosen to piękne nazwisko, dobrze się dzieje temu, komu jeszcze kwitną róże. Dla mnie ten czas już minął, bo kto przekroczył czterdziestkę, ten już o kwiatach myśleć nie może, lecz co najwyżej o zimowych owocach. Niegdyś i ja widziałem kwiaty.

Te słowa napełniły serce Ludwika bolesnymi wspomnieniami. Mimo wszystko jednak zdawało mu się, że widmo szczęścia staje przed nim znowu i uśmiecha się do niego zalotnie. Tymczasem rozmowa potoczyła się raźnie, o najrozmaitszych tematach. Mówiono o Włoszech, o Paryżu, mówiono przedewszystkiem o właściwościach cesarza jako wodza i męża stanu, podziwiano raz jeszcze jego pochod przez góry św. Bernarda, rozprawiano o zbrojeniach obecnych i o śmiałych planach ce-

sarza, który bez odpoczynku wiódł chorągiew Francyi od piramid egipskich aż do Tajo, od Tajo aż po śnieżne pola Rosyi. Mówiono więc o wszystkim, co podniecało dusze współczesne, co było najważniejszą sprawą dnia dla wszystkich narodowości europejskich. Tak minęła niepostrzeżenie godzina, minęła wieczerza i trzeba było udać się na spoczynek.

Dręczony rozmaitemi myślami i uczuciami, Ludwik nie mógł zasnąć i myślał długo w nocy, co powinien uczynić. Czy miał podążyć naprzód, czy też wracać? Wreszcie postanowił wyruszyć razem z nowymi znajomymi w dalszą drogę, zdając wszystko losowi.

*

*

*

Wczesnym rankiem ruszono w drogę. Polacy z wielką uprzejmością powitali w Ludwiku towarzysza podróży. Świeże mroźne powietrze poranku wróciło do pewnego stopnia Ludwikowi wesołość, jakkolwiek obraz Bianki ani na chwilę nie ustępował z jego duszy. Droga, która prowadziła w stronę Dyablego mostu, przypomniła mu Simplon, gdzie tak niedawno jeszcze spotkał Biankę. Jak tu, tak i tam w straszliwej przepaści szumiała rzeka, z tą tylko różnicą, że tutaj, wydobywszy się ze skał przez wyrwę potężną, spadała z hukiem na dół. Przez ten kociol dyabelski jakaś zuchwała ręka rzuciła wążki most, o którym nie bez słuszności zdaje się mówić podanie:

— Nie zbudowała go ludzka ręka, bo niktby się na to nie odważył.

Kiedy wędrowcy przejeżdżali przez tę kładkę, drżała pod ich stopami.

Sieniawski zatrzymał się na chwilę, patrzył w górę

na wyrwę skalną, a potem znowu w szumiącą przepaść. Chciał coś powiedzieć, ale straszliwy loskot wodospadu głuszył każde ludzkie słowo. Rzecz dziwna, pomimo wszystko, straszliwe uczucie dziwnej ciszy i pustki mimowoli się tu narzucało. Nie widać tu było ani ptaków, ani owadów, a na granitowej masie skał, wznoszących swe grzbiety w przestworza niebieskie, nie zieleniła się nawet uboga trawka. Oprócz loskotu rzeki, każdy dźwięk tutaj zamarł, jakby w grobowej pieczarze przyrody.

Przez jakiś czas podróżni podziwiali w milczeniu ten dziki pejzaż. Wreszcie, na znak Sieniawskiego, ruszono dalej. Przez godzinę droga prowadziła po nagich zło- mach granitowych, otoczonych z obu stron ścianami skał, z za których wyglądały jeszcze dalekie wierzchołki gór potężnych, śniegiem pokrytych.

I byłaby ta podróż pozostawiła w duszy Ludwika niezatarte wspomnienie dzikiej piękności, gdyby nie to, że z każdą chwilą wzrastał niczem nieukojony smutek. Wszystkie nowe wrażenia, zarówno nowe twarze, jak i widoki, zarówno rozkoszny blask słońca, jak i cudowny blask nieba, zdołały tylko na chwilę uspić głęboką jego rozpacz. Ale wrażenia niebawem tracą swą siłę i wtedy tęsknota ze zdwojoną mocą porywa nieszczęsnego ducha ludzkiego, a pierś naszą srodzej trapi zawsze niepewność, niż nawet zupełna utrata marzeń. Czas, zamiast koić rozpacz beznadziejnej przegranej, staje się torturą, aż wreszcie, ogłuszony bólem i zmęczeniem, człowiek popada w niemy spokój, podobny do śmierci.

Droga prowadziła dalej przez Altdorf do Flüelen. Towarzysze Ludwika zamierzali przeprowić się z Flüelen przez jezioro Czterech Kantonów do Lucerny. Ludwik inną obrał drogę, wierząc, że znajdzie Biankę na wielkim trakcie, prowadzącym do Niemiec; dlatego postanowił

przez Zurych dotrzeć do Szafuzy. W Altdorfie Ludwik znalazł przypadkowo konie do Zurychu. Ze smutkiem tedy pożegnał swoich nowych przyjaciół, którzy udali się wprost do Drezna. Bez żadnych przygód stanął wieczorem w Zug, a następnego dnia w Zurychu. Przez cały dzień obchodził po kolei wszystkie gospody i starał się odkryć przynajmniej ślad jakiś. Badania te zajęły mu bez żadnego wyniku aż dwa dni. Trzeciego dnia znalazł się na drodze do Niemiec, spodziewając się jeszcze, że może tutaj odkryje ukochaną. Ale aż do Heidelberga usiłowania jego speszły na niczem.

Był to jeden z najpiękniejszych dni maja, kiedy Ludwik stanął w tem uroczem mieście, gdzie przeżył niegdyś tyle pięknych dni. I chociaż od tego czasu zaledwie rok minął, czuł się tu obcym i nieznanym. Jego przyjaciele z nim razem opuścili miasto. Jakkolwiek postanowił zrazu odwiedzić niektórych swoich znajomych i podziwiać znowu piękną przyrodę, wśród której przechadzał się tyle razy, uczucie przygnębienia kazalo mu czempredzej opuścić miejsce dawnych wspomnień. Pragnął znaleźć się razem z matką swoją i siostrą, aby w ich serdecznym uścisku ukoić wszystkie troski zranionej duszy.

Kiedy już przygotował wszystko do dalszej podróży, pragnąc się jeszcze nieco posilić, zeszedł ze swego pokoju do sali. Znajdowało się tu kilku gości. Jeden z nich trzymał w ręce gazetę i czytał swym towarzyszom najważniejsze wiadomości o rozpoczynającej się wojnie.

— Cóż nowego? — zapytał Ludwik, nie przywiązując do swych słów żadnej wagi.

— Jeśli chodzi o wojnę, nie stanowczego — odpowiedział jego sąsiad — wojska maszerują, generalowie przyjeżdżają i odjeżdżają, a Napoleon zbroi się podobno

straszliwie. Ale nasze pisma są czasami pod innym względem interesujące. W naszych romantycznych czasach przeistaczają się niekiedy w prawdziwe romanse i oto znajdujemy w nich nawet listy miłosne. Proszę, niech pan sam przeczyta.

Ludwik rzucił obojętne spojrzenie na pismo, które mu podano. Ledwo jednak przeczytał pierwsze wiersze, stracił panowanie nad sobą, słowa bowiem, które wzbudziły zainteresowanie całego towarzystwa, brzmiały następująco:

„Do mego nieznanego przyjaciela!“

„Panu, który uratował mnie w największem niebezpieczeństwie, który pozdrowił nieznaną jako siostrę, który, jak brat prawdziwy, nieustrudzoną otaczał ją opieką, składam gorącą, niezapomnianą podziękę. I jakkolwiek niepojęty przypadek brata z siostrą rozdzielił, niechaj wierzy, że smutek i żaloba towarzyszyć jej będą w dalekiej podróży. Jeśli kiedykolwiek wijące się ścieżki losu ludzkiego złączą ją z nim razem, znajdzie w niej wierną siostrę, która chętnie każdą ofiarę dla niego poniesie, albowiem dziś wszystko mu zawdzięcza“.

„Uratowana B...“

— No i cóż pan na to? — zapytał sąsiad Ludwika, któremu lzy stanęły w oczach.

— Dziwne, w istocie, dziwne! — zawołał pośpiesznie Ludwik, usiłując ukryć swoje wzruszenie.

I kiedy później Ludwik znalazł się sam, zdala od ciekawych spojrzeń, długo powstrzymywane wzruszenie wybuchnęło z nową siłą. Płacząc rzewnie, wołał z głębi swej duszy:

— O dobry Boże, nie rozdzielaj mnie z nią na zawsze, pozwól, aby ta cudowna gwiazda raz jeszcze zajaśniała na moich mrocznych ścieżkach. Byłbyś okrutnym, gdybyś, ukazawszy mi słodycz nieba, strącił na zawsze w piekło potępienia.

ROZDZIAŁ DRUGI.

I.

W piękny wieczór majowy Ludwik znalazł się na ulicach Drezna, wmieszany w olbrzymi tłum ludzi, oczekujących na przybycie cesarza. Panowało wszędzie napięcie uroczyste, graniczące chwilami z niesamowitą grozą. Pojawienie się cesarza konno miało być przecież sygnałem do przedsięwzięcia, którego niezwykła śmiałość doprowadzała do zawrotu głowy nawet najzuchwalsze dusze. I oto łączyły się razem przerażenie i nienawiść z podziwem dla tego niezwykłego meża.

Było to piętnastego maja. Ludwik, nacieszywszy się matką i siostrą, zostawił je pod opieką przyjaciółki w domu, z którego okien mogły i one zobaczyć cesarza. Sam zaś wolał złączyć się z niespokojnym tłumem ludu.

Nagle usłyszał jakiś głos, wołający go. Był to Sieniawski, który wjeżdżał ostrym kłusem na czele żołnierzy. Siedząc na wspaniałym polskim gniadoszu, znakomity ten jeździec powodował ognistym rumakiem, który zdawał się być posłusznym najłżejszemu nawet ruchowi jego ręki.

— Dobry wieczór, kochany przyjacielu! — wołał

do Ludwika. — Nie przypuszczałem nigdy, że spotkamy się w takim gorącym dniu. Za godzinę będzie tu już cesarz.

Ponieważ Ludwik rozmawiał z oficerem, brodaci żołnierze rozstapili się przed nim, puszczając go naprzód. Sieniawski podał mu rękę. I oto, kiedy zobaczył tego pięknego mężczyznę, we wspaniałym mundurze, siedzącego dumnie i lekko na szlachetnym rumaku; kiedy w czarnych jego oczach dojrzał zuchwałą weselość żołnierza, obudziła się w duszy jego zazdrość, że on sam nie może pędzić podobnego życia, które bez troski pozwala patrzeć w przyszłość najbliższą.

— Dlaczego przygląda mi się pan tak uważnie? — zapytał Sieniawski. — Czy widzi pan we mnie coś szczególnego?

Ludwik chciał odpowiedzieć, ale nagle zabrzmiały bębny i żołnierze wyciągnęli się w dwie linie wzdłuż ulicy. Jakiś generał na czele licznego orszaku pędził od strony zamku galopem. Był to król Neapolu w swoim fantastycznym, kapiącym od złota, mundurze. Siedząc na andaluzyjskim koniu złoto-kasztanowatej maści, pędził z istic królewską godnością na spotkanie cesarza. Skrzęcem spojrzeniem ogarnął cały tłum ludzi, a zobaczywszy Sieniawskiego, zatrzymał się przy nim i, zamieniwszy słów parę, uścisnął serdecznie dłoń jego. Niebawem znikł wspaniały orszak jeźdźców, między którymi można było zauważyć marszałków, generałów, wybitnych oficerów sztabowych, a także wielu książy niemieckich.

Po chwili nowy tętent koni zabrzmiał na ulicy. Ludwik obrócił się i zobaczył dwóch młodych Polaków, pędzących galopem za oddalającym się orszakiem króla Neapolu. Był to Bolesław i Stanisław, którzy w przejeździe rzucili mu uprzejme pozdrowienie.

— Ach, wy, szczęśliwi! — pomyślał mimowoli — nie was już teraz nie smuci, bo niema w waszych pierśsiach innego życzenia nad to, aby przy pierwszej sposobności dla wzniesłego celu oddać z ochotą swoje życie. Jeśli zwyciężycie i cel swój osiągniecie, spełnią się wasze nadzieje. Jeśli zaś los nieprzewidziany nie da ziścić waszych marzeń, to i wówczas będzie to klęska pełna zaszczytu. Szczęśliwy, kto orężowi swemu przyszłość powierzył. Ale podwójnie szczęśliwi jesteście wy, którzy spełniacie zarazem najświętszy i najślodszy obowiązek, idąc za głosem chwały i honoru.

Zatopiony w tych myślach, pozwolił umieść się tłumowi, nie wiedząc, co się z nim dzieje. Wtem po raz drugi usłyszał swoje nazwisko, jakieś męskie ramiona objęły go serdecznie, a na ustach uczuł gorący pocałunek.

— Czyż zapomniałeś mnie już zupełnie, drogi przyjacielu? — wołał jakiś mężczyzna.

— Ach, Bernardzie, drogi Bernardzie! jakże mógłbym cię zapomnieć? Ale, doprawdy, nawet przez myśl mi nie przeszło, że mógłbyś się tutaj znajdować. Moja siostra opowiadała mi wczoraj, że już od dwóch lat przebywasz stale w Norwegii lub Szkocyi.

— Ja zaś myślałem, że ty drapiesz się po Wezuwiuszu. A pomimo to poznałem cię, i poznałbym cię nawet na biegunie północnym.

— Ależ na Boga, schwyciłeś mnie tak gwałtownie, że nie miałem nawet chwili, aby ci się przyjrzeć.

Bernard był przyjacielem Ludwika z lat młodości. Już w tym czasie, jak to jest właściwością silnych natur męskich, wyrażał on zawsze swoje uczucia pod postacią żartu, satyry i drwiącej ironii. Ale bliżcy mu przyjaciele wiedzieli dobrze, co jest istotną treścią jego ruchliwej, szlachetnej głowy. Ludwik kochał go bardzo i odczuwał do-

brze, że Bernard jest ucieszony równie jak i on niespodziewanem spotkaniem.

— Czy nie byłoby rozsądniej — zaczął znowu Bernard — abyśmy zrezygnowali z towarzystwa tej bandy szewców, krawców i Żydów? Byłoby mi miło po długim pobycie w szkockich górach spróbować teraz, jak smakuje szklanka włoskiego wina. Chodź, poszukamy jakiego ciemnego kąta, gdzie można gawędzić wesolo.

— Proszę nam dać flaszkę wina syrakuskiego, signor Longo, albo Lacrimae Christi — mówił znowu Bernard, kiedy stanęli w winiarni z dawna im znanej — ale niechaj to wino będzie ogniste, aromatyczne, przyjemne i mocne zarazem. Ludwiku! siądźmy tu koło okna, będziemy mogli stać swobodnie śledzić ruchy tłumu i poznać na tym barometrze, kiedy ukaże się cesarz.

Przyniesiono wino i przyjaciele tręcili się szklankami; Bernard wychylił jednym haustem wszystko, Ludwik ledwo umaczał wargi.

— Muszę ci przedewszystkiem wyjaśnić — zaczął znowu Bernard — że nałogowym pijakiem nie jestem. Nie, bracie! Tylko w dni świąteczne zapalam płomień radości, lecz potem gaszę je szybko. Miesiącami pędzę życie surowe, jak mnich albo Spartanin. Czasami jednak każdy człowiek powinien spalić na stosie tego ducha filisterskiego, który jest w każdym z nas w większej lub mniejszej ilości. Trzeba bowiem oczyścić naszą duszę w ogniu, aby, wolna od wszelkich więzów, mogła wstać, jak Feniks z popiołów. I oto teraz nadszedł dla mnie czas, w którym należy zapalić lont od beczki z prochem. Trącmy się i pijmy na cześć tego, co kochamy.

Ludwik wznosił swój kielich i wypróżnił go z pewnem wzruszeniem. Mimowoli uczynił spostrzeżenie, że, jeśli umysł ludzki jest czemś mocno zajęty, wtedy

wszystko, co z zewnątrz przychodzi, choć przypadkowe i obce, nie jest nigdy bez znaczenia dla naszych tajemnych myśli. I oto teraz słowa Bernarda stały się punktem zaczepienia dla wspomnień jego miłości. W chaosie wypadków codziennych myśl o niej była mu przeciwieństwem do tego, co go otaczało — patrzył wciąż jeszcze na obraz Bianki, jak żeglarz, który, nie bacząc na wściekłość burzy morskiej, widzi tylko światelko morskiej latarni.

Obaj przyjaciele milczeli teraz. Wreszcie Bernard, jakby plosząc niecierpliwym ruchem ręki smutne myśli, zawołał z zuchwałym błyskiem oczu:

— Cóż my kochamy? Ogniste pocałunki lub ogniste wino. Skromną Muzę albo powabną Aspazję. Mój toast nie zobowiązuje do niczego. Kto chce tkwić dalej w bagnie, Bóg z nim. Kto zaś rozwija skrzydła, aby wzlecieć ku gwiazdom — temu wielkie „Szczęść Boże“. A teraz wypij, Ludwiku, i opowiedz, co się działo z tobą przez cztery lata.

Ludwik, nie wspominając nic o Biance, dał krótkie sprawozdanie ze swych studyów i podróży. A potem zabrał głos Bernard, nie opowiedział jednak wiele, kiedy nagle urwał, wołając gwałtownie:

— Na szatana, czy słyszysz — strzał armatni! Cesarz przybywa! Czy widzisz, jakie poruszenie wśród tłumu? Biegnijmy czempędzej!

To mówiąc, zerwał się szybko z miejsca i, ciągnąc za sobą Ludwika, wybiegł na ulicę.

Tłum ludzi, który kołysał się dotychczas bez celu, płynął teraz ze wszystkich stron zwartą masą w stronę wilsdruffskiej bramy. Na dworze było już zupełnie ciemno; zapalano lampy i płomienne wieńce, specjalnie do oświetlenia ulic przeznaczone.

— Będziemy mieli wspaniałe widowisko nocne — zawołał Bernard — wołałbym jednak, aby cesarz nadjechał trochę później. Moglibyśmy bowiem w pełnem oświetleniu zobaczyć jego twarz doskonale.

W istocie był to fałszywy alarm, wywołany pomyłką. Tłum zaczął się powoli rozpraszać.

— Nie mam co prawda ochoty — zauważył Bernard — wracać znowu do tego ponurego lochu. Przejdźmy się lepiej po ulicach.

Wędrowali przez chwilę wśród zbitej masy ludzkiej, która, częściowo oświetlona czerwonym światłem, częściowo ginąca w pomrokach nocy, dziwne czyniła wrażenie.

— Jakże radośnie jest mi na duszy — mówił Bernard — jakże spokojnem jest to majowe niebo z czarowną gwiazd poświatą nad niespokojną ziemią. Lecz słuchaj! jakieś głosy huczą coraz potężniej, coraz bliżej. Teraz już chyba naprawdę...

Wyskoczył na wystający mur kamienicy i, wskazując przed siebie, zawołał:

— Tam przybywa on!

Jakoż rzeczywiście niedaleko od nich widać było powóz, otoczony jeźdźcami, których lance i szable błyszczały w czerwonych refleksach światła. Była to polska gwardya honorowa. Cesarz ukrył się w kącie powozu i mogło się zdawać, że twarzy swej tłumom pokazać nie chce. Dopiero kiedy przejeżdżał około miejsca, gdzie stali obaj młodzieńcy, wychylił się nieco, bo jakiś drobny przypadek zatrzymał jego pojazd. I można było teraz zobaczyć jak najdokładniej jego twarz jasno oświetloną.

— Oto on przed nami — szepnął cicho Bernard.

Wokolo panowała cisza, jakgdyby spojrzenie tego mocarza, który świat cały napełnił sławą swoją i przerażeniem, nakazywało milczenie. Bernard i Ludwik nie mogli ani na chwilę oderwać oczu od głowy cesarza. Dopiero kiedy on zniknął i orszak cały ruszył dalej w drogę, Ludwik obudził się jakby z ośłupienia i zwrócił do Bernarda. Ale ten dziwny człowiek, który prawie nigdy nie oddawał się poważnemu skupieniu, stał teraz jakby skamieniały, rzucając tylko ponure spojrzenia w stronę, gdzie zniknął cesarz. Ludwik ścisnął go za rękę i zawołał znowu:

— Bernardzie!

Teraz dopiero oprzytomniał i drgnął przerażony.

— Ach, tak! — odrzekł. — Hm! wyglądał on dobrze. Nieprawdaż? Malarz musi przecież zwrócić uwagę na taką twarz. Doprawdy nie spodziewałem się tego — ani jednego pięknego rysu w całej twarzy, a przecież jest w niej coś więcej, niż piękność. Na szatana, nie wiem nawet jakim gatunkiem linii trzeba by wyrazić to, co widziałem na jego czole, co wyczytałem w jego oku...

Ludwik szukał napróżno słów, za pomocą których mógłby wypowiedzieć wrażenie, które odczuwał.

— Zdawało mi się — zaczął wreszcie po chwili — że potężny orzeł z szeroko rozwiniętymi skrzydłami ciągnie poprzez gromadę pospolitego ptactwa.

— Tak, dobrze mówisz — odpowiedział Bernard — na ulicach kręcą się same kaczki, gęsi i wróble. I, u diabła, my między nimi także.

To mówiąc, malarz chwycił Ludwika pod ramię i wyprowadził go z tłumu w jedną z bocznych uliczek. W milczeniu szli obok siebie, nagle Bernard rzekł krótko:

— Dobranoc, bracie, jutro się zobaczymy!

Zakręcił się na pięcie i zniknął w ciemności. Ludwik, zamyślony, wrócił do domu, a w nocy, trapiiony ponuremi myślami, długo usnąć nie mógł.

II.

Uplynęło dni kilka, a wojska cesarskie nie wyruszały jeszcze z Drezna. Ludwik, snując się po ulicach z Bernardem, spotykał wciąż inne postacie żołnierzy, których widok dziwnym uczuciem napelniał jego duszę. Orły napoleońskie, szykując się do odlotu, nieciły niespokojny nastrój w tem środowisku poczciwych mieszkańców, przeznaczonem jakgdyby do najnormalniejszego trybu życia, którego żadne szaleństwo zarazić nie może. Ale i tu nawet niepokój był w duszach ludzkich. Sława cesarza nie pozwalała wątpić o zuchwałem jego przedsięwzięciu, a z drugiej strony te zamiary szalone zdawały się przerażać siły najpotężniejszego nawet człowieka. W tym nastroju niepewności ludzie zapominali czasami o wszystkim. Wbrew przekonaniom swoim, wbrew pojęciom i obowiązkom łączyli swoje losy z losem wielkiego awanturnika, który szedł zdobywać jeszcze jedno państwo w mroźnych krainach Rosyi.

Ten dziwny nastrój udzielił się i Ludwikowi. Nie opuszczał on żadnej sposobności, któraby mogła pozwolić mu ujrzeć oblicze cesarza. Szukał towarzystwa żołnierzy, a przedewszystkiem odnowił znajomość z Sieniawskim i jego dwoma młodymi towarzyszami. Sieniawski miał już za parę dni opuścić Drezno, gdyż cesarz powierzył mu utworzenie lekkiego pułku jazdy, pozostawiając nieograniczone pełnomocnictwo w wyborze żołnierzy i oficerów. Sieniawski był nadzwyczaj zadowolony z tej misyi



Konnica saska atakuje szańce pod Borodinem.

i twierdził, że nie marzył nigdy o wspanialszem stanowisku przy wielkiej armii. Niecierpliwie tedy wyczekiwał dnia, w którym wyruszy do Warszawy. Podczas tego oczekiwania zdarzył się nieprzewidziany wypadek, który miał zadecydować w sposób stanowczy o przyszłości Ludwika i Bernarda.

Pewnego razu Bernard zorganizował wycieczkę do Pillnitz, w której miała wziąć udział cała rodzina Ludwika, a także trzech Polacy, których Ludwik do domu swego wprowadził.

W dwóch powozach mieściło się całe towarzystwo. Do Pillnitz przybyto jeszcze po południu i postanowiono wstrzymać się w ogrodzie dopóty, aż w chłodzie wieczornym wycieczka na szczyt Porsbergu milszą będzie i wygodniejszą. Tymczasem godziny bieging szybko; towarzystwo całe rozbiło się na poszczególne pary, które, krążąc wśród cudnych alei ogrodowych, gawędziły swobodnie.

Ludwik trzymał się Bernarda i, kiedy, rozmawiając z ożywieniem, skęcili w ciemną aleję, natknęli się na dwóch nieznanomych mężczyzn, z których jeden, ubrany starannie, nosił w dziurce od guzika czerwoną wstążeczkę legii honorowej. Drugi zaś, trzymając się trochę z tyłu, czynił wrażenie kamerdynera, a co najwyżej sekretarza. Jeszcze dalej postępowało dwóch lokai w liberyi. Pozdrawiając uprzejmie, ów udekoronowany jegomość przemknął się obok nich. Drugi zaś, kamerdyner, czy też sekretarz, przyglądał się obu młodzieńcom bardzo ciekawie, a nawet natrętnie.

— Zdaje mi się, że tę twarz już gdzieś widziałem — rzekł Bernard. — W każdym razie musiałbym skłamać, gdybym powiedział, że mi się ona podoba. U licha, jako malarz, pamiętam zawsze linie i kąty najdziwaczniej-

szych fizyognomii, zapominam natomiast zawsze o pasportach, z którymi zawsze przez świat podróżują. Posiadam doskonałą pamięć wzrokową, ale wszystkie nazwiska wylatują mi najczęściej z głowy.

— I ja go musiałem gdzieś widzieć — zauważył Ludwik. — Być może, że on również nas obu gdzieś widział, gdzieś może w zupełnie innej stronie świata, i oto teraz dziwi się, spotykając nas w tym ogrodzie. Bądź co bądź nie należy przypuszczać, ażeby on był czemś więcej, niż podróżnym, z którym siedzieliśmy razem w pocztowym powozie, albo spotkaliśmy się w jakiejś gospodzie.

To mówiąc, obaj przyjaciele połączyli się z resztą towarzystwa, gdyż czas był wielki wstępować na górę.

Po kilku godzinach wszyscy uczestnicy tej wycieczki znaleźli się niedaleko wieży, z której cudowny rozciągał się widok. Szeroka wstęga Łaby dzieli ten cały pagórkowaty kraj na dwie części. Oko chętnie ogląda piękne obrazy miast i wiosek.

Tymczasem Bernard zaalarmował całe towarzystwo, twierdząc, że zbliża się burza. Jakoż istotnie czarne i szare chmury nadeiwały powoli i tylko dlatego uchodziły uwadze podróżnych, że słońce znajdowało się właśnie po przeciwnej stronie horyzontu. Lecz oto i wiatr się podnosił i w coraz silniejszych podmuchach o wieżę uderzał. Marya, siostra Ludwika, i jej towarzyszki patrzyły zakłopotane i zaleknione. Lecz to, co działo się teraz w otaczającej przyrodzie, było tak wspaniałe, że mimowoli zapominało się o grozie burzliwej nocy. Ciężkie masy chmur ciągnęły coraz liczniej i otulały swym ponurym płaszczem okoliczne góry. Razem z niemi nadeiwała noc. Tylko niektóre wzgórza, uwieńczone jasnymi budynkami, lśniły się jeszcze w ostatnich promieniach słońca, błyszcząc tem wyraźniej na mrocznym tle.

Na zachodzie widniał kawałek nieba, jakby niebieskie oko, pomiędzy zwałami gęstych chmur. Już kilkakrotnie burza rozpoczynała swoje ataki, wstrząsając wierzchołkami drzew i kręcąc z piasku wysokie słupy. Tem więc głębszą była cisza, która następowała chwilowo, tem bardziej uciskała pierś ludzką. A teraz cała zachodnia część nieba rozgorzała czerwonym światłem, a zygzakowata błyskawica mignęła w kierunku rzeki. Burza była jeszcze daleko, bo dopiero w trzydzieści sekund usłyszano głuchy odgłos grzmotu.

— Wspaniały widok! — zawołał Bernard. — Od dałbym z przyjemnością tuzin pogodnych dni za jedną taką burzę. Co za światła w pejzażu! dzień i noc obozują obok siebie. Patrzcie, tam, koło Pirua błysk słońca skrzy się, jakby walcząc z nawalą chmur, które go oblegają. A tam na Elbie te białe żagle, które mkną po szarej fali, jak mewy.

Młode dziewczęta odczuwały tak żywo cudowną piękność tego widowiska, że wstydziły się wyjawić swoje obawy o suknie i kapelusze. Ale burza z swym ponurym majestatem nadciągała coraz to bliżej, tak, że serca kobiece napełniły się grozą.

Po krótkiej naradzie postanowiono mimo wszystko pozostać w wieży i burzę przeczekać. Na prędcę urządzono się jako tako w tej prymitywnej poczekalni. Niebawem burza wybuchnęła z całą gwałtownością. Pioruny uderzały za piorunami, i chwilami zdawało się, że powietrze napełnione jest bezustannym ogniem błyskawic.

Towarzystwo siedziało w milczeniu, tylko czasami Sieniawski jakimś żartobliwym zwrotem usiłował uspokoić przestraszone kobiety. Wreszcie po pół godzinie piekielny koncert uspokoił się nieco. Kobiety odetchnęły swobodniej. A Ludwik postanowił zejść z góry i sprowa-

dzieć powozy, przyrzekając wrócić jak najprędzej do nich. Ale czas przez niego określony minął, a Ludwik, oczekiwany z minuty na minutę, nie wracał. Noc zapadła już dawno i kobiety poczęły coraz bardziej się niepokoić. Wreszcie i mężczyźni nie ukrywali już dłużej, że Ludwikowi musiał wydarzyć się jakiś nadzwyczajny wypadek, skoro nie wraca tak długo. Zaczęto się wtedy naradzać, co zrobić. Bernard uważał za stosowne wyruszyć za nim, aby zbadać, coby mu się też stać mogło. Sieniawski i Bolesław mieli pozostać przy kobietach, Stanisław zaś i Bernard poszli go szukać.

Jakkolwiek deszcz płynął z góry strumieniami całymi, a ciemność była choć oko wykol, obaj wędrowcy łatwo odpowiednią znaleźli drogę. Bez trudności dostali się do ruin, koło których przechodzili niedawno. Nagle jednak zblądzili w zaroślach, napróżno szukając drogi. Wówczas Stanisław obrał kierunek, prowadzący na przelaj przez zarośla i krzaki, po stokach góry na dół. Droga była bardzo trudna. Często młodzińcy w zbitych zaroślach musieli posuwać się na czworakach i szukać możliwego przejścia. W tej zmuśnej wędrówce zauważyli nagle jakieś światło, które błyskało w ich pobliżu, niby błędny ognik. Niebawem spostrzegli, że byli to dwaj ludzie z latarniami. Ucieszeni, że wreszcie od kogoś będą mogli zasięgnąć języka, Bernard i Stanisław pośpieszyli w ich kierunku, trafiając wkrótce na wygodną ścieżkę. Ponieważ ukryci byli dobrze w ciemnościach, łatwo poznali, kogo mają przed sobą. Byli to dwaj francuscy żandarmi, którzy prowadzili jakiegoś zaaresztowanego człowieka. Ta okoliczność wzbudziła ostrożność Stanisława, któremu, jako oficerowi kawaleryi, nie obce były zwiady i przeszpiegi. Ruchem ręki nakazał milczenie Bernardowi i czekał, aż żandarmi przysuną się jeszcze

bliżej. I oto z najwyższem zdziwieniem zobaczyli, że pomiędzy żandarmami znajduje się Ludwik. A z jeszcze większem zdziwieniem Bernard w czwartym mężczyźnie, który szedł z boku i otulony w płaszcz niósł także latarnię, poznał owego nieznajomego, z którym spotkali się w ogrodzie. Stanisław ścisnął rękę Bernarda na znak, aby cały ten orszak przepuścić spokojnie. Ukryci za potężnym pnem drzewa, tamując oddech, czekali, aż miną ich żandarmi. I kiedy znaleźli się w odległości jakich pięćdziesięciu kroków, ruszyli za nimi, unikając troskliwie błysków latarni. Bernard miał wiele zaufania do Ludwika i, znając go dobrze, mógł z góry przypuszczać, że stało się tu coś nadzwyczajnego: albo jakieś nieporozumienie, które w tych czasach zdarzały się bardzo często, albo też jakiś złośliwy podstęp nieznajomego, którego twarz bynajmniej nie budziła zaufania. Sądził tedy, że należy koniecznie, bez żadnych wyrzutów sumienia uwolnić go z rąk tej zagadkowej sprawiedliwości. I z myślą tą zwierzył się Stanisławowi. Plan tego rodzaju dla oficera polskiego wysoce był niebezpieczny. Podnieść rękę przeciwko wymiarowi sprawiedliwości francuskiej było dla żołnierza wielkiej armii zbyt ryzykownem. Ale jednocześnie ten młody człowiek odznaczał się zuchwałą awanturniczością, która chętnie igra z niebezpieczeństwem. Jest to co prawda rysem charakterystycznym całego narodu polskiego, który z prawdziwą lekkomyślnością zwykł lekceważyć wszelkie niebezpieczeństwo. A zresztą chodziło o uwolnienie człowieka sympatyczniejszego, aniżeli żandarmi i ciemne intrygi szpiegów francuskich. Tak więc, po krótkim namyśle, szepnął cicho, ale stanowczo do Bernarda:

— Spróbujmy go uwolnić! Trzeba szybko zabiedz drogę żandarmom, zepchnąć ich z góry, a potem, rzu-

ciwszy się na trzeciego człowieka, zmusić go również do odwrotu i wyswobodzić jeńca.

Plan został wykonany z najzupełniejszą precyzją. Młodzieńcy niepostrzeżenie znaleźli się w odległości dziesięciu kroków od tego orszaku, a wychyliwszy się nagle z ciemności, rzucili się obaj na żandarmów, podnosząc głośny okrzyk. Nim napadnięci obrócić się zdołali, zepchnięto ich szybko po stoku góry, tak, że nie zdążyli nawet zauważyć śmiałych napastników. Zachęceni tem powodzeniem, Bernard i Stanisław rzucili się gwałtownie w stronę nieznanego. Ale ten nie myślał bynajmniej stawiać im oporu. Niezbyt pewny swej roli, cisnął latarnię i szybko zniknął w ciemnościach. Pozbywszy się nieprzyjaciół, Bernard i Stanisław, porywając ze sobą niemniej zdziwionego Ludwika, szybko pobiegli w przeciwnym kierunku. Ponieważ latarnie żandarmów pogasły, zupełna ciemność sprzyjała ich ucieczce. Wszyscy trzej młodzieńcy z błyskawicznym pośpiechem biegli w kierunku wieży, gdzie zostało całe towarzystwo. Kiedy już znaczną część drogi przebyli, usłyszeli za sobą dwa strzały. Dali ognia żandarmi, którzy dopiero teraz zdołali użyć swych karabinów.

— Strzelajcie sobie! — zawołał Stanisław. — Nie słyszymy nawet świstu waszych kul!

Z odległości wystrzałów poznali zbiegowie, że byli już teraz zupełnie bezpieczni. Pomimo to nie zatrzymywali się ani na chwilę. Droga skręciła na lewo, wspinając się ostro pod górę.

Co pewien czas nasłuchiwał Stanisław, czy kto im nie depcze po piętach, ale wszędzie panowała cisza. Po kwadransie młodzieńcy, dotarłszy do gęstych zarośli, zatrzymali się na chwilę, aby zaczerpnąć tchu do dalszej drogi.

— Cóż zrobimy teraz? — zapytał Bernard.

— Przedewszystkiem — rzekł Ludwik, chwytając za ręce swoich towarzyszków — dziękuję, drodzy przyjaciele, gorąco dziękuję. Ale powiedzcież mi, w jaki sposób dowiedzieliście się o mojem aresztowaniu?

Bernard opowiedział o przypadkowem spotkaniu i zapytał z kolei:

— Ale cóż to wszystko miało znaczyć? jakim sposobem znalazłeś się między dwoma żandarmami?

— Historyja jest w istocie bardzo dziwna, dla mnie nawet zagadkowa — odpowiedział Ludwik — opowiem ją wam pokrótce. Czy przypominasz sobie, Bernardzie, człowieka, którego spotkaliśmy w ogrodzie, i którego twarz wydała nam się znajomą?

— Pamiętam doskonale, ale mów dalej!

— Kiedy zeszedłem z góry i znalazłem się koło ruin, zobaczyłem tam wielu ludzi, którzy ukryli się w nich przed deszczem. Idąc dalej, natrafiłem nagle, w odległości stu kroków, na francuskiego żandarma, który zatrzymał mnie słowami: „Bon soir, monsieur!“ Ja pozdrowiłem go także i chciałem udać się w dalszą drogę. On na to oświadczył mi, że muszę pójść za nim. „Ależ gdzie i po co?“ — zapytałem. „Objaśnienia nie do mnie należą“ — odparł znowu. Ponieważ nie miałem na sumieniu żadnej winy, byłem posłuszny, sądząc, że nieporozumienie natychmiast się wyjaśni. W tej samej chwili zauważyłem, że zbliża się drugi żandarm i ów nieznajomy, którego widzieliśmy w ogrodzie. Przystąpił do mnie i rzekł, uśmiechając się nieprzyjemnie: „Musi pan pójść z nami na małe przesłuchanie“. Napęliło mnie to wielkiem zdziwieniem, więc odpowiedziałem: „Chciałbym nareszcie wiedzieć, co to wszystko znaczy?“ Ponieważ on milczał, dodałem jeszcze: „Przypuszczam, że za-

szło tu jakieś nieporozumienie i dlatego żądać będę za-
dośćuczynienia za tę całą nieznośną historję.

— Zobaczmy jeszcze — rzekł zimno i, na dany przez
niego znak, żandarmi poprowadzili mnie stokiem góry
w stronę zamku. Stanąwszy przed bramą zamkową, wpro-
wadzono mnie do pokoiku portyera, gdzie, strze-
żony przez dwóch żandarmów, czekać musiałem dobrą
godzinę. Tymczasem nieznajomy oddalił się. Przez ten
czas namyślałem się, co zrobić, i postanowiłem gwałto-
wnie protestować przeciwko memu uwięzieniu. Po go-
dzinie nieznajomy się pojawił. A było już wówczas tak
ciemno, że nie wiedziałem, dokąd mnie prowadzono.
Przeszedłem przez jakieś podwórze, potem przez wązkie
schody, korytarz, a wreszcie wprowadzono mnie do po-
koju, gdzie znajdował się drugi nieznajomy, z orderem
legii honorowej w kłapie surduta. Mówił tylko po fran-
cusku. Kiedy począłem się skarżyć, uśmiechnął się, wzru-
szył ramionami i odparł, że powód aresztowania jest
mi dobrze znany. Później zaś rozpoczął badanie, pytając
przedewszystkiem o moje nazwisko. Wtedy jednak
oświadczyłem, że nie powiem nic, dopóki się nie dowiem,
co jest powodem mego uwięzienia.

— Młody człowieku, jesteś oskarżony o zdradę sta-
nu! — zawołał gwałtownie.

— Ależ przez kogo? — rzekłem zimno.

— Przez tego pana — odparł i wskazał na nie-
znajomego.

— Ależ nie znam go wcale!

— On zaś zna pana doskonale!

— Jeśli tedy — odparłem z podnieceniem — ten pan
oskarża mnie o zdradę stanu, niechaj wymieni moje na-
zwisko.

Naturalnie nieznajomy nic na to odpowiedzieć nie umiał. Po krótkiej chwili pan z orderem rzekł do mnie:

— Zostanie pan teraz przeprowadzony do miejsca, które może zdoła przełamać pański upór.

Teraz przyszła mi na myśl moja matka i siostra, ich troska o mnie, ich przerażenie. Zwróciłem się więc do nieznajomego uprzejmie.

— Sądzę, że pozwoli mi pan przynajmniej zawiadomić o moim losie kilku moich przyjaciół, którzy niedaleko stąd się znajdują?

— Nie, nie mogę się na to zgodzić.

— Ależ postępujcie jak święta inkwizycya! — zawołałem z rozgoryczeniem.

— Pańskie żądania są niedopuszczalne. Nie mogę zgodzić się na żadną komunikację z pańskimi przyjaciółmi. Poradzimy sobie, aby dowiedzieć się wszystkiego, co nam potrzeba. A teraz do widzenia!

W tej samej chwili zniknął, a jednocześnie wszedł żandarm, który zameldował po cichu drugiemu mojemu opiekunowi:

— Powóz już gotów, czeka po drugiej stronie Łaby.

Natychmiast po tem wyprowadzono mnie. Dalsze moje przygody są wam wiadome, bo wzięliście w nich decydujący udział.

— Bardzo dobrze, że nam pan to wszystko opowiedział — rzekł lakonicznie Stanisław — wiemy już, co robić.

— Sądzę — zauważył Bernard — że najlepiej będzie, jeśli ty wrócisz do swoich, a my sprowadzimy powóz. Łatwo ci będzie pod jakimkolwiek pozorem usprawiedliwić twoje chwilowe zniknięcie.

Plan był dobry, a ponieważ nie było wiele czasu do stracenia, przyjaciele rozdzielili się natychmiast. Ludwik

wrócił do kobiet, które powitały go serdecznie, a on, uspokoiwszy je zmyśloną na prędce opowieścią, zwiastował im, że pomoc lada chwila nadjedzie. I rzeczywiście nie upłynęło pół godziny, gdy nagle rozległ się trzask z bata i wjechał powóz. Woźnica, w osobie Bernarda, zeskoczył zręcznie.

— Zostałem furmanem — zawołał — gdyż jeden z naszych automedonów, upił się tak fatalnie, że nie można go wcale użyć.

Jednocześnie szepnął do ucha Ludwikowi, rzucając mu płaszcz furmański:

— Musisz się potem w to ubrać. Furmani są już zapłaćeni i wiedzą co mają zrobić.

Ludwik podziękował nieznacznym ruchem ręki przyjacielowi za jego usiłowania. Powrót ułożono w ten sposób, że w jednym powozie znalazły się same kobiety, w drugim mężczyźni. Tym drugim powoził Ludwik przybrany w płaszcz, który miał osłonić jego powierzchowność. Sieniawski, któremu opowiedziano całą historię, zaręczył, że jego mundur wystarczy, aby odwrócić grożące niebezpieczeństwo. Część drogi przebyto szczęśliwie, jadąc umyślnie powolniej, aby pierwszy powóz odalił się od nich na pewną przestrzeń. Bez przeszkody przybyli do bramy miejskiej. Tu jednak zatrzymał ich urzędnik policyjny i żandarm, wypytujac, skąd przybywają i co są za jedni. Jak to poprzednio umówiono, Sieniawski wysunął się naprzód. Jego mundur i jego wysoka ranga zdawały się imponować pytającym. Cofnęli się na bok i przez kilka minut rozmawiali ze sobą. Bernard, który nie spuszczał ich z oka, spostrzegł, że jakaś trzecia postać, szczelnie w płaszcz otulona, przybliżyła się do nich. Bystre spojrzenie malarza odkryło w tej tajemniczej figurze nieznanego wroga Ludwika.

Niebezpieczeństwo tedy było groźne, ale wówczas Sieniawski wychylił się z powozu i zaklął iście po żołniersku:

— Do stu kartaczy, na cóż jeszcze czekamy?

Wtedy żandarm przystąpił bliżej i, świecąc latarnią we wnętrze powozu, rzekł uprzejmie:

— Proszę mi wybaczyć, panie pułkowniku, ale mam bardzo ważne polecenie do pewnej osoby, która ma przybyć z Pillnitz, i dlatego muszę zobaczyć, czy nie znajduje się ona czasem między panami.

— A więc patrz, u diabła! — zawołał pułkownik. — Ci panowie są moimi kolegami, tam oto jest mój przyjaciel, i nikt z nas nie wyczekuje tu żadnych wiadomości w nocy. Zostaw nas w spokoju. Naprzód, woźnico!

Ludwik ruszył szybko z miejsca i bez żadnych przeszkód zajechał przed hotel de Pologne, gdzie mieszkał Sieniawski z obydwojoma oficerami. Tam też miał spędzić noc Ludwik, podczas gdy Bernard zajął się końmi i powozem.

III.

Następnego poranku Bernard wstał wcześniej, aby zobaczyć się z Ludwikiem. Idąc ulicą zamkową, rozmyślał, czy nie byłoby najlepiej, ażeby Ludwik na pewien czas oddalił się z Drezna. Tak zamyślony, potracił nagle jakiegoś przechodnia. Machinalnie obaj chwycili za kapelusze i mieli wzajemnie się przeprosić, gdy Bernard poznał, że ma przed sobą sprawcę całego nieszczęścia. Nie tracąc przytomności umysłu, Bernard obserwował, czy też nie został poznany. Nagle strzeliła mu do głowy myśl, czyby nie należało wybadać tego łotra i wydobyć od niego cenne wskazówki? Kolumb nie ucieszyłby się napewno

więcej widokiem Ameryki, niż Bernard swoim błyskawicznym planem.

— Jest pan bez wątpienia obcym, ale pomimo to wydaje mi się, że musieliśmy się gdzieś spotkać?

— I ja mam to wrażenie — odparł nieznajomy — okazując charakterystyczne zaniepokojenie człowieka, który napróżno usiłuje sobie przypomnieć okoliczności, wśród których zobaczył jakąś twarz ludzką.

— Mój Boże, teraz już wiem — zawołał nagle — przecież to z panem spotkaliśmy się wczoraj w Pillnitz.

— Ach tak! — wołał nieznajomy, wykrzywiając twarz z złośliwą radością. — Ale pan był w towarzystwie?

— Przechadzałem się z pewnym moim znajomym, którego spotkałem w gospodzie; potem wybraliśmy się na Porsberg, ale burza popsła nam nasze zamiary. Byłem w ciężkich opałach, bo powóz, który obstałowałem, nie nadjechał. Na szczęście z tego kłopotu wyratowało mnie kilku francuskich oficerów. Właśnie śpieszę do nich, aby im podziękować. Daruje więc pan, ale muszę już odejść.

Nieznajomy schwycił go za rękę.

— Jeszcze jedno słowo, łaskawy panie. Kto był pańskim towarzyszem?

— Doprawdy — odrzekł Bernard — nie mogę tego panu powiedzieć. Podróżuję wiele i spotykam wielu ludzi, których nazwiska zupełnie wylatują mi z pamięci. On jest jednym z takich. Nie mogę panu nic więcej o nim powiedzieć, jak tylko to, że pewnego razu spędziliśmy w Lipsku ze sobą wieczór. Mogę jednak panu ułatwić znajomość z nim, gdyż dzisiaj po obiedzie mamy się spotkać w winiarni Longa. Ale teraz nie mam już ani odrobiny czasu. Więc do miłego zobaczenia.

Nie czekając na odpowiedź, Bernard skłonił się

uprzejmie i pośpieszył szybko ulicą na dół, ale tylko po to, aby ukryć się za poblizkim domem i stamtąd śledzić podejrzaną osobistość. Kiedy zaś nieznajomy zniknął w jednym z okazałych domów ulicy zamkowej, Bernard pośpieszył szybko, aby wybadać portyera, kto to jest taki.

— Nazwiska jego nie znam — odparł zapytany. — Mieszka w tym domu, należy do ludzi barona St. Luces.

Bernard wiedział już wszystko. Jak strzała pobiegł do Sieniawskiego. Znalazł go razem z Ludwikiem i młodymi oficerami przy śniadaniu. Wiadomości jego wysłuchano chciwie. Kiedy Sieniawski usłyszał nazwisko St. Luces, zmarszczył czoło, zamyślając się ponuro.

— To nazwisko nie wróży nic dobrego dla ciebie, drogi przyjacielu. Ten człowiek jest radcą legacyjnym, zarazem urzędnikiem policyjnym i szpiegiem. Bardzo zręczny i nieoceniony, jest mściwy i okrutny, jeśli zagnie na kogoś parol. Właściwe jego nazwisko brzmi Rumigny, ale przez swoje łajdackie usługi zdobył szlachectwo i tytuł baronowski. Znam go aż za dobrze. Ale cóż u licha mógłbyś chcieć od ciebie?

Ludwik czuł się w obowiązku opowiedzieć swoją przygodę włoską ze wszelkimi szczegółami. Zamilczał tylko o miłości do Bianki.

— Teraz widzę — zauważył Sieniawski — jak bardzo poważną jest cała sprawa. Zupełnie o tem nie wiedząc, popełniłeś, mój przyjacielu, ciężkie przestępstwo. Musisz pozostać w ukryciu dopóty, aż dokładnie dowiemy się o wszystkim. Tutaj nikt cię nie widzi. Radziłbym także panu Bernardowi, aby pod żadnym pozorem nie spotykał się z owym nieznajomym.

— O siebie nie boję się — odparł Ludwik — ale cóż mam powiedzieć mojej matce, mojej siostrze?

— Trzeba im powiedzieć prawdę, nie więcej tylko prawdę. — Jakkolwiek bowiem nieprzyjaciele nie znają twojego nazwiska, ale jakżeż łatwo mogą się o niem dowiedzieć, a w tym wypadku matka twoja, nie wiedząc o niczem, mogłaby ci tylko zaszkodzić.

Ludwik uściśnął na znak zgody dłoń Sieniawskiego, oświadczając, że swój los jemu powierza.

— Nie mamy ani chwili do stracenia! Ukryjcie się tu w bocznym pokoju, a ja rozpocznę swoje badania. Postaram się również zawiadomić o wszystkim twoją rodzinę.

Bernard i Ludwik pozostali sami, rozmawiając długo o najrozmaitszych sprawach. Aż wreszcie Sieniawski powrócił.

— Moi drodzy, jesteście mężami — zaczął — a więc musicie znosić przeciwności losu. Wasza sprawa stoi jak najgorzej. Na dobitkę wszystkiego portyer domu, w którym mieszka St. Lucas, opowiedział jego sekretarzowi swoją rozmowę z panem Bernardem. Tenże sam portyer fatalnym przypadkiem zna doskonale was obu. Jesteście odkryci, a jeśli zostaniecie schwytani, grozi wam kula.

— A jeśli — zawołał Ludwik — oddałbym się dobrowolnie w ich ręce, żądając wyświeatlenia całej sprawy.

— W takim wypadku — odparł Sieniawski — nie zaręczylbym za twoje życie. Jak mi opowiedziano, ułatwiłś ucieczkę jednemu z najniebezpieczniejszych agentów tajnych naszych wrogów, który miał przy sobie bardzo ważne papiery.

— A czy wymieniono jego nazwisko? — przerwał żywo Ludwik, spodziewając się, że przynajmniej w ten sposób trafi na ślad ukochanej.

— Nie pytałem nawet o to. Kryje się w tem jakaś

dyplomatyczna tajemnica. W każdym razie wasza sprawa to sprawa gardłowa.

— Cóż więc uczynić? — zapytał Ludwik.

— Cóż więc uczynić? — powtórzył jak echo Bernard.

— Jest tylko jeden ratunek — odparł Sieniawski. — Trzeba, abyście wstąpili do pułku, który mam teraz formować. Tylko mundur otworzy wam drogę z Drezna. Na przyszłość zaś będziecie wolni od wszelkich zamachów, bo ja będę miał wszelkie prawo opiekować się wami i za was odpowiadać.

— A czy nie moglibyśmy pod ochroną munduru opuścić Drezno, a potem powrócić doń inną drogą? — zapytał Bernard, który mimowoli niedowierzał projektowi Sieniawskiego.

— W mojej mocy jest tylko wystawić wam pasporty do Warszawy. Tam zaś muszę was zameldować w komendzie dywizyi, do której należą. Gdybyście obrali inną drogę, niż tę, którą wskazują pasporty, byłibyście uważani za dezertersów i wtedy nawet moja obrona nicby nie pomogła. A jakąż drogą chcecie wrócić do Drezna? Policya zna was już doskonale, a wszystkie władze otrzymały rozporządzenie, aby was schwytać. Niema teraz ani jednego miejsca, do którego by nie dosięgła potęga policji francuskiej. Jedno jest tylko dla was schronienie, a tem jest wielka armia.

To mówiąc, Sieniawski usiadł na krześle i, opierając się na szabli, dodał krótko:

— Róbcie, jak chcecie, macie wóz i przewóz.

— A kiedy trzeba wyruszyć? — zapytał Ludwik.

— Stanisław i Bolesław — zaczął Sieniawski — wiedzą już o wszystkim. Stanisław otrzymał już nawet pasport kuryerski, pod tym pozorem, że dla reorganizacji mego pułku muszę go wysłać jak najspieszniej. Wy obaj

otrzymacie pasporty ode mnie i będziecie mu towarzyszyć. Pieniądze otrzymacie także.

Ludwik i Bernard namyślali się jeszcze chwilę, ale ten namysł był zbyteczny. Pomoc, ofiarowana przez Sieniawskiego, była jedynem wyjściem z tej sytuacji. Tymczasem Bolesław przyniósł dwa mundury, które zamówił u francuskiego krawca pułkowego. Bernard i Ludwik ubrali się w nie, a Stanisław przygotował się do podróży. Za chwilę siedzieli już w powozie i, tęsknym obrzucając wzrokiem rodzinne miasto, przybrani we wspaniałe mundury, młodzieńcy jechali na niepewne losy, dziwnym przypadkiem rzućeni w samą otchłań rozpoczynającej się dopiero wojny.

IV.

W niedzielę po południu Stanisław, Ludwik i Bernard zobaczyli wieże Warszawy. Długi czas droga prowadziła przez ciemny las sosnowy, aż wreszcie, wspinając się po pagórku porośniętym małym zagajnikiem, szeroki otworzyła widok. Na dalekim horyzoncie widać było dumne pałace i wieże Warszawy. Pełen ogniściego temperamentu Stanisław zatrzymał pocztyliona i wyskoczył szybko z powozu.

— To jest moje miasto rodzinne! — zawołał. — Ośm lat nie widziałem go, ale znam każdy dom, każdy dach, każdy kamień. Pójdźcie, przyjaciele, przez te zarośla prowadzi ścieżka, którą dojść można wprost do miasta. Idąc, pokażę wam wszystkie te dziwne miejsca, albowiem, jak daleko wasze oko sięga, niema jednej piędzi ziemi, na której-by się tu krew nie lała. Patrzcie, oto jest Wielka Wola, gdzie w roku 1794 bił się Kościuszko, tutaj na lewo, za tym lasem sosnowym, widzicie Wawer, gdzie także

łała się krew polska i gdzie zginęło wielu z moich krewnych. Wolałbym jednak, abyśmy tu stanęli ze wschodem słońca. Może to zły znak, że po tylu latach niewidzenia spostrzegam moje rodzinne miasto oblane czerwoną pożogą zachodu.

— Jesteś złym prorokiem — zawołał Bernard. — Ja ci tę sprawę inaczej wyłożę. Znajdujesz się w swojej ojczyźnie na wiosnę, kiedy wszystko wschodzi, rozwija się, kwitnie, nawet na grobach są kwiaty, a w sadach, koło których przejeżdżaliśmy, lekki wiatr wiosenny porusza morzem kwieciami. Twój kraj stoi przed tobą ozdobiony i ustrojony, jak narzeczona z zielonym wieńcem na głowie i kwiecistą zasłoną. I dlatego wróżę wam na jesień dojrzałe owoce. Będziecie obchodzić niebawem żniwa, pełne radości i wesela.

— Dobrze przepowiadasz — zawołał Stanisław i uściśnął serdecznie Bernarda. — Oby się tylko spełniło! I niechajbym ja sam był w ciemnym grobie, bylebym tylko wiedział, że leżę w wolnej, szczęśliwej polskiej ziemi.

Tak rozmawiając, zeszli młodzieńcy z pagórka i kroczyli teraz wąską ścieżką, pomiędzy bujnemi łąkami, podczas gdy Stanisław wskazywał im różne miejscowości, objaśniając ich historyczne znaczenie.

W pół godziny stanęli na wielkiej ulicy, gdzie czekał na nich powóz, i ruszyli szybko w kierunku miasta.

Za Wielką Wołą widać było już licznych przechodniów, jeźdźców i powozy.

Czarne, błyszczące oczy Stanisława badały pilnie, czy nie odkryją kogoś ze znajomych. Z pewnym smutkiem zauważył:

— To prawda, przez ośm lat można stać się obcym nawet we własnej ojczyźnie. Zdaje mi się teraz, że nie znam nikogo i nikt mnie nie zna.

Zanim jednak wymówił te słowa, kiedy jakiś głos kobiecy odezwał się z przejeżdżającego powozu:

— Hrabia Stanisław! czyż to możliwe? czy to pan, a może się mylę?

Stanisław odwrócił się szybko na dźwięk tego głosu i zawołał radośnie:

— Hrabina Mycielska! O Boże! a więc mnie pani poznaje.

Powóz zatrzymał się, a Ludwik i Bernard mogli się teraz przyjrzeć dokładnie pięknej kobiecie. Była to postać smukła, wytworna, o czarnych oczach i czole śnieżnej białości, otoczonem dookoła bujnymi ciemnymi włosami. Teraz musiała już liczyć lat trzydzieści, ale wciąż jeszcze czyniła wrażenie młodości. Bernard wyćwiczonem okiem malarza odgadł odrazu, że musi to być siostra Sieniawskiego, zanim jeszcze Stanisław ją w tej roli im przedstawił.

— Jakżeż bardzo się cieszę, że spotykam tu panów! Cała Warszawa czeka niecierpliwie na napoleońskich żołnierzy. Musicie mi opowiedzieć zarówno o swoich przygodach, jak i o planach na przyszłość, i dlatego też zapraszam wszystkich do swego domu.

Hrabina mówiła to głosem pełnym nieklamanej uprzejmości i serdeczności. Następnie odjechała szybko, tłómacząc się, że pragnie przygotować dom swój na przyjęcie tak miłych gości.

— Dobry znak — zawołał Bernard. — W mieście, w którym wita nas tak majestatyczna Junona, cały Olimp stanie nam otworem.

Nasi przyjaciele zatrzymali się niebawem przed bramą, gdzie, jako cudzoziemcy, musieli się wpierw wylegitymować. Dopiero wieczorem stanęli przed pałacem hrabiny. Był to wielki budynek, utrzymany w szlachet-

nym, starożytnym stylu. Kiedy powóz zatrzymał się, dwóch służących wybiegło przed bramę, a trzeci, trzymając srebrny świecznik, prowadził ich do przygotowanego uprzednio pokoju.

— Hrabina — zaczął kamerdyner — prosi panów, aby raczyli się tutaj rozgościć. A później czekać będzie w salonie.

Podróżni przebrali się szybko w mundury nowo formującego się pułku. Już poprzednio umówionem było, że Ludwik i Bernard występować będą pod obcemi nazwiskami. Ludwik jako Soren, Bernard zaś jako hr. Lomond. Hrabina wyszła na spotkanie swych gości do drzwi salonu, witając ich serdecznie. Teraz można było zobaczyć, jak wspaniałą i szlachetną jest jej postać, jak bardzo podobną do brata.

— Proszę, niech panowie siadają — rzekła, zwracając się do wszystkich. — Przedewszystkiem, panie Stanisławie, kim są twoi mili towarzysze i z jakiego powodu włożyli mundur polskiego żołnierza?

— Najlepiej będzie, jeśli na to pytanie sami odpowiemy — odrzekł Bernard. — Jestem hrabią szkockim, urodzonym w Niemczech. Co do mego tytułu hrabiowskiego, sądzę, że nie jest on więcej wart od mego hrabstwa, które, niestety, tylko znikomym jest cieniem. Jeśli jednak ktoś lubi sławne nazwiska, sądzę, że moje powinno mu dogodzić. Z mojej strony jednak muszę wyznać, że bardziej dumny jestem z mego stanu, niż z mego nazwiska. Droższym mi jest moje rzemiosło malarskie, aniżeli moje herby. Łatwo może z tego pani hrabina wywnioskować, że malarz żywił zawsze hrabiego, za co mu tamten był serdecznie wdzięczny.

Z kolei przedstawił się Ludwik, tłómacząc, że powodem wstąpienia w szeregi napoleońskie była dawna

już skłonność do stanu żołnierskiego. Znajomość zaś z hrabią Sieniawskim skłoniła go do tego, że wytrał pułk polski.

— Jakże bardzo się cieszę — odrzekła hrabina — że przyjaźń mego brata uczyniła cię, panie, przyjacielem mej sprawy ojczystej. Tak, od wojny, która się teraz rozpoczyna, oczekujemy wiele, bardzo wiele.

— Oto także jedna z przyczyn — odparł Ludwik — dlaczego wstąpiłem do polskiego wojska, chociaż jestem Niemcem. Sprawa Polski w tej walce jest bez wątpienia słuszna i piękna. Nie jest powołaniem Niemca walczyć za chwałę francuskiego cesarza, kiedy ojczyzna moja znajduje się w równie nieszczęśliwym położeniu, jak i Polska. Zadaniem niemieckich żołnierzy będzie podtrzymać sławę naszego oręża. Nic ponad to!

Takie było poznanie z hrabiną, która w odpowiedzi na wynurzenia Ludwika mówiła długo o losie nieszczęśliwej Polski, i to z takim ogniem i temperamentem, że aż w podziw wprowadzał Bernarda i Ludwika.

Dni piękne, beztroskie płynęły im w wytwornym pałacu hrabiny. Prawie codziennie przez salony jej przesuwało się wiele osób ciekawych i godnych uwagi. Obaj młodzieńcy zawiązali liczne stosunki i znajomości.

Stanisław spotkał w domu hrabiny krewną swoją, Ludwikę, która z dniem każdym coraz bardziej go zachwyciła.

Niebawem jednak rozpoczęła się służba. A było to w tym czasie, kiedy władze wojskowe otrzymały wiadomość, że jeden z generałów rosyjskich, powracając z tajnymi zleceniami dyplomatycznymi z Francji, ukrył się w mieście i przy najbliższej sposobności zamierza uciec. Według niektórych wersji miał to być generał Cz..., którego na rozkaz Napoleona miano uwięzić w r'aryżu, lecz, dość wcześnie ostrzeżony, zdołał umknąć. Inni twier-

dzili, że to hr. Wincingerode, Niemiec, pozostający w służbie rosyjskiej. Niezależnie od tego wymieniano jeszcze wiele najrozmaitszych nazwisk, tak, że nic pewnego nie można było stwierdzić.

Brzegi Wisły zostały obsadzone gęsto rozstawionymi żołnierzami. Pomiedzy nimi znalazł się i Bernard. Stanowisko jego wypadło naprzeciwko wązkiej uliczki, zamkniętej dwoma murami, okalającymi ogrody klasztorne. Druga uliczka przecinała ją pośrodku, prowadząc do Wisły. O dwieście kroków stąd znajdował się najbliższy i zarazem ostatni posterunek.

Północ dobiegała. Było bardzo ciemno i deszcz mżył zwolna. Wieżycy starego klasztoru, które odcinały się dotychczas, jak ciemne sylwety na niebie, zniknęły zupełnie, tylko mdłe światła lampy migotały w kilku okienkach. Naokół panowała cisza ponura. Czasami słyhać było w dali głos słowika, albo jednostajny szmer rzeki.

— To dobrze przynajmniej, że mam wzrok ostry. Trzeba tu dobrze wysilać oczy, żeby zobaczyć kogokolwiek pełzającego w ciemności.

Tymczasem jednak w oknie klasztorne pojawiła się na chwilę lampa, rzucając silny refleks światła. Poruszyła się kilka razy szybko i znikła znowu.

— Teraz zupełnie już nic nie widzę. Przeklęte światło oślepiło mnie zupełnie. Gdyby ktoś chciał tutaj uciekać, uczyniłby najrozsądniej, świecąc w pierw szyldwachowi olbrzymią latarnią w oczy.

Wtem stała się rzecz niespodziewana. Nad brzegiem Wisły błysnął jakiś tajemniczy płomień. Szybko kombinując, doszedł Bernard do przekonania, że to zjawisko jest w ścisłej łączności ze światłem z klasztoru. Stanął bez ruchu i nasłuchiwał. Doleciał go odgłos cichych kroków. Ktoś zbliżał się szybko, lecz ostrożnie. Słyhać

było nawet rozmowę prowadzoną szeptem. Teraz byli już blisko. Bernard wyciągnął przed siebie karabin i zawołał po polsku:

— Kto tam?

Przez chwilę było zupełnie cicho; potem jakaś ciemna postać pewnym krokiem postąpiła naprzód i głębokim, niskim głosem rzuciła odpowiedź, której jednakże Bernard wcale nie zrozumiał.

— Nie umiem po polsku — odparł na to wymownym frazesem, jednocześnie jednak wyciągając szablę przed siebie, dał do poznania, że nikogo tu nie przepuści.

— A więc mówmy po francusku! — zauważył miły głos kobiety.

— Doskonale, ale najlepiej po niemiecku — odrzekł Bernard po francusku.

— Niemiecki żołnierz — zawołał ten sam głos z radosnem zdziwieniem.

— Tak, a ponieważ rozumiecie język niemiecki — odparł Bernard — posłuchajcie, co wam powiem. Oto nie wolno mi przepuścić nikogo, kto nie okaże potwierdzenia, że się meldował na odwachu...

— O mój Boże! — zawołała kobieta drżącym głosem — zależy nam bardzo na pośpiechu. Ten mąż pobożny niesie ostatnie pocieszenie umierającemu, który znajduje się po drugiej stronie Wisły. Czyż należy stawać na przeszkodzie tak wzniosłemu dziełu?

Teraz dopiero zobaczył Bernard, że nieznajomy otulony jest w kaptur mnisi, a za nim stoi postać kobieca.

— Rozkaz jest najzupełniej wyraźny i muszę się go trzymać. Lecz jeśli to, co mówicie, jest prawdą, zejdźcie pomiędzy tymi murami na dół, a w odległości dwustu kroków spotkacie następny posterunek; tam pytajcie o oficera. Znajduje się on na odwachu i prawdopodobnie ka-

że kilku ludziom przeprowadzić was do miejsca, gdzie macie dokonać swego dzieła.

— O dwieście kroków stąd znajduje się najbliższy posterunek? — zapytał tajemniczy mąż głosem, który nie miał nic wspólnego z pokorą chrześcijańską.

— Tak, dwieście kroków.

— To dosyć daleko.

— Nie mogę na to nic pomódz.

Nieznajomy zdawał się wahać; przez chwilę panowało naprężone milczenie. Wtem od strony rzeki błysnęło znowu jaskrawe światło pochodni i wiosła uderzyły o wodę. Bernard, zdumiony, obrócił się nieroztropnie w stronę rzeki. Przecucie jakiegoś związku pomiędzy tem światłem a ludźmi, stojącymi obok niego, zaświtowało mu w duszy. Zanim jednak zdążył cokolwiek postanowić, silna dłoń chwyciła go za kark i błysnął sztylet, godzący w pierś jego. Zdradziecki cios zawiódł jednak, trafiając w szeroki ramię karabinu. Wystarczyło to, aby Bernard zręcznym skokiem wyswobodził się z niebezpiecznego położenia. W mgnieniu oka lewą ręką uchwycił w przegubie dłoni morderczą, a w prawej świsnęła szabla. Nieznajomy uchylił się jednak przed ciosem i padł na ziemię. Bernard wy dobył pistolet i, przykładając mu lufę do piersi, zawołał:

— Jeśli się ruszysz, zginiesz natychmiast!

W tej samej chwili kobieta rzuciła się do nóg Bernarda i, podnosząc ramiona w górę, błagała głosem pełnym przerażenia:

— Litości, litości! Nie zabijajcie go!

Bernard zatrzymał się zdumiony; ten głos przenikał do głębi jego duszy. Chciał już wołać głośno o pomoc, ale widok kobiety, obejmującej w rozpacz jego kolana, powstrzymał go.

— Dobrze, nie będę się mścił — rzekł stanowczo — ale obowiązek żąda, abym was uważał za moich jeńców!

— A więc strzelaj, młody człowieku — zawołał nieznajomy ponuro — niewola jest dla mnie gorszą od śmierci.

— O mój ojczy, mój ojczy! — rozpaczła młoda dziewczyna — nie, nie, to się stać nie może. On musi się zlitować!

To mówiąc, zwróciła się znowu do Bernarda.

— O panie, czuję, że jesteś człowiekiem wykształconym. Twoje serce zrozumie straszliwą boleść córki. Będziemy zgubieni, jeśli nie pozwolisz nam uciec. Bądź współczynnym i pozwól nam odejść. Chciałam ci ofiarować złoto, ale nie odważyłabym się nigdy obrazić męża, od którego żądam czynu szlachetnego!

Bernard walczył ze sobą.

— Ja nie mogę, niech pani przestanie! Każde słowo przypomina mi tylko o moim obowiązku. A wiem, kogo mam przed sobą.

Tymczasem nieznajomy podniósł się z ziemi.

— Jakikolwiek przyczyny mogły cię tu sprowadzić, mój panie, jesteś Niemcem i przysięgam ci, że w niczem wobec swej ojczyzny nie zawinisz, jeśli pozwolisz nam uciec.

— Na Boga! — zawołała młoda dziewczyna, wznosząc rękę do przysięgi.

— To nie jest zbrodnia, o co błagamy. Serce moje, dusza moja nie dźwignęłaby nigdy zarzutu, iż domagałem się od kogoś czynu podłego.

W oddali słychać był szczeł broni, ktoś nadchodził. Bernard słuchał przerażony.

— O niebiosa! — zawołała znowu. — Jeszcze jedna minuta, a jesteśmy zgubieni!

I ten głos, pełen wzruszenia, zwyciężył wreszcie.

— Uciekajcie więc — zawołał gorączkowo i opuścił dłoń uzbrojoną.—Lecz ja nie mogę, nie chcę wiedzieć, dokąd! Prędeż!

— Dzięki, dzięki! — szepnęła piękna postać głosem, w którym łzy i radość łączyły się razem. Chwyciła jego rękę i chciała ją ucałować, lecz Bernard cofnął ją łagodnie i szepnął gorączkowo:

— Śpieszcie się, na Boga, nadchodzą już!

Lecz uścisk dłoni dziękującej nappełnił pierś jego dziwnem uczuciem i wlał ogień w serce, które kołatało się niespokojnie. Chwila ta stała mu się radosną i przekłętą zarazem, bo, łącząc dwie dusze w najświętszem odczuciu, miała je rozdzielić i jak kropla jedna utonąć w bezmiarze oceanu.

— Ależ przenigdy! — wykrzyknął. — Należy mi się chociaż wspomnienie na przyszłość.

Mimowoli pociągnął za rękawiczkę nieznaną, jakby w niej widział jakiś talizman. Jednocześnie jednak poczuł pod palcami pierścionek. Wzruszenie ścisnęło go za gardło, kiedy pomyślał, że to właśnie może być znak nieomylny, który go złączy z nieznaną istotą. Zatrzymując więc dziewczynę, która śpieszyła za ojcem, zawołał:

— Nie wiem, kogo tutaj spotkałem, lecz błagam, zechciej mi pani zostawić ten pierścień, za pomocą którego odnajdziemy się znowu w szczęśliwszych czasach.

A jednocześnie starał się zdjąć swój pierścionek. Ona zaś wahała się przez chwilę:

— Właśnie ten pierścień, właśnie ten — zaczęła.

Lecz Bernard, bojąc się odmowy, przerwał jej dziko:

— Tak, właśnie ten, albo nic!

Trzymając w rękę oba pierścionki, dodał natychmiast:

— Twój pierścień, pani, nie może być droższy od mojego. Oddając go, tracę może z nim razem wszystkie nadzieje, lecz wierzę w to mocno, że odzyskam go jeszcze w przyszłości.

Nieznajoma, śpiesząc się, szybko zawołała:

— Dobrze, lecz kiedy wojna się skończy, muszę go mieć z powrotem. Niech Bóg otacza opieką swoją mego wybawiciela!

Głos jej załamał się dziwnie, a kiedy chciała wyswobodzić rękę z uścisku Bernarda, ten podniósł ją do ust i złożył na niej gorący pocałunek.

Ledwo zajął z powrotem swój posterunek, kiedy usłyszał, że łódź odbija od brzegu i oddala się coraz bardziej szybkimi uderzeniami wiosel. Odetchnął z ulgą.

— Teraz są uratowani, a czas był wielki.

Kroki żołnierzy zbliżały się coraz bardziej. Bernard słyszał jeszcze uderzenia wiosel, kiedy stanęli przed nim.

— Nic nowego na posterunku? — zapytał podoficer.

— Nic — odparł Bernard stanowczo.

Miejsce przyjaciela zajął Ludwik. Bernard był wolny. Szybko pośpieszył do domu, postanawiając po drodze nie opowiadać nikomu o swej nocnej przygodzie. Kiedy się znalazł w swoim pokoju, co rychlej zapalił światło, aby obejrzeć pierścień.

Ale czekała go wielka niespodzianka.

— Na szatana! — zawołał, oglądając go przy świetle świecy. — Czy zwaryowałem, czy złe duchy drwią ze mnie?

Na palcu lśnił jego własny pierścień.

— O, ja głupiec! — wołał znowu. — Te niezręczne, nieokrzesane ręce zmieniły pierścień. Jakież to głupie, jakież to głupie! Kiedy ona odkryje mój błąd, jakże

śmiesznym będzie jej się musiał wydać romantyczny wybawiciel.

Wzruszenie opanowało go i łzy ukazały się w oczach. Usiadł i, kryjąc twarz w dłoniach, mówił do siebie:

— Znam to, znam. Ileż to razy doświadczałem przygód podobnych. Jest to fatalizm przypadku, który mści się na mnie za to, że, śmiejąc się, wykrzywiam twarz do niego. Niestety, nie zdołałem jeszcze odkryć wszystkich jego chytrości. Jakżeż często, gdy mi się zdaje, że do serca przyciskam przyjaciela, albo kochankę, on podsuwa mi kukłę słomianą. I to boli bardzo, bo każdy tęskni za wspomnieniem chwil pięknych. Nie pragnę odnaleźć jej znowu, bo napewno będzie lepiej, jeśli jej nie znajdę. Co w tajemniczym płaszczu nocy miało urok czarownicy, to w pełnym blasku promieni słonecznych stać się może pospolitem. A jeślibym chciał ją znaleźć, znalazłbym ją bez pierścienia — lecz wspomnienie jest zawsze skarbem.

Nawpół śniąc, rzucił się na łóżko. Lecz wiele jeszcze godzin minęło, nim zasnąć zdołał.

V.

Sieniawski przybył do Warszawy i otrzymał natychmiast rozkaz przyspieszyć sformowanie swojego korpusu. Dzień w dzień odbywano ćwiczenia służbowe, rozstawiano warty, wreszcie organizowano ćwiczenia w polu. Ani oficerowie, ani żołnierze nie mieli czasu na rozrywki. Oczekiwano przyjazdu cesarza, a Sieniawski chciał mu wystawić choćby jeden korpus zupełnie zorganizowany.

Pewnego wieczora Sieniawski wszedł niezwykle pod-

niecony do sali, w której siedzieli Stanisław, hrabina i Helena, i rzekł:

— Los nasz rozstrzygnięty. Cesarz wyjechał z Dreżna 29-go maja. Zatrzyma się kilka dni w Poznaniu, potem jedzie prawdopodobnie do Torunia. Warszawę pominie. Otrzymałszy rozkaz wyruszać jutro i obrać drogę na Kowno. Jeszcze jeden dzień mamy przed sobą; spędzimy go tu, w kółku domowem. Dziś mogę być jeszcze bratem i przyjacielem; jutro będę tylko żołnierzem.

Przy tych słowach płomień zapaliły mu się w oczach i wzmogły szlachetność jego rysów łagodnych, a poważnych.

Lecz ta wiadomość, prawie radosna dla mężczyzn, napełniła smutkiem serca kobiet. Ludwika zbladła i drżała, jak przestraszona sarenka. Na twarzy hrabiny widać było wielkie poruszenie.

— A więc naprawdę walka zacznie się.

— Wojna — mówił Sieniawski dalej — jest nieodwołalną, a wszystkie układy, które rozpoczął Narbonne, na nic się nie zdały. Mówił, że jabłkiem niezgody była nasza ojczyzna. Napoleon chce, abyśmy byli wolnym, niezależnym narodem. Rosya łupu, raz zdobytego, nie chce z rąk wypuścić i będzie się bronić. Zobaczymy, czy Herkules, przed którym drży cała Europa, zwycięży.

Siostra pogłaskała go łagodnie po włosach i rzekła:

— W twoim głosie czuję zwątpienie. Nie upadaj na duchu.

Sieniawski uśmiechnął się lekko.

— Przychodzą czasem na mnie takie chwile zwątpienia, ale trwają krótko. Nie myślmy jednak o tem teraz! Gdy nadejdzie chwila działania, nikt z nas nie zawiedzie. Przez dziś i jutro należę jeszcze do was. I oto przypominam sobie — mówił dalej, rzucając spojrzenie

na Ludwikę — że mamy jeszcze sprawy domowe do załatwienia.

Ludwika, zawstydzona, spuściła swe piękne oczy na ziemię, a lekki rumieniec pokrył jej delikatne policzki.

— Tak, moje dzieci — ciągnął Sieniawski, ogarniając jednym spojrzeniem Stanisława i Ludwikę. — Czyście się zastanowili jednak nad tem, co chcecie uczynić? Któż mógłby być przeciwnym waszej miłości? Każde z was jest warte drugiego, ale, doprawdy, nie są to czasy stosowne do miłości. Czy można wierzyć w siew, który się rzuca wśród burzy? Rzucilibyście się w rwący strumień, nie wiedząc, czy fala was rozdzieli, czy na jaki szczęśliwszy brzeg wyrzuci.

— To prawda — zawołał Stanisław żywo — nie mogę w tych niepewnych czasach starać się, Ludwiko, o ciebie, ale możemy przynajmniej powziąć związek nadziei.

Sieniawski nie sprzeciwiał się już więcej i młodzi zaręczyli się niebawem. Po krótkiej uroczystości, która odbyła się natychmiast wśród najbliższych przyjaciół, rozmowa powróciła znowu do spraw zbliżającej się wojny.

— A więc pojutrze wyruszamy — rzucił ktoś, jakby przypomnieć pragnął niedaleką przeszłość.

— Ja już otrzymałem rozkaz — odparł Sieniawski.— Razem ze mną wyrusza pułkownik Regnard, dragoni i trzy kompanie konnej artylerji. Co prawda będzie nas dużo i trzeba będzie patrzeć, jak zaprzyjaźnione wojsko zacznie zjadać moich biednych rodaków.

Ożywiona rozmowa ciągnęła się jeszcze długo, a brali w niej udział Bernard i Ludwik, składając życzenia świeżo upieczonej parze narzeczonych.

Sieniawski był ciągle bardzo ożywiony, i to nadawało mu wiele niezwykłego wdzięku.

— Jaka szkoda — zawołał nagle — że nasz przyjaciel Bernard ma tyle do czynienia z szablą, iż o pędzlu zapomniał, musiałyby nam bowiem narysować coś na pamiątkę.

— Bernard przyrzekł mi — zawołał Stanisław — portret Ludwiki.

— Niema już czasu na malowanie — odparł Bernard — ale mogę spróbować rysunku. Wieczór należy do nas. Spróbuję tedy szkicować i rozmawiać razem ze wszystkimi. Pozwólcie mi tedy urządzić małe atelier, a sądzę, że będę mógł wam zostawić małą pamiątkę.

!Wszyscy zgodzili się chętnie na projekt Bernarda, stosując się do jego życzenia i rozporządzeń. Rozmowa toczyła się dalej, a Bernard, biorąc w niej udział, szkicował piękną postać Ludwiki. Po dwóch godzinach był gotów. Wszyscy cisnęli się żywo do niego, oglądając jego pracę. Zanim ją jeszcze odsłonił, zawołał:

— Niech nikt nie spodziewa się za wiele, jest to tylko nawpół udany żart, nic więcej. Gdybym miał dosyć czasu jutro powtórzyć go raz jeszcze, zniszczyłbym rysunek, co stwierdzam słowem artysty.

Skoro odsłonił papier, ujrzano sylwetkę Ludwiki i Stanisława, wykonaną doskonale i uderzająco prawdziwą. Szczególnie Stanisław był uradowany i wołał radośnie:

— Co za wspaniały podarunek! Co za podwójna niespodzianka! Jakżeż mam za to dziękować, że mogę zabrać ze sobą podobiznę mej narzeczonej, a jej swoją zostawić.

Tymczasem Ludwik oglądał rysunki uważniej od innych i po kilku chwilach rzekł, uśmiechając się lekko.

— Teraz wiem już, dlaczego otoczyłeś obie głowy gotycką ramą. Pomysł jest bardzo dobry i jeszcze lepiej wykonany.

— Tak, ty znasz mnie dobrze — odparł Bernard. — Ty wiesz, że ja najwyżej sto kroków mogę ujść prostą drogą, a potem muszę koniecznie skręcić na bok.

Zwróciło to uwagę reszty towarzystwa i wszyscy zaczęli śledzić ponownie rysunek. Okrzyk zdziwienia wyrwał się wszystkim, kiedy przyjrżeli się dokładnie ozdobom utrzymanym w staroświeckim tonie. Były tam bowiem twarze obecnych doskonale uchwycone. Był tam Sieniawski i jego siostra, Ludwik i Bolesław. Była tam i jego twarz własna, patrząca ze złośliwym uśmiechem na własne dzieło. Ten żartobliwy, lecz przyjemny zarazem dodatek do podarunku przyjęty został z najwyższem uznaniem. A najszcześniejszym ze wszystkich był naturalnie Stanisław.

Jakkolwiek wszyscy mieli dosyć powodów do myśli smutnych lub co najmniej poważnych, żart artystyczny młodego malarza rzucił niejako w ich umysły snop wesołego światła. I tak oto sztuka spełniła i tutaj swe piękne zadanie, polegające na tem, aby, wkraczając w życie pełne srogiej powagi, rozświetlać jego ciemne ścieżki. I nigdy nie będziemy dość wdzięczni Stwórcy, który z spokojnym wdziękiem zsyła nam ze swego nieba cudowną postać, aby łagodziła ostre rysy rzeczywistości i aby nad szumiącym wirem namiętności roztoczyła lśniąca tęczę, która nam mówi, że promienie boskiego słońca dochodzą jednak czyste do najgłębszych, najstraszniejszych przepaści ziemi.

*

*

*

Już od wczesnego ranka na ulicach Warszawy łoskot bębnow, granie tręb wzywały wojsko do wymarszu. Słuchała ich z trwogą Ludwika, odgadując niejako niebez-



Marszałek Berthier.

pieczeństwo, które zabierało jej ukochanego. Podobnie poruszona, słuchała ich hrabina, ale była zanadto Polką, aby ten obraz wojenny nie budził w niej uczuć dumy i nadziei.

Wtem na korytarzu rozległ się dźwięk szabel i ostróg. To Sieniawski i jego przyjaciele przychodzili pożegnać się po raz ostatni. Byli już w pełnym uniformie i to dodawało im powagi i spokoju. Sieniawski przycisnął siostrę do piersi i rzekł stanowczo:

— Udajemy się w pochód radosny. Nasze dusze przejęte są nadzieją, nasz sztandar powiewa znowu dumnie! Żegnaj, siostrzo, i twoje błogosławieństwo niech towarzyszy naszym zamiarom. Czy wrócimy, czy też padniemy na polu walki, to wszystko jedno, byleby tylko ojczyzna nasza była wolną.

To powiedziawszy, ucałował jeszcze raz siostrę, dotknął ustami bladych policzków Ludwika i, wypadłszy na ulicę, szybko skoczył na konia.

Tymczasem Stanisław, wzruszony bez miary, tulił do swych piersi narzeczoną. Miłość dla ojczyzny kazała mu co rychlej śpieszyć naprzód, lecz serce wzdrygało się na samą myśl, że będzie musiał porzucić ukochaną. Lecz ona nie płakała. Czasami tylko po całym jej ciele przebiegał dreszcz przerażenia. Męka, którą przeżywała teraz, bez łez była, widoczna tylko w bladeści lic i tem drżeniu niespokojnem. Stanisław oddał ją hrabinie, która tulić ją poczęła w swoich ramionach. Po chwili Ludwika otworzyła oczy, z których popłynął strumień łez. Ale obok nich nie było już nikogo, tylko na ulicy zabrzmiała trąba i słychać było tętent nadciągającej kawalerii. Hrabina pośpieszyła do okna. Był to nowy pułk Sieniawskiego, który, z muzyką na czele, zbliżał się do pałacu, aby tam spotkać się ze swym pułkownikiem. Kil-

ku oficerów pędziło galopem naprzód, aby powitać Sieniawskiego, który wyjechał już naprzeciwko nich na pięknym siwym arabisie. Za nim widać było Stanisława na złotym kasztanie i Bolesława na karym ogierze.

Głośno zabrzmiał okrzyk żołnierzy, pozdrawiający swego pułkownika. W przejrzystym rannem powietrzu powiewały chorągwie. Lśniła broń w blaskach słońca. Konie parskwały i uderzały niecierpliwie kopytami. Pióropusze powiewały i coraz barwniejszem, coraz ruchliwszem stawało się całe widowisko. Nawet boleść Ludwiki uspokoiła się nieco. Patrząc na ukochanego, który jako mąż i bohater w blasku chwały wojennej wyruszał na bój, znalazła w tem pociechę. Bo miłość, która wyrasta z wzajemnego szacunku, ma siłę znoszenia cierpień i bólei. Jej serce miłujące czuło się teraz w obowiązku ułatwić ukochanemu godzinę rozstania. Właśnie odezwały się dzwony kościoła, gdzie odbywała się msza za powodzenie żołnierzy. Niebo stawało się coraz jaśniejszem, coraz radośniejszem. Ptaki po drzewach ćwierkały radośnie. Najpiękniejszy słoneczny poranek użył piersiom krzepiącego powietrza. I zdawało się, jakby łaska boża spłynęła na ludzi i krzepiła ich niewyczerpaną dobrocią, jakby mówiła do nich: „Jakie tylko bólei sprowadzi szaleństwo wasze na ziemi, będę zawsze gotów leczyć wasze rany ręką błogosławiącą“.

Sieniawski zobaczył kobiety na balkonie i pozdrowił je wesoło. Na twarzy jego widniało szlachetne natchnienie. Ślady smutku zginęły już bezpowrotnie i oto pełen nadziei i wesela pojawił się przed swymi żołnierzami, aby rozpać w ich sercach to samo uczucie.

Stanisław był mniej swobodny. Po chwili jednak opamiętał się znowu i, aby zapomnieć, skierował całą uwagę

na ludzi, konie i uprząż, rzucając tylko kiedy niekiedy żalosne spojrzenia na balkon.

Tymczasem pułk ustawił się w szyku, frontem do ulicy. Wszystkie okna wszystkich domów zapelnione były widzami. A w niejednym pięknym oku błyszczała łza.

— Formuj się! — zabrzmiała komenda Sieniawskiego, który, jak strzała, pędził od prawego skrzydła i spojrzeniem sokolim cały pułk ogarniał.

— Pierwszy szwadron naprzód, marsz! Szwadronami na prawo, zachodź!

Zabrzmiały trąby. Sieniawski skoczył na czoło pułku i prowadził go popod oknami swego własnego pałacu. Raz ostatni salutował w stronę kobiet. We wszystkich oknach powiewały białe chustki. Polki żegnały Polaków!

Był to wspaniały widok, kiedy żołnierze wyciągnęli się długą linią i kiedy niebawem pierwszy szwadron stanął na moście, pod którym szumiały fale Wisły. Oba brzegi pokryte były olbrzymim tłumem ludzkim, daleko brzmiały wesołe okrzyki, szczęk broni i loskot kopyt końskich. Tłum ludzki przejęty był uczuciem wielkiej nadziei i, zapominając o smutkach przeszłości, patrzył odważnie w najbliższą przyszłość.

ROZDZIAŁ TRZECI.

I.

W dobrach hr. Dołgorowa, które leżały niedaleko Smoleńska nad Dnieprem, niezwykle panowało poruszenie. Dwie wiadomości, które dotarły do mieszkańców zamku jak i wsi okolicznych, wywołały niesłychane wrażenie. Jedna z nich, radosna, donosiła o przybyciu hrabiego z Petersburga. Hrabia od dwóch lat bawił za granicą, a przez ten czas administracya dóbr jego dawała się bardzo we znaki biednym poddanym. I dlatego wiadomość ta powszechną obudziła wesołość, którą jednak mocno osłabiała wiadomość druga, przywieziona ze Smoleńska przez głównego zarządcę dóbr. Oto nieprzyjaciel wkroczył już w granice państwa rosyjskiego i wojna rozpoczęła się na dobre. Wojska rosyjskie, odparte przez zwycięskiego cesarza Francyi, cofały się na wszystkich punktach. Jak zwykle w podobnych wypadkach, wieści były mocno przesadzone. Powiadali jedni, że książe Bagration na głowę pobity został. Według innych generał Barclay de Tolly zderzył się pod Grodnem z marszałkiem Davoust i po krwawej bitwie rozpoczął odwrót. Mieszkańcy wierzyli tedy, że zguba jest nieuchronną. Chłopi

gromadzili się przed bramą zamku, żądając rady i wieści. Jakkolwiek przybycie hrabiego wlewało w ich serca niejaką nadzieję, uspokoić się nie mogli. Sędziwy ksiądz tej wsi, ojciec Gregory, musiał użyć całej powagi swego stanowiska, aby uspokoić struchlałe serca.

— Narodem naszym — mówił on — opiekuje się Ojciec Niebieski, Maryja Matka i wszyscy święci. Nie opuszczą was nigdy. Naród rosyjski nie może pójść pod jarzmo Francuza. Św. Iwan, którego krzyż błyszczy na cerkwi moskiewskiej, potężniejszy jest od tysięcy tych cudzoziemskich zdobywców. Mówię wam, że to oni idą na zgubę! Dlatego powinniście nie rozpaczać, ale chwycić za broń, aby nadciągający nieprzyjaciół na żadnym miejscu nie zaznał wychnienia; aby na jedną chwilę znużonej głowy do spoczynku złożyć nie mógł.

Tak mówił ojciec Gregory, a chłopcy słuchali go ze zdziwieniem i szacunkiem, bo już od lat pięćdziesięciu był ich dusz pocieszycielem.

Zamek leżał na wyżynie, z której wszystkie skrzyżt Dniepra widoczne były jak na dłoni. Rzeka wije się między zielonymi wysokimi pagórkami, na których widać także drogę, prowadzącą do Smoleńska, którego wieżyce odcinały się czarną sylwetą na niebie. Jeden z wieśniaków, obserwujący okolice, zawołał nagle:

— Tam oto pan nasz przybywał

Wszyscy zwrócili spojrzenie w tamtą stronę i zabrzmiało okrzyk radości, kiedy na drodze ukazały się trzy powozy. Cały tłum rzucił się naprzeciwko, aby powitać przybyłego. W istocie był to hrabia Dołgorow z żoną i córką Anną Feodorówną; w pierwszym powozie siedziały obie kobiety, w drugim znajdował się hrabia z nieznajomym, o wyglądzie żołnierza; w trzecim mieściło się kilku słuzących.

Kiedy hrabia zobaczył swych włościan zgromadzonych tak licznie, zatrzymał powozy i wszyscy wysiedli. Pokornie, z rękoma na piersiach skrzyżowanymi, starali się ucałować kraj jego sukni. Mężczyźni otaczali hrabiego, kobiety hrabinę. Te zwykle zresztą obyczajem w podobnych okolicznościach zdawały się razić hrabiankę, piękną, wyniosłą postać dziewczęcą.

Tymczasem zbliżył się i ojciec Gregory, aby pozdrowić hrabiego.

— Patrzenie, ojciec Gregory — rzekł Dołgorow — a ja już obawiałem się, że was, ojczy, nie zobaczę nigdy, lecz cieszę się teraz, że słońce tej wiosny świeci wam jeszcze.

— Moje siły nie osłabły jeszcze — odparł duchowny. — Chociaż każdego dnia gotów jestem stanąć przed tronem Boga, korzystam jednak dotąd z Jego łaski, aby spełniać obowiązki, które Bóg złożył na moje barki.

Tymczasem nadeszła hrabianka; witając duchownego, zawołała:

— Cóż to za wielka radość dla mnie oglądać cię, ojczy, w tak dobrym stanie zdrowia.

Ojciec Gregory, wzruszony niepomiernie, zawołał:

— [Widocznie ochraniał cię aniołowie boscy, moja córko, albowiem powróciłaś do nas jeszcze piękniejszą, niż odeszłaś. Święci, do których modliłem się codziennie za ciebie, wysłuchali widocznie mojej modlitwy.

— O tak, Bóg pomagał nam zawsze w niebezpieczeństwach i trudach — odparła dziewczyna i chciała mówić jeszcze więcej, ale błyskawiczne spojrzenie ojca zmusiło ją do milczenia. Natychmiast potem nieznajomy, wysoki czterdziestoletni mężczyzna, przystąpił do niej, podając jej rękę, poprowadził w dalszą drogę. Hrabia postępował razem ze swymi poddanymi, wypytyjąc poszczegól-

gólnych o zdarzenia, które zaszły podczas jego nieobecności.

— Straciłeś żonę, Iwanie? — zapytał starszego już wieśniaka.

— Tak, wielmożny panie, umarła mi na jesieni roku przeszłego i od tego czasu niema gospodyni w moim domu.

— Twój najstarszy syn powinien się już ożenić — odparł hrabia. — Córka Wasyla będzie jego żoną. W najbliższych dniach wyprawię im wesele.

Starzec sklonił się pokornie i dziękował hrabiemu za jego rozkaz.

Administrator wypytywał ostrożnie o wypadki wojenne.

— Nieprzyjaciel ciągnie w stronę naszej granicy — odparł hrabia. — Wojska jego są bardzo liczne i dzielne. Przybyłem tu specjalnie dlatego, aby wydać, z powodu wojny, konieczne rozporządzenia.

— Słyszałem dziś w Smoleńsku... — zaczął administrator z miną wielce poważną.

— Prawdopodobnie te same głupie plotki, które i mnie prześladowały — przerwał hrabia surowo, kończąc rozmowę.

Administrator zauważył jeszcze raz trwożliwie:

— Byliśmy tutaj bardzo przerażeni...

Ale hrabia, który bardzo niechętnie rozmawiał ze swymi podwładnymi, odwrócił się od niego i rzekł do duchownego:

— Będę potrzebował waszej pomocy, ojcze, aby utrzymać moich poddanych w odwadze i zaufaniu, zwłaszcza że przez rozszerzanie głupich pogłosek napełniają się ich dusze niepotrzebną troską.

— Będę się starał podnieść serca ludu — odparł oj

ciec Gregory — i rozplómić je znowu dla wiary ojców i starego tronu naszych monarchów.

— Uczynisz dobrze, ojcze — odparł hrabia — ale więcej niż miłości, trzeba nienawiści, skierowanej ku nieprzyjaciołom. Trzeba tę armię nadciągającą przedstawić, jako gromadę zbójów, którzy przychodzą niszczyć nasze pola, pustoszyć nasze wsi i miasta, uprowadzać trzodę, gwałcić żony i córki, a mężczyzn mordować.

— Sądzę — odparł ojciec Gregory — że przychodzą oni raczej jako wrogowie Boga, jako burzyciele naszych świątyń i za tę zbrodnię przede wszystkim mścić się nad nimi należy; bo czyż warto bronić tylko znikomych dóbr doczesnych?

Hrabia zamyślił się głęboko, niezadowolony z odpowiedzi duchownego. Nie mówił jednak nic, znając dobrze niewzruszoną stałość jego przekonań.

W ten sposób podróżni dotarli aż do bramy zamkowej. Dołgorow wszedł do swojej posiadłości, a chłopci zostali zewnątrz. Tylko ojciec Gregory towarzyszył hrabiemu, wezwany skinieniem ręki.

— Czekaaj na nas, ojcze, w sali jadalnej. Jak tylko zmienimy nasze ubrania podróżne, będziemy cię tam szukać. Ja sam pragnę mówić z tobą w sprawie ważnej i niecierpiącej zwłoki.

To mówiąc, zniknął za drzwiami, które prowadziły do jego pokoju. Kobiety poszły również przebierać się, nieznanego zaprowadzono do pokojów gościnnych.

Ojciec Gregory znalazł się w sali, której progu od lat dwóch nikt nie przestępował. Łączyła ona w sobie dziwną mieszaninę stylu. Cztery wysokie okna gotyckie otwierały widok na pola położone nad rzeką, a błyski zachodzącego słońca padały przez nie do sklepionej sali. Ściany były ozdobione słupami z czarnego marmuru. Po-

między nimi wisiały olbrzymie portrety przodków Dołgorowa. Podłoga była drewniana, tak samo i sufit ozdobiony złotą sztukaterią w stylu Ludwika XIV. Od sklepienia zwieszały się dwa starożytne świeczniki, a oprócz tego stały wokoło olbrzymie dwuramiennie kandelabry. Całość uderzała bogactwem i wspaniałością, ale jednocześnie był w niej jakiś ton ponury, odpychający, tak, że nawet krajobraz, niebo, ujęte w ramy okien gotyckich, przypominało jesień, chociaż to był dopiero czerwiec, pierwszy wiosenny miesiąc tego kraju.

Gregory usiadł na jednym ze starożytnych krzeseł; zatopił się w ciężkich smutnych myślach i ani spostrzegł, jak hrabia Dołgorow wszedł do sali. Pomimo całego dumnego wyrazu i pańskiego spojrzenia, postać jego wyrażała smutek i niepokój.

— Muszę z tobą mówić o bardzo ważnych rzeczach, ojcze Gregory — zaczął — korzystajmy natychmiast z chwili, że jesteśmy sam na sam.

— Żyjemy w czasach bardzo poważnych — zauważył ojciec Gregory.

— Zanim rozpoczniemy mówić o tem, co obchodzi kraj i nas wszystkich, będę mówił o tem, co mnie obchodzi. Nieznajomy, który mi towarzyszy, jest to książę Ochalskij, pułkownik wojska cesarskiego. Pragnę niezwłocznie, aby córka moja została jego żoną, lecz ona opiera się temu i chce wstąpić do klasztoru, aby nie poddać się woli ojcowskiej. Wy, ojcze Gregory, macie największy wpływ na jej serce, od was tedy żądam, aby córka moja była znowu mi posłuszną. Wiesz pewno, ojcze, jak wiele w tych dniach ciężkich poświęciłem ojczyźnie; ważność moich obowiązków pociągnęła za sobą ofiary. Jestem już doszczętnie zrujnowany, a jednak nie stanąłem u celu mych dążeń. Ślub mej córki z księciem jest

wybawieniem pod każdym względem. Odda mi bowiem w ręce nie tylko olbrzymie bogactwa, ale i potrzebne stosunki do wywalczenia należnego mi stanowiska. Córka moja może uratować szczęście i honor ojca. A że do ciebie, ojczy, odnosi się z pełnym zaufaniem, od ciebie też żądam pomocy. Mógłbym ją wprawdzie zmusić do ślubu przemocą, ale nie chciałbym tego uczynić chociażby z tego względu, że księżę wstydziłby się żenić z kobietą, którą tylko przemoc rzuciła w jego ramiona.

Ojciec Gregory milczał przez chwilę, a potem odrzekł łagodnie:

— Boli mnie bardzo, jeśli ojciec i córka żyją w niezgodzie, ale znam serce Anny: jest ono szlachetne, łagodne i dobre. I skoro zwraca się do rzeczy wzniosłych i świętych, skoro porzucić pragnie zwodnicze uroki świata, sługa boży nie może jej odwozić od tego.

Hrabia porwał się gwałtownie z miejsca i z gniewem spojrzeniem zawołał:

— A więc i tutaj spotykam się z oporem? Czyż jest obowiązkiem duchownego otaczać opieką nieposłuszne dzieci? Lecz jeśli tak, będę bezwzględny i potrafię dopiąć swego, pomimo wszelkich przeszkód.

Gregory patrzył na hrabiego bez gniewu i rzekł łagodnie:

— Nie zrozumiałeś mnie, hrabio. Pragnę przedewszystkiem wybadać twoją córkę i czy naprawdę czuje powołanie do stanu duchownego. Być może, że szuka ona w tem tylko schronienia przed małżeństwem nie odpowiadającym jej myśli. Wybór męża należy zawsze do ojca, lecz jeśli chce pozostać dziewicą i przywdziać szaty zakonniczki, nie można jej przeciwdziałać.

Dołgorow chciał odpowiedzieć, ale w tej samej chwili

weszła hrabina. Tłumiąc tedy w piersiach namiętny gniew, zwrócił się do niej:

— Witam cię, droga małżonko, w tych dobrze ci znanych murach. Sądzę, że nasze nieznośne troski pozwolą nam jednak spędzić tu kilka dni spokojnych.

— Pragnęłabym bardzo — odparła hrabina — ale któż wie, co przyniosą najbliższe miesiące naszej biednej ojczyźnie.

— Ja czekam niecierpliwie zimy, która w tak bardzo srogiej postaci pojawia się w naszym kraju. Nieprzyjacieli nie zdaje sobie sprawy, że podczas siedmiu miesięcy bronić nas będą lepiej od najwaleczniejszego wojska wały i mury śnieżne. Poświęcimy nieprzyjacielowi może żniwo jednego roku i część naszych lasów, ale nic więcej. Oddajmy mu ziemię naszą na przeciąg jednego lata, a za to na rok przyszły zbierzemy bogate żniwo, jego krwią użyźnione. Wielki zdobywca jest podobno niezwykłym w bitwie. Ale cóż uczyni, jeśli pola nasze zamieniają się w garść tlejących popiołów? Niech więc przekracza swój Rubikon, nie wróży mu to nic dobrego.

— Jeśli lud rosyjski działać będzie zgodnie — zauważył ojciec Gregory — nawet wojska Kserksesa nie wystarczą, aby podbić naszą ojczyznę.

Książę Ochalskij wszedł do sali ubrany już w mundur swego pułku. Dołgorow pozdrowił go i w dalszym ciągu prowadził rozmowę.

— Na wielkiej naradzie wojennej w Petersburgu — rzekł książę — postanowiono zostawić nieprzyjacielowi jak najdłużej pozór zwycięstwa. Lecz nasze wojska będą nie tylko tam stawiać opór, gdzie zdobycz musi być okupiona olbrzymimi stratami. [Walną bitwę odwlekać będziemy. Napróżno będziemy gonić za nami w długich marszach. Nie znajdzie nigdzie spokoju dla zmęczonych

żołnierzy; wszędzie powita go straszliwa pustynia, aż wreszcie pomiędzy wodzem a żołnierzami zupełne nastanie rozdwojenie.

— Oby Bóg dał — rzekła hrabina, wzdychając ciężko — aby ten plan się powiódł. Lecz boję się, że wymaga on zbyt wielkich ofiar.

— Ofiary nie będą za wielkie — odparł książę — kilka wiosek i miast, cóż to znaczy wobec olbrzymich rozmiarów naszego państwa. A zresztą łaska cesarza wynagrodzi wszystkie szkody.

— Lecz gdzież jest moja córka? — rzekł nagle Dołgorow, spoglądając niecierpliwie na drzwi.

— Idź — rozkazał jednemu ze służących, który stał przy drzwiach, gotowy na każde skinienie swego pana — i powiedz hrabiance, że czekamy na nią niecierpliwie.

II.

Ledwo Anna Feodorówna weszła do swego pokoju, natychmiast wysłała pokojówkę, aby ta zawołała kilka młodych dziewczyn, które niegdyś wychowywały się z nią razem na zamku. Los tych biedaków wydawał jej się ponurym. Zakosztowawszy lepszych warunków i wyższego wykształcenia, musiały powrócić potem do swoich nędznych mieszkań i zajęć rodziców. Mimowoli przyszły jej na myśl teraz towarzyski lat dziecińczych, z którymi przeżyła niejedną chwilę prawdziwej wesołości. Były to trzy dziewczyny w jej wieku: Katinka, Olga i Aksinia. Z nich jednak tylko jedna Aksinia wydawała się naturą szlachetniejszą, o silnie rozwiniętych władzach uczuciowych. Kiedy przyszły teraz, Katinka i Olga przyjęły podarunki z poddańczą wdzięcznością, Aksinia zaś

była wzruszona, jakgdyby jakiś tajemny smutek ciążył na jej duszy.

Anna usiłowała ją wybadać, ale skromna dziewczyna milczała zawzięcie, a tylko łzy rześiste płynęły z jej oczu. W tej chwili wszedł służący, oświadczając, że hrabia wzywa córkę.

— Proszę powiedzieć ojcu, że przyjdę w tej chwili— odrzekła Anna Feodorówna.

— A z wami muszę się teraz rozstać, — rzekła do dziewcząt — lecz jutro wczesnym rankiem odwiedźcie mnie znowu!

Dziewczyny wyszły, tylko Aksinia postępowała powoli.

— Czy chcesz czegoś ode mnie? — zapytała Anna, spostrzegłszy to.

Aksinia, zapłakana, nie mogła zdobyć się na odpowiedź, gdyż drżała na całym ciele.

— Chcesz pewnie mnie tylko coś wyznać?

— Tak, tak! — zawołała szybko, płacząc.

— A więc zaczekaj tu, w moim pokoju, kiedy wrócę po kolacyi. A Katinka powie twemu ojcu, że wrócisz później.

Dziękując, chwyciła Aksinia rękę swej dobrodziejki i obsypała ją pocałunkami.

Anna pośpieszyła na dół, do sali, gdzie wszyscy siedzieli przy wieczerzy. Nastrój był zimny i niewesoły. Nieznośne poczucie wewnętrznego rozłamtu pomiędzy zebranymi tamowało każde wolniejsze i cieplejsze słowo. Nawet ojciec Gregory nie mógł pogawędzić swobodnie z ukochaną uczennicą. Po wieczerzy odszedł czempredzej, posyłając tylko litościwe spojrzenia w stronę dziewczyny, a ona zrozumiała to dobrze.

O Boże! sprawcami wszystkich mąk jej duszy byli

rodzice, którym przez całe życie najgorętszą okazywała miłość, gotowa zawsze do ofiar i poświęceń. Aby ukryć swe łzy, przystąpiła do okna i patrzyła na krajobraz, oświetlony jeszcze czerwonym błyskiem zachodzącego słońca. Pomiedzy pagórkami płynęła rzeka wstęgą błyszczącą, a na fali kołysały się lekko dwie łodzie rybackie. Na szeroko rozpiętych skrzydłach kołysał się ponad lasem jastrząb potężny. Warowne wieżycy Smoleńska na jasnym tle nieba wyglądały jak czarne złomy skał bazaltowych. Uroczysta cisza panowała wszędzie. Anna Feodorówna patrzyła żałośnie na pole, gdzie szczęśliwe dni swego dzieciństwa przeżyła.

— Ach! — westchnęła cicho. — Czyż moje serce jest obcą rośliną na tej ziemi? Czyż to nie ona mnie wyżywiła? A może łagodniejsze obyczaje i niebo południowe tak mnie odmieniły, że już żyć nie mogę na srogiej północy. Kołyska mego dzieciństwa spogląda ku mnie ponuro, jakby miała się w mój grób zamienić. To uczucie owija mi się koło serca, jak zimny wąż!

Szybko obróciła się od okna, chcąc rzucić się do nóg ojca i matki i błagać ją o wolność, ale w sali nie było już nikogo. Nawet ksiązę Ochalskij odszedł bez pożegnania.

Anna wróciła do swego pokoju, gdzie czekała na nią Aksinia.

Stanąwszy na progu swego pokoju, ujrzała dziewczę modlące się gorąco przed obrazem Matki Boskiej. Twarz, łzami oblana, podniesiona była w górę, pierś podnosiła się szybko, a usta pruszały się w modlitwie.

Anna szepnęła cicho:

— Aksinio, ty się modlisz!

Dziewczyna zerwała się szybko, a Anna, ujawszy ją pieszczotliwie, rzekła:

— A więc teraz powiedz mi o wszystkim, co cięży twojej biednej duszy.

— Nie jestem godną, powinnam być wzgardzoną, odepchniętą — zawołała dziewczyna, załamując rozpaczliwie ręce.

Anna spojrzała na jej twarz miotaną przerażeniem, wstydem i boleścią i rzekła poprostu:

— Aksinio, ty upadłaś!

— O pani, odpędź mię od siebie, ale bądź mi miłosierną!

— Twoją winę osądzi Bóg, a ja nie odpędzę cię od siebie, zaufaj mi, powiedz wszystko, co się stało.

Aksinia całowała pokornie jej rękę, uspokoila się i rozpoczęła opowiadanie.

Pomiędzy służbą hrabiego znajdował się młody Niemiec, imieniem Paweł, z zawodu ogrodnik. Od dłuższego już czasu młodzi podobali się sobie, ale ojciec Aksinii, Wasyl, nie chciał się zgodzić na to małżeństwo, bo hrabia był nieobecny, a jego pozwolenie koniecznie było potrzebne. Tymczasem miłość młodych wzrastała ciągle. Paweł, jako cudzoziemiec, wolniejszych był obyczajów i nie widział w tem nic zdrożnego, i sądził, że Aksinia tem prędzej powinna zostać jego żoną. Tylko w jej sercu trwoga nie ustawała ani na chwilę. Dni i noce płynęły w niewysłowionej udręce. Aż wreszcie powrót hrabiego przywrócił jej pewną nadzieję. I Paweł obiecywał sobie wiele od pana, który okazywał mu zawsze wiele sympatyj. Wmieszany w tłum włościan, udał się na powitanie hrabiego, lecz tam usłyszał przyrzeczenie pana, mocą którego córka Wasyla miała być poślubioną synowi starego Iwana. A wiedział, że hrabia takich przyrzeczeń nigdy nie cofa. W trwodze śmiertelnej pośpieszył do Aksinii i opowiedział jej wszystko. A ta wezwana właśnie przez

panienkę do zamku, postanowiła jej wszystko wyznać i na klęczkach błagać o pomoc i radę.

Kiedy hrabianka wysłuchiwała już opowiadania, rzekła po namyśle:

— Nic straconego, Aksinio, jutro rano pomówię z ojcem i może wszystko da się na dobrą wprowadzić drogę. Jeśli ojciec myśli tak jak ja, to twoje małżeństwo z Pawłem jest tylko prostym obowiązkiem. Teraz idź do domu i nie rozpaczaj, bo są na świecie jeszcze inne równie nieszczęśliwe, jak i ty.

To mówiąc, Anna ukryła twarz w poduszkach, a Aksinia, ucałowawszy jej rękę, odeszła cicho.

Zasnawszy w tej pozycyi, obudziła się dosyć późno. Kiedy zadzwoniła, ukazała się natychmiast jej pokojówka, Francuzka Jeanette. Na twarzy jej malowało się wielkie wzburzenie, a w oczach błyszczały łzy.

— Ach, wielmożna pani, jakżeż strasznie obchodzą się w tym kraju z ludźmi. Nieszczęśliwy człowiek nie przeżyje napewno tej srogiej kary. Czterdzieści knutów. O Boże, o Boże!

— Ależ kto, kto!? — wołała Anna nawpół żywa z przerażenia.

A kiedy Jeanetta wymieniła imię Pawła, ogrodnika, hrabianka upadła na poduszki, tracąc zupełnie przytomność. Ale tylko chwil parę trwała ta niemoc. Niebawem podniosła się i zawołała szybko:

— Rozkaż ludziom, aby wstrzymali się, na moją odpowiedzialność! Śpiesz, śpiesz na dół, nim będzie już zapóźno.

Jeanneta pobiegła szybko na podwórze, gdzie trzech parobcy wiązali już nieszczęśliwego. Tymczasem hrabianka, narzuciwszy suknie, pobiegła do ojca. Znalazła go wielce podnieconego, krążącego po swoim pokoju tam

i napowrót. Przyjął ją z ponurem wejrzeniem i ostrym głosem zapytał:

— Czego chcesz?

— Łaski, łaski dla nieszczęśliwego, mój ojcze! O, cofnij twój straszny rozkaz. Nie mogę uwierzyć, aby twe serce zdolne było do tak strasznego wyroku.

— A czy znasz jego przestępstwa? — zawołał hrabia gniewnie. — Wszyscy ci cudzoziemcy są zdrajcami, wybiła godzina zemsty naszej. Muszą się poddać naszemu prawu i poznać, że w tym kraju wszyscy muszą być posłuszni swemu panu.

— Nie znam jego winy — odparła Anna — wiem tylko, że losy jego wiążą się do pewnego stopnia z Aksinią.

— Ach, więc jesteś w porozumieniu z moimi służącymi! — zawołał hrabia zdumiony. — A więc wiesz już o wszystkim, zanim to jeszcze do moich uszu doszło. Słuchasz tego, co nie przystoi ci, jako dziewczycy!

Rumieniec wstydu oblał twarz hrabianki.

— Towarzyszka moich lat dziecińczych, nieszczęśliwa Aksinia, wyznała mi, mój ojcze, swoją winę wśród łez, Nie możesz mnie z tego powodu obwiniać.

Hrabia, wzruszony przez chwilę słowami córki, odparł znowu głosem surowym:

— Darowałbym mu, że podeptał cześć biednej dziewczyny, gdyby mi wyznał to w czasie odpowiednim. Ale ten tchórz nie odważył się nawet ust otworzyć. Dopiero dzisiaj rano przyszedł do mnie, jak szaleniec, i zamiast błagać, żądał małżeństwa z Aksinią. A kiedy mu odmówiłem, ten zuchwalec groził mi nożem.

To mówiąc, Dołgorow wskazał na stół, na którym leżał nóż ogrodniczy.

— To było szaleństwo bez wątpienia! Daruj, ojcze, daruj!

— Dosyć już!—odparł hrabia surowo.—Co się ma stać, stać się musi.

W tej samej chwili rozległ się krzyk głosu kobiecego i ukazała się Aksinia.

Kilku służących napróżno usiłowało ją powstrzymać; upadła na ziemię i, obejmując rękoma kolana Dołgorowa, wołała:

— Łaski, łaski!

— Zostaw mnie, bezwstydna dziewczko! — zawołał.— Powinnaś być mi wdzięczną, że twoją hańbę chcę ukryć uczciwem małżeństwem.

Aksinia zwróciła się teraz do hrabianki, wołając:

— O pani! prosz, prosz za mnie!

Anna walczyła ze straszliwym postanowieniem.

Wreszcie, przysunawszy się do ojca, zawołała cicho:

— Ojcze, łaski, łaski! Jestem gotowa na wszystko, dla zbawienia tych dwóch niewinnych ofiar. Nie mogę patrzeć na krew. Niech się stanie, co się stać ma. Łaski dla nich, a ja zostanę żoną księcia.

Więcej nie mogła mówić. Siły jej wyczerpały się zupełnie i bezwładna osunęła się w ramiona Dołgorowa.

Hrabia złożył ją na krzesło i, zawoławszy służącego, rzekł krótko:

— Każ rozwiązać ogrodnika Pawła. Na razie jest wolny. A po drodze zawołaj pokojówkę hrabianki!

III.

Uroczyste zaręczyny miały nastąpić zaraz. Ślub jednak wymagał zwykłych w tym wypadku uroczystości, tak, że postanowiono czekać na czasy dogodniejsze.

Zaraz po zejściu Dołgorow i Ochalskij, poszli zawiadomić o wszystkim hrabinę, która wiadomość tę przyjęła z wielką radością.

Kiedy Anna stanęła przed matką, ta przyjęła ją dobrotliwie.

— A więc chcesz być nam posłuszną, chcesz wypełnić nasze żądania? — zapytała łagodnie.

— Tak, zgadzam się na to, ale żądam, abym mogła rozporządzać dowolnie losem Aksinii i Pawła.

— Ojciec nie będzie miał nic przeciwko temu.

— I jeszcze jeden warunek. Proszę o zwłokę trzech dni, dla zebrania sił moich. Czwartego dnia jestem gotową zamienić pierścionek z księciem. Do tej pory chcę pozostać w samotności, w towarzystwie ojca Gregorego.

Wracając do swego pokoju, spotkała hrabianka po drodze Pawła, którego twarz wybladła najwyższe budziła współczucie. Zaprowadziła go do pokoju, gdzie znajdowała się Aksinia. Łącząc ich ręce, rzekła do nich:

— Bądźcie szczęśliwi! Nie byliście bez winy, ale odpokutowaliście ją ciężko. Połączcie się węzłami ślubnymi i opuszczajcie szybko ten kraj nieszczęśliwy.

Odwróciła się od nich, aby ukryć smutek, i stanęła przy oknie. Wiosna zdobiła ziemię, użyczając jej wdzięków młodości. Wierzchołki kołysały się lekko na błękitnem tle nieba. W zaroślach brzmiał głos ptaków, ponad polami kołysał się skowronek, a jaskółki przesywały powietrze. Na zielonych pagórkach widać było pasące się trzody owiec. Wszędzie, gdziekolwiek oko spojrzało, życie i radość. Wtem rozległ się uroczysty głos dzwonu, wzywający na służbę bożą.

Anna poczuła ulgę.

— Bóg jest blisko mnie! — zawołała. — Czuję jego

siłę błogosławioną. A więc odwagi. Skoro działałam w myśl jego przykazań, nie może mnie opuścić.

Tak pokrzepiona udała się do cerkwi, aby wysłuchać nabożeństwa. Kiedy powróciła, w zamku panowało wielkie poruszenie. Skoro tylko zobaczyła kozackiego konia przy bramie, poznała odrazu, że nadeszły jakieś nowe wieści. Niebawem też w pokoju jej pojawił się ojciec i tak do niej przemówił:

— Moja córko, żądałaś trzydniowej zwłoki. Chętnie bym ci jej użyczył, gdyby nie wiadomości, które otrzymałyśmy przed kilku minutami. Nieprzyjaciel przekroczył już Niemen i z nadzwyczajną szybkością zbliża się ku nam. Ja i księżę Ochalskij musimy czemprowadzić wracać do armii. W takich warunkach musisz zgodzić się na to, aby zaręczyny odbyły się natychmiast, skoro od chwili obecnej życie twego ojca i małżonka wielce staje się niepewnem.

— Jeśli tak być musi, zgadzam się na wszystko. Za godzinę będę gotowa.

— Przygotujemy się tymczasem do podróży; bo każda minuta jest teraz droga. Za godzinę przyślę po ciebie.

Hrabianka padła wyczerpana na krzesło.

— Jeszcze jedna godzina i wszystko przepadło.

Zadzwonila. A kiedy pojawiła się Jeannette, rzekła do niej cicho:

— Musisz mnie ubrać do zaślubin, moja kochana.

— Którą suknię mam wydobyć?

— Czarną... ach, nie, białą! Przecież nie mam po kim przywdziać żałoby, chyba po sobie samej.

Niebawem piękna i wyniosła ukazała się Anna Feodorówna w sali, gdzie czekali na nią rodzice, Ochalskij i ojciec Gregory. Powitano się w milczeniu.

— Pragnę, aby zaślubiny moje pobłogosławił ojciec Gregory, choćby to było wbrew zwyczajom — rzekła hrabianka tonem łagodnym, ale stanowczym.

Ojciec Gregory przemówił w kilku zaledwie słowach, poczem natychmiast zamieniono pierścionki. Kiedy narzeczony złożył na jej czole pocałunek, Feodorówna westchnęła sicho i zemdląła.

Pozostawiono ją opiece matki, bo Dołgorow i Ochalskij nie mieli już ani chwili czasu do stracenia.

IV.

Dnia 22 czerwca Sieniawski połączył się z główną armią, którą sam cesarz prowadził. Rozkaz, który otrzymał po drodze, opóźnił jego marsz. Pozostałe części wojska, pułk Regnarda, artylerya i dwa szwadrony ciężkiej kawaleryi, które połączyły się z nim pod Łomżą, nie mogły maszerować zbyt szybko. Właśnie słońce chowało się za granatowy pas boru, okalający zachodnią część widnokregu, kiedy z wyniosłości zobaczono armię francuską. Czarne masy wojska ciągnęły się daleko, pokrywając łagodną wklęsłość, ciągnącą się od pagórków nadniemeńskich, aż do skraju olbrzymich lasów.

Sieniawski, w towarzystwie Bernarda i Ludwika, których traktował do pewnego stopnia, jako swoich ordynansów, wyprzedził swych żołnierzy o tysiąc kroków.

— Patrzcie, przyjaciele! — zawołał — cały świat pod bronią! Na przestrzeni całej mili ciągną się te ścieśnione kolumny, a dalej maszerują jeszcze masy olbrzymie. Cóż to za duch potężny, który tyle tysięcy sił potrafił mocą swej woli w jednym punkcie zgromadzić! Wszystkie języki Europy słyhać w tem obozowisku. Od sąsiadów Ebro i Wezuwiusza, od synów Alp i Pirenejów,

aż do szczepów słowiańskich, zamieszkujących stepy dalekie, każde miasto, każda wioska wysłała tu jednego syna, a wszyscy postępują za nim, pełni walecznego uniesienia. Patrzcie na tę wspaniałą artyleryę, która umieściła się na tym stoku. Obliczam jej siły na cztery do pięciu tysięcy armat, a przecież jest to tylko połowa tej, którą wiezie ze sobą Napoleon, aby siać zniszczenie w szeregach nieprzyjacielskich.

Sieniawski zatrzymał się i patrzył uważnie wokoło.

— Tutaj, w kierunku tych trzech drzew leży Kowno. Rosyanie będą go prawdopodobnie bronić do upadłego. Tam idzie droga do Królewca i łączy się za temi zarosłami z naszą. Ta miejscowość przy lesie nazywa się Pilwiszki. Przyjrzyjcie się tym miejscowościom dokładnie, bo może jeszcze tej nocy będę was musiał wysłać ze sztafeta.

Kiedy Sieniawski zaznajamiał swoich przyjaciół w ten sposób z całą okolicą, nadciągnął jego pułk; stanął tedy na czele jego i prowadził w stronę obozu. Ledwo dosięgli pierwszych straży, dopadł ich oficer sztabu generalnego.

— Polecono mi, panie pułkowniku, wskazać miejsce, gdzie się ma rozłożyć obozem pułk pana. Jest to ten właśnie pagórek, który leży w bliskości gwardyi cesarskiej.

Sieniawski poznał się odrazu na wyróżnieniu, jakie go spotkało, i wyraził z tego powodu wielką swą radość.

Z oficerem sztabowym na czele, ruszył dalej pułk na miejsce swego przeznaczenia. Widowisko było bardzo różnorodne. Żołnierze przeciągnęli najpierw koło długich szeregów ciężkich armat i wozów z amunicją.

— To są kości wojennego potwora — rzekł Ludwik do Bernarda,

— Albo raczej jego paszcza ziejąca ogniem.

Nastąpiły biwaki piechoty i pułk Sieniawskiego przedzierał się z trudem przez liczne gromady żołnierzy, snujących się koło rozłożonych ogni. Z oddali dolatywały tony muzyki, która grała Marsylianę. Na tylnym planie widać było kilkunastu grenadyerów, zgromadzonych koło ognia. Brodaty saper zajęty był pilnie przyrządzaniem wieczerzy w wielkim kotle. Żołnierze byli weseli i śmieli się z sapersa, który chronił troskliwie swą brodę od niespokojnych płomieni. Obok stało dwóch i fechtowało się zawzięcie. Inni siedzieli albo leżeli, oglądając bezmyślnie przeciągający pułk.

O kilka kroków dalej zebrała się inna gromadka, słuchając uważnie sentymentalnego romansu, wygrywanego na małym flecie:

„Il pleut, il pleut, bergère!“

Ta ulubiona piosenka podniecała widocznie uczucia jakiegoś sierżanta, który zdala od swoich kolegów prawil widocznie słodkie komplementy zgrabnej markietance.

— Miłość rozbija wszędzie swoje namioty — rzekł Bernard z uśmiechem.

Ludwik milczał, bo słowa Bernarda otudziły w nim przykre wspomnienia.

Wreszcie pułk dotarł do biwaków kawaleryi, gdzie stały konie w długich szeregach uwiązane do liny. Ich rżenie rozlegało się daleko. Kiedy pułk zbliżył się do nich, jeden z koni wyrwał się, jakby pragnął stanąć w bratnich szeregach. Kilku dragonów ruszyło za nim, aby go chwycić, ale koń przewrócił kilka kotłów i w dzikich skokach uciekał za obóz. Żołnierze piechoty, którzy obozowali w pobliżu, wybuchnęli na ten widok wesołym śmiechem. Także i polscy jeźdźcy przyglądali się temu

przedstawieniu, gdy nagle zabrzmiała komenda Sieniawskiego:

— Baczość! W prawo patrz!

Jakiś generał francuski przejeżdżał mimo na wspinałym siwoszu, którego czaprak gęsto usiany był złotem.

Przelotnie pozdrowił żołnierzy i przyglądał się im uważnie wielkimi rozumieniami oczyma. Jego atletyczna postać, ogień spojrzenia i rysy surowe budziły mimowoli poszanowanie. To też w obozie zapanowała cisza. Żołnierze przeżyli się w karnej postawie, aż wreszcie zniknął.

Ludwik, na którym nieznajomy zrobił wielkie wrażenie, zapytał Bolesława:

— Kto jest ten generał?

— Marszałek Davoust! — brzmiała odpowiedź.

Zapadał już zmierzch, kiedy pułk znalazł nareszcie swoje miejsce. Był to poprostu pagórek z wielką polaną otoczoną dookoła zaroślami. O kilkaset kroków stąd, na szczycie drugiej wyniosłości, widać było namiot cesarza, na którym powiewała trójkolorowa chorągiew. Dwóch starych grenadyerów stało na straży. Oficerowie sztabowi, generałowie, adjutanci snuli się tam bez przerwy. Bernard patrzył w skupieniu na ten namiot, gdzie w tej chwili rozstrzygały się losy Europy. Niebawem jednak razem z innymi musiał zabrać się do najprzyjemniejszej pracy żołnierza: urządzenia obozu.

Rozkielznano konie, ustawiając je rzędem, rozpalono ognie, około których gromadzili się wszyscy rozpoczynając rozmowy wesole. Zabrzmiały pieśni, aż wreszcie nadciągająca noc zesłała zmęczonym żołnierzom sen, i w całym obozie nastąpiła głęboka cisza.

V.

Północ minęła już. Przy wielkiem ognisku, pod rozłożystym dębem otulony w płaszcz swój leżał Sieniawski i spał na prostem legowisku słomianem. A koło niego ułożyli się: Bolesław, Stanisław, Bernard i młodszy oficerowie.

Wtem przerwał ciszę głos ordynansa, pytającego o pułkownika. Nim jednak zdołał mu odpowiedzieć Ludwik, który właśnie straż pełnił, już Sieniawski obudził się na pierwszy dźwięk swego nazwiska i zawołał:

— Co tam?

Ordynans podał mu zapieczętowaną kartkę, którą Sieniawski odczytał przy blasku ogniska.

— Bardzo dobrze, przyjacielu, będę punktualny.

Sieniawski zawołał jednego z żołnierzy i kazał osiodłać swego rumaka. A zwracając się do Bernarda i Ludwika, dodał jeszcze:

— I wy siodłajcie także konie, będziecie mi potrzebni.

W kilka minut wszyscy trzej siedzieli na koniach.

— Przed brzaskiem dnia powrócę znowu — mówił Sieniawski do oficerów, których to zajście wybiło ze snu.—Gdyby stało się coś nieoczekiwanego podczas mojej nieobecności, niech dowództwo nad pułkiem obejmie rotmistrz Niegoliński.

Ujechali kilkadziesiąt kroków w milczeniu, dążąc prosto w stronę namiotów cesarza, kiedy Sieniawski zapytał:

— Która godzina?

— Wpół do drugiej — odparł Bernard.

— A więc przybywamy za wcześnie. Cesarz chce o drugiej rekognoskować Niemen. Polecono mi przyłączyć się do jego orszaku, gdyż znam dokładnie okolicę. Zalecam wam, przyjaciele, jak największą ciszę, gdyż

w tak ważnych chwilach cesarz nienawidzi najłżejszego nawet szmeru.

Słowa te wprowadziły młodych ludzi w uroczysty nastrój. Po raz to pierwszy mieli być świadkami tej wielkiej chwili, kiedy władca Europy wiąże pierwsze nici do swego potężnego dzieła. W milczeniu jechali za swoim milczącym przewodnikiem, wśród nocy, przez las, pomiędzy nawpół wygasłymi ogniskami. Koło namiotu cesarza zebrało się już wielu generałów i oficerów. W kilka minut potem pojawił się cesarz i szybko wskoczył na przygotowanego konia. Zaczęło już świtać, lecz cała okolica była jeszcze spowita mgłą szarą. W przeciągu kwadransa cały orszak znalazł się na wyniosłościach, przez które przerzynał się Niemen. Piękna rzeka błyszczała lekko, odzwierciedlając w sobie gasnące już gwiazdy. Po drugiej stronie zaczynało się państwo rosyjskie.

Cesarz zatrzymał się na chwilę i oglądał uważnie całą okolicę dookoła. Potem jednak ruszył z miejsca galopem po spadzistym stoku w stronę rzeki. Nagle koń jego upadł przednimi nogami na ziemię i zrzucił jeźdźca przez głowę.

Okrzyk przerażenia wyrwał się z piersi wszystkich, a Sieniawski zawołał półgłosem:

— Rzymianin zawróciłby!

Ale cesarz podniósł się szybko, dosiadł konia i ruszył dalej. Przywoławszy do siebie Sieniawskiego, rozmawiał z nim długo. Prawie godzinę jeździł nad brzegiem rzeki. Wjeżdżał niemal na każdy pagórek i, przywoławszy do siebie marszałka Berthier'a, polecił mu, aby wieczorem rozpoczął w trzech miejscach budowę mostu.

Potem powrócili wszyscy z powrotem do obozu.

Dzień przeszedł w oczekiwaniu pełnem niepokoju. Cesarz powrócił do niedaleko położonej wioski, skąd

wyprawiał się co jakiś czas, ażeby zobaczyć obóz. W południe gorąco stało się nieznośnem. W obozie pawała cisza, a troska o konie i broń była jedynem zajęciem żołnierzy. Każda odrobina cienia była wyzyskana do niemożliwości. Żołnierze uśmiechali się, mówiąc, że wojna zagnała ich chyba do Egiptu lub Syryi, a nie do północnej Rosyi. Wreszcie słońce zaszło i zrobiło się chłodniej. Około godziny ósmej wieczorem pionierzy zaczęły budować most na rzece. Z każdą minutą podniecenie żołnierzy rosło. Nikt oka zmrużyć nie mógł, wreszcie około północy nadszedł rozkaz wymarszu. Miano wyruszyć w największej ciszy. Sieniawski kazał dosiąść koni i ruszył drogą prowadzącą prosto do rzeki. Po półgodzinnym marszu zatrzymano się na pagórku, na którym rosło zboże. Głodne konie chrupały chciwie niedojrzałe kłosa. Ludzie obozowali na wilgotnej ziemi. Z niecierpliwością oczekiwano brzasku, opóźnionego przez mgły gęste. Wreszcie podniósł się świeży wiatr, rozproszył mgły i odsłonił pierwszy delikatny brzask poranny, który zdawał się wschodzić, gdzieś w głębi Rosyi. Żołnierze patrzyli po raz pierwszy na kraj po drugiej stronie rzeki położony. Cóż za dziwny widok. Oko widziało tylko niezmiarzone lasy i olbrzymie stepy. Czyż po to ciągnęła wielka armia, aby tysiącami ofiar, strumieniami krwi, zdobyć ten pusty, niezagospodarowany kraj, podobny do olbrzymiego więzienia? Złe przeczucia opanowały dusze żołnierskie. Wtem zabrzmiał sygnał donośny. Słońce ukazało się w pośrocie krwawych promieni, błysnąwszy ponad czarnym lasem sosnowym. Świeży wiew porannego wiatru napęlił pierś radością i siłą. Wszystkie oczy zwróciły się w stronę, z której dał się słyszeć odzew wojenny. I wówczas zobaczono namiot cesarza, wzniesiony nocą na najwyższym punkcie brzegu. Słońce obrzucało go jasnymi

promieniami, a trójkolorowa chorągiew powiewała dumnie na szczycie namiotu. Wspaniały orszak marszałków i generałów zatrzymał się przed wejściem. Cesarz wyszedł z namiotu, pozdrowił wszystkich po wojskowemu i wskoczył na siwego araba. Jakby na jedno skinienie ruszyły kolumny wojska od brzegu lasu. W kilka minut wszystkie pagórki pokryły się olbrzymiami masami wojska, a serca rosły, patrząc na siły tak potężne. W trzech zwarłych strumieniach płynęła powódź czarna przez równinę nadrzeczną, w kierunku trzech mostów i niebawem jasne lustro rzeki podwoiło jeszcze olbrzymi tłum żołnierzy. Ruszył i cesarz i razem ze swoim orszakiem przeszedł na drugą stronę po środkowym moście. W jego twarzy nie było ani odrobiny wahania, ani chwili namysłu. Koń jego jednym dzielnym susem skoczył na brzeg nieprzyjacielski. Cesarz zatrzymał go i patrzył na wojsko przeciągające tuż obok niego. Spojrzenie jego oczu błękitnych rozpałało niewygasły ogień odwagi w piersiach żołnierzy. Pozdrawiali go radosnym okrzykiem, który rozbrzmiewał daleko po polach, i powtarzały go pustynie leśne, jakby ze zdziwieniem.

Dopiero około dziesiątej godziny przed południem przeszedł także i Sieniawski ze swoim pułkiem na drugą stronę rzeki. Cesarz patrzył na niego wesoło, a kiedy żołnierze wzniesli okrzyk: „Vive l'Empereur“, pozdrowił ich uprzejmie. Nagle zawrócił na miejscu swego rumaka i z szybkością strzały popędził po piaszczystej drodze. Wpadł w ciemną otchłań lasu i znikł z przed oczu swoich żołnierzy. Niebawem jednak ukazał się znowu, jadąc powoli. Wyglądał dziwnie niespokojnie, jakby tem rozgniewany, że nie spotkał nieprzyjaciela, którego pożądało jego serce, chciwe wojny i pewne zwycięstwa.

Powoli ciągnęły olbrzymie masy wojska w górę rze-

ki. Nagle usłyszano w oddali strzały armatnie. Wszyscy poczęli nashuchiwać. Zabrzmiało znowu głucho, jakby daleki łoskot dział. Na wszystkich twarzach widać było nateżenie pełne oczekiwania. Szeregi prostowały się mimowoli w zwartym ordynku. Co chwila widać było adjutantów pędzących na koniach. Generałowie ze stromego brzegu rzeki obserwowali okolicę. Wszyscy sądzili, że jedno ze skrzydeł armii, albo to, którem dowodził król westfalski, albo skrzydło wice-króla włoskiego, zaczęło walkę. I znów rozległ się łoskot daleki, tym razem jednak nieco bliżej. Natychmiast poznali wszyscy, że nie jest to odgłos bitwy dalekiej, lecz huk burzy szybko nadciągającej. Czarna masa chmur pędziła gwałtownie. Fale rzeki stawały się coraz bardziej ponuremi i słońce znikło zupełnie. Błyskawice przecinały niespokojnymi zygzakami czarną oponę niebios, a grzmot piorunów rósł coraz bardziej. W milczeniu, powoli maszerowało wojsko naprzód. Wreszcie zerwał się wiatr gwałtowny, pędząc po rzece fale spienionej wody. Nagle straszliwy piorun runął z niebios na ziemię. Cała okolica stanęła w ogniu, a fale Niemna zaślniły czerwonym blaskiem. Żołnierze patrzyli na siebie z niepokojem. Wtem uderzył drugi piorun i z czarnej opony nieba spadł na ich głowy rześisty ulewny deszcz.

Takiem było pierwsze przyjęcie na rosyjskiej ziemi!

ROZDZIAŁ CZWARTY.

I.

— A cóż tam znowu, u dyabła?—zawołał Bernard—kiedy otulony w płaszcz spał przy ogniu obozowym a ktoś go zniecka we śnie potrzęsnał.

Był to Ludwik.

— Ach, to ty, Ludwiku — rzekł łagodniej, poznając przyjaciela. — Wróciliście już, mieliście może jakie przygody w tym Witebsku.

— Coś niecoś — odpowiedział Ludwik — ale pewnie się gniewasz, że ci tak późno jeszcze przeszkadzam.

— Nie jestem tak zmęczony, abym nie mógł godzinki pogawędzić. A więc opowiadaj.

Zanim jednak Ludwik zabrał się do opowiadania, w pobliżu huknął strzał pistoletowy. Żołnierze, obozujący w okolicy, zerwali się na równe nogi, a ponieważ była to straż naprzód wysunięta, chwycili za broń, gotowi do walki. Przez chwilę słuchali wszyscy, co nastąpi po tem, ale cisza zapanowała znowu, tylko w oddali słychać było kilku ludzi z przedniej straży, rozmawiających żywo.

Bolesław, który dowodził tym oddziałem, wysłał pod-

oficera Piotrowskiego z kilku ludźmi, aby zasięgnął języka, co się stało. Ten wrócił po kilku minutach z powrotem, prowadząc, jako jeńców, młodego człowieka i dziewczynę w ruskim stroju. Dziewczyna tuliła się trwożliwie do swego towarzysza, unikając lekliwie spojrzeń żołnierzy.

— U dyabła, ładne dziecko! — zawołał Bernard, zwracając się do Ludwika, kiedy blask ognia oświecił całą grupę.

Ledwo wymówił te słowa, kiedy na dźwięk ich, młody człowiek, prowadzony przez żołnierzy, zwrócił się do niego.

— Panie oficerze, a więc jesteś Niemcem, zechciej więc pomódz rodakowi, który znajduje się w wielkim kłopotcie. Mówię tylko po niemiecku i po rosyjsku. Polscy żołnierze nie rozumieją, czy też nie chcą mnie rozumieć.

— Chętnie — odparł Bernard — będę wam towarzyszyć.

Tymczasem zbliżył się i Bolesław, pytając podoficera, jakich to ludzi prowadzi.

— Zatrzymaliśmy ich — odparł podoficer — jadących w kibitce. Kiedy nasi żołnierze zawołali na nich, nie odpowiedzieli nic, lecz chcieli szybko zawrócić. Wtedy szyldwach wystrzelił z pistoletu, a oni przestraszyli się i stanęli na miejscu.

— Pewnie chcieli szpiegować!

Bernard wmieszał się do rozmowy i prosił Bolesława, aby mu pozwolił rozmówić się z tymi ludźmi po niemiecku.

— Skąd przybywacie? — zapytał ich. — I dokąd dążycie? Jakie jest wasze nazwisko?

— Ach, panie oficerze! — odparł jeńiec. — Pragnęliśmy tylko dostać się spokojnie do Niemiec. Służyłem



Napoleon wieczorem przed bitwą pod Borodinem pokazuje sztabowi swemu portret króla Rzymskiego.

za ogrodnika u hr. Dołgorowa, a to jest moja młoda żona, Aksienia. Ponieważ wojna wybuchła, hrabia uwolnił mnie, pozwalając wracać do ojczyzny.

— A czy masz, przyjacielu, papiery, któreby potwierdziły to, co mówisz? — zapytał Bernard.

— Wszystko jest w najlepszym porządku — odparł Paweł i po chwili podał mu metrykę, świadectwo służby i pasport rosyjski, wystawiony w Smoleńsku.

— Papiery są w porządku, mój przyjacielu, ale pasporty rosyjskie nie mają żadnego znaczenia dla armii francuskiej. Bardzo mi przykro, ale nie możemy was przepuścić.

— O mój Boże, jestem zgubiony! — zawołał Paweł — tylko cudem udało mi się ująć od kozaków. Proszę cię, mój panie, jeśli możesz, pomóż nam. Jesteśmy naprawdę uczciwymi ludźmi i pragniemy tylko dostać się spokojnie do mojej ojczyzny.

— Dlaczego nie udaliście się prostą drogą do Witebska? Dlaczego wybieracie noc na podróż? To czyni was podejrzanymi.

— Chcieliśmy uniknąć kozaków. A oprócz tego mówiono nam, że tu właśnie będzie można ominąć skrzydło armii i bez żadnych przeszkód dostać się na drogę prowadzącą do Wilna.

— No i tam trafilibyście na maruderów — rzekł Bernard i myślał, jakby tym ludziom pomódz.

— Zdaje mi się — rzekł do Bolesława — że można im zaufać, ale cóż im to pomoże, jeśli pozwolimy im dalej jechać. Zawsze ich ktoś zatrzyma. A zresztą ta młoda dziewczyna jest niepewnym towarem. Na drodze do Wilna pełno ludzi niebezpiecznych. Włóczą się maruderzy, a chłopci rabują jeszcze to, co tamci zostawiają.

— Co tu się dzieje? — zapytał nagle jakiś głos.

Był to Sieniawski, który ukazał się niespodziewanie w płaszczu narzuconym na ramiona.

Bernard złożył raport o wszystkim.

— U kogo byliście na służbie? — zapytał Sieniawski.

— U hr. Dołgorowa.

— Twoje papiery?

Paweł pokazał je, a Sieniawski przejrzał szybko.

— Jest tak, jak mówisz. To jest podpis hrabiego, a ja pomogę wam w dalszej podróży. Noc przepędzicie w obozie, a rano możecie się przyłączyć do transportu chorzych, który odejdzie do Wilna. A potrzebne pasporty dostaniecie.

Paweł podziękował uszczęśliwiony i Aksinia uśmiechnęła się po raz pierwszy wesoło.

Sieniawski zwrócił się do Petrowskiego.

— Weź tych ludzi i daj im miejsce do spania. No, przyjaciele — rzekł Sieniawski, kiedy tamci już się oddalili. — Jutro rozpoczynamy znowu marsz. Stanisław przybędzie lada chwila z Witebska i wtedy dowiemy się o kierunku naszej drogi. W każdym razie nie pozostaniemy już przy głównym korpusie armii. Nadeszła wreszcie chwila czynu i dla nas.

— Doprawdy — zawołał Bernard — obyśmy mogli dostać nareszcie tego nieprzyjaciela! Bo zdaje mi się, że dotychczas walczyliśmy tylko z jego cieniem. Kiedy mieliśmy przeciwnika tuż przed oczyma i kiedy mogliśmy zawołać nareszcie do niego: „Stań i walcz!” — wtedy znikał znowu, jak widmo w ciemną noc. Przyznam otwarcie, że ten rodzaj wojny napełnia mnie rzetelnym przestraciem. Ależ największy wódz musi co najmniej mieć nieprzyjaciela, aby go zwyciężyć.

— Jest to sposób wojny, jeżeli dla najeźdźcy teren z powodu swoich wielkich rozmiarów jest niekorzystny.

Nic w tem nowego — mówił Sieniawski. — Tego systemu obrony spodziewałem się od początku, bo znam dobrze Rosyę. Ale nie trzeba rozpaczać. Nie znajdujemy się jeszcze w tem miejscu, gdzie uderza serce Rosyi. Walczymy przecież jeszcze ciągle na ziemiach dawnej Polski, a te ziemie to przecież nie świętość dla nich. Dopiero teraz stanęliśmy u progu jej granic. Tu się zaczyna Rosya i tu walka będzie dopiero zacięta. Im bliżej docierać będziemy Moskwy, tem więcej wojska wyjdzie naprzeciwko nas.

Wtem usłyszano jeźdźca pędzącego co koń wyskoczy. Był to Stanisław, który, osadziwszy konia na miejscu, zeskoczył na ziemię i podał Sieniawskiemu jakiś papier.

Ten przeczytał go szybko i rzekł:

— Jutro rano o czwartej wyruszamy. Dobranoc! Używajcie wczasu, bo może nieprędko go zaznacie.

To mówiąc, powrócił do swego namiotu, a oficerowie, ułożywszy się koło ogni obozowych, zasnęli głęboko.

Ledwo świtało, kiedy Sieniawski ruszył już z pułkiem swoim. Po prawej ręce widać było skraje lasu sosnowego, który ciągnął się daleko. Po lewej stronie teren był pagórkowaty, pokryty gdzieniegdzie zaroślami. Bolesław, Stanisław, Ludwik i Bernard jechali tuż przy Sieniawskim.

— Cesarz powziął plan bardzo śmiały — zaczął on. — Jak widzicie, kierunek naszego marszu oddala nas od nieprzyjaciela, którego główna siła znajduje się obecnie na lewo. Przejdziemy przez Dniepr i, maszerując wzdłuż rzeki, aż do Smoleńska, okrażymy armię rosyjską, aby zagrodzić jej drogę do Moskwy. Gdyby się nam to udało, cała wojna mogłaby być wygrana jednym pociągnięciem. Marszałkowi Davoust, wskutek winy króla Westfalii, nie udał się już raz ten sam pomysł, próbujemy go znowu.

Naszem zadaniem jest odeprzeć nieprzyjacielską kawalerję, która mogłaby się jeszcze znajdować na prawem skrzydle wielkiej armii, aby nie zdołała zbyt wczesnie przeniknąć planów cesarza.

Słońce już wzeszło i oświetlało wyraźnie daleki krajobraz.

— Patrzcie, jakie masy wojska ruszają — mówił Sieniawski, wskazując ręką w lewą stronę. — Zdaje się, że ta czarna rzeka jest zupełnie blisko nas. Tam z drugiej strony widać tumany kurzu. To kawalerja! A za tym pagórkciem daleko błyszczą także broń. W tych dniach może się wiele rozstrzygnąć.

Ludwik patrzył na pola, po których snuły się masy wojska, i myślał:

— Czy to, co się tutaj tworzy, dzieje się światu na dobro, czy zło? A jeśli ten duch potężny, który porusza olbrzymiemi masami wojska, skończy tutaj swe czyny, jak niegdyś Aleksander w Indyach? Cóż się stanie, jeśli padnie pod brzemieniem niesłychanego przedsięwzięcia? Cóż będzie, jeśli odwrotnie, orły napoleońskie usiądą na starożytnym tronie carów? Wtedy może potęga Francyi zapanuje nad całym światem. Padną w proch przed zwycięzcą i Niemcy, a słowo: „ojczyzna“, stanie się pustym dźwiękiem.

Przerwał mu te rozmyślania Bernard, który, patrząc przed siebie, zdawał się komponować obraz.

— Patrz, ta pustynia, leżąca przed nami, nie jest jednak godną zupełnej pogardy. Ileż uroku ma ten ciemno-błękitny pas lasu, którego sylweta odcina się tak interesująco na bezbarwnem niebie. Ta smutna prostota ma w sobie coś porywającego. A te nagie pagórki, na których tu i owdzie błyszczą czerwone zioła! Niebo pozbawione kolorytu i długie szare smugi chmur. Doprawdy,

nieraz wydaje mi się to wszystko godniejsze pędzla artysty, aniżeli soczyste krajobrazy Szwajcaryi. Przypominają mi się czasy spędzone w Szkocyi, kiedy, leżąc na jakimś samotnym pagórku, godzinami całemi wpatrywać się mogłem w chmury przeciągające.

— Ilekroć człowiek może tylko igrać z nastrojami ponurymi — mówił Ludwik — i porzucić je zawsze, skoro tylko tego zapragnie, wtedy unika zazwyczaj wesołości życia. Lecz jeśli surowa konieczność zmusza nas do wędrówki po jej drogach powabnych, wtedy z innym uczuciem patrzymy na surowe oblicze losu.

Tak rozmawiając, stanęli na drogach rozstajnych. Sieniawski ruszył drogą prowadzącą do Orszy, ponieważ jednak terenu nie można było swobodnie obserwować, trzeba było wysłać patrole. Stanisław objął dowództwo nad strażą przednią, Bolesław zajął się wysłaniem patroli w lewą i prawą stronę. Ludwik i Bernard zostali przy Sieniawskim, pełniąc służbę ordynansów. Tak maszerowano aż do wieczora, nie widząc nigdzie ani śladu nieprzyjaciela. Noc przepędzono w jakiejś nędznej wioszczynie, opuszczonej zupełnie przez jej mieszkańców. Zaś o świcie wyruszono w dalszą drogę, aż do miejsca, gdzie wielka armia miała Dniepr przekroczyć.

Cesarz przybył już tam na czele korpusu Davoust'a; mosty, które przerzucono koło Raznej, pokryte już były czarnemi masami wojska. Razem z nimi przeszedł rzekę pułk Sieniawskiego, i rozłożywszy się obozem po drugiej stronie, stanął w pobliżu namiotu cesarza.

Żyd litewski, który za pieniądze został szpiegiem Sieniawskiego, zobowiązał się teraz zbadać w okolicy, czy nieprzyjaciel wie już o blizkiem sąsiedztwie wielkiej armii.

Okolo trzeciej nad ranem, kiedy panowała jeszcze noc

głucha, szpieg powrócił. Bernard obudził się właśnie i, poprawiając ognisko, zobaczył dziwną postać Żyda, który zbliżał się ostrożnie. Jego postać wydała się malarzowi prawie fantastyczną. Ruda broda sięgała aż do pasa, a twarz wychudła zdawała się wydobywać z pod masy gęstych, suchych włosów. Chytry uśmiech kołysał się na wargach, kiedy przemówił do Bernarda, mieszając żargon z niemieckim i polskim językiem.

— Panie oficerze, proszę mi pokazać, gdzie śpi pan pułkownik, ja mam jemu do powiedzenia wielką nowinę.

— Ten łajdak wygląda, jakby dyabeł zamienił się w liśsa — mrucał Bernard. — A że cię tam gdzie nie powiesili?

— Co pan za paskudne rzeczy mówi, panie oficerze; broń mię Boże od takiego nieszczęścia. Ja, stary Żyd, muszę sobie poradzić w najgorszej chwili. Ale gdzie jest pan pułkownik, bo mnie śpieszno.

— Chodź, synu Abrahama, a może znajdziesz tego, od którego chcesz pieniędzy.

To mówiąc, Bernard zaprowadził Żyda do miejsca, gdzie Sieniawski, otulony w płaszcz, spał z głową opartą na wiązce słomy. Na odgłos kroków zerwał się szybko i zawołał:

— To ty, Żydzie, czy jest co nowego?

Szpieg skinął głową z tajemniczą miną. Odszedłszy na bok, rozmawiali długo, a Sieniawski zdawał się słuchać opowiadania szpiega z nateżoną uwagą. Widocznie wiadomości były ważne, bo Sieniawski uśmiechał się z zadowoleniem.

— Przeklęty Judasz — mruknął Bernard do siebie. — Tej chytrej mordzie nie uwierzyłbym ani na chwilę. Ale Sieniawski zna swoich ludzi, wie, co to warte.

Szpieg skończył opowiadanie. Stojąc przed Sieniaw-

skim, czekał pokornie dalszych rozkazów. Wtem pułkownik wyciągnął sakiewkę. Na twarzy Żyda odbiła się jednocześnie chciwość i radość. Schwyciwszy parę sztuk złota, łamał się w uniżonych pokłonach, wylewając na głowę Sieniawskiego wszystkie błogosławieństwa. Sieniawski ze wstrętem machnął ręką i kazał mu milczeć. Żyd chciał się oddalić. Idąc już, wyciągnął mały skórzany woreczek, aby ukryć w nim złoto. W tej samej chwili jednak wysunął mu się drugi, znacznie większy worek skórzany i upadł na ziemię. Żyd przestraszył się widocznie i chciał go podnieść. Spozrzegł to jednak Bernard, który nie spuszczał z niego oka i skoczył ku niemu. W tem miejscu jednak trawa rosła wysoko i światło od ognisk padało skąpo. Napróżno więc obaj szukali zguby. Wreszcie Bernard podniósł ją pierwszy.

— Proszę mi to oddać, panie oficerze, to jest mój ciężko zapracowany grosz. W tych niespokojnych czasach trzeba cały swój dobytek nosić przy sobie.

Bojaźliwy ton, z jakim Żyd wypowiedział te słowa, zwrócił uwagę Sieniawskiego.

— Hm, ciężki, bardzo ciężki — mówił Bernard umyślnie bardzo głośno — prawdopodobnie samo złoto.

Sieniawski przystąpił bliżej.

— Boże zachowaj — rzekł Żyd — trochę srebra i miedzi i parę starych dukatów.

Jednocześnie wyciągnął chciwie dłoń przed siebie, ale Bernard zajrzał do wnętrza, przy migotliwym blasku ogniska.

— Srebro, miedź, ależ u pioruna! Tu jest samo złoto!

— Pokażcie — rzekł teraz Sieniawski i przystąpił bliżej.

Spojrzał i zawołał głośno:

— Łiesz, Żydzie! Zdaje mi się, że ty, szpiegu, niejednego masz pana; z tą garścią złota włóczysz się od

jednego obozu do drugiego i boisz się go zakopać. A dlaczego opowiadasz nam o srebrze i miedzi, którego niema pomiędzy tymi nowymi dukatami. Powiedz, Żydzie, skąd masz te pieniądze.

Spieg drżał na całym ciecie.

— Wielmożny panie pułkowniku, sześćdziesiąt lat zbierałem.

— Kłamiesz, Judaszu — zawołał Sieniawski. — Ale jeżeli zdradziłeś cośkolwiek przed nieprzyjacielem, pamiętaj o tem, że nie uciekniesz.

Żyd stał blady, jak śmierć. Kolana uginały się pod nim. Nagle rzucił się do kolan Sieniawskiego, wołając:

— Łaski, łaski!

— Zrewidować go dokładnie, czy nie ma przy sobie jakich papierów.

Dwóch żołnierzy, chwyciwszy go pod pachy, powlokło go do ogniska. W mgnieniu oka Żyd był rozebrany. Każdy szczegół ubrania badano troskliwie. Nie znaleziono jednak nic. Dopiero, kiedy jednemu z żołnierzy przyszedł pomysł szukania pod peruką Żyda, znaleziono jakiś papier. Ale Żyd skorzystał z chwili i, schwyciwszy znaleziony dokument, rzucił go szybko w ogień.

Sieniawski nie słuchał już nowych tłumaczeń, lecz, zwróciwszy się do żołnierzy, kazał Żyda związać i pilnować, jak oka w głowie.

— Jeśli ruchy nieprzyjaciela pokażą mi, że zdradziłeś, każę cię powiesić.

To mówiąc, odszedł śpiesznie, a Żyd skomlał tylko cicho, jak pies sponiewierany.

II.

O świcie całe wojsko francuskie ruszyło naprzód. Sieniawski otrzymał rozkaz, aby przyłączyć się do króla

Neapolu, jako jego awangarda. Maszerując boczną drogą, mógł Sieniawski wyminąć długie kolumny piechoty, któremi dowodził marszałek Davoust, i bez żadnych przeszkód dostać się na miejsce swego przeznaczenia. Był tu już Murat i w otoczeniu oficerów sztabowych badał teren okoliczny. Sieniawski zameldował mu się i opowiedział historię ze szpiegiem.

— Jeśli to prawda — odrzekł Murat — co Żyd panu powiedział, szybkie działanie może wszystko uratować. Musimy odciąć korpus generała Newerowskoja, zniszczyć go i prędzej niż on dostać się do Smoleńska. Główne siły nieprzyjaciela nie mogą nam w tem przeszkodzić. Nastąpiła chwila, w której będziemy decydować o losie całej wyprawy. Szybkość jest naszym największym obowiązkiem.

Te słowa były hasłem do wymarszu. Maszerowano wzdłuż Dniepru, w ten sposób jednak, że pomiędzy rzeką a drogą było jeszcze wiele przestrzeni.

Sieniawski ze swoim pułkiem znajdował się najbliżej rzeki. Wysłał patrole naprzód i na prawe skrzydło. Lewe skrzydło zamykał bowiem bieg rzeki.

— Nieznośna historia — mówił Sieniawski do Ludwika — ścigać nieprzyjaciela i nie móc go dosięgnąć. Musieli tutaj być kozacy i to tuż przed nami, bo ślady są świeże. Im to prawdopodobnie zawdzięczamy zerwanie wszystkich mostów i kładek. Lecz cóż tam nowego? Stanisław przysyła nam jakieś nowe wiadomości.

Sieniawski porwał się z miejsca galopem, aby czemprędzej spotkać się z ułanem, niosącym wieści.

Stanisław zawiadamiał swego dowódcę, że widział dwóch kozaków, którzy znikli w zaroślach i, wedle jego mniemania, należeli do jakiegoś silniejszego oddziału wojska.

— A więc mamy ich nareszcie — zawołał Sieniawski z błyszczącymi oczyma i kazał ruszyć kłusem na przód.

Pułk stanął niebawem na wyniosłości, skąd widać było daleki płaski teren, który w odległości kilkuset kroków pokryty był gęstymi zaroślami. Sieniawski cofnął patrole, tuż koło zarośli, wysłał jeden szwadron na lewo, drugi na prawo. Sam zaś ruszył środkiem. Liczne ślady wskazywały na to, że silny oddział kozaków przejeżdżał tędy przed kilku minutami. Zarośla skończyły się i widać było czyste pola.

— Zaprawdę, tam są oni! — zawołał Sieniawski i wskazał palcem w tę stronę, gdzie ponad zbożem widniały dzidy kozackie. — Teraz nam nie ujdą. Grajcie do ataku!

Trąba zabrzmiała i pułk ruszył, jak wichra, do ataku, szykując się jednocześnie w kolumnę bojową. Dwa szwadrony, które okrążyły zarośla, przyłączyły się w pełnym galopie do całego pułku. W tej chwili kozacy, którzy, jadąc spokojnie, nie spodziewali się bliskości nieprzyjaciela, poznali widocznie, co się dzieje. A że bitwa nie leżała w ich zamysłach, uciekali poprostu na swych małych zwrotnych konikach, aż wreszcie w jakichś zaroślach bez śladu przepadli.

Sieniawski, klnąc, wstrzymał pułk. Niedaleko widać było małe miasteczko.

— To musi być Krasne — rzekł Sieniawski. — Gdzie jest Żyd? Niech nam powie, co wie o tem!

Ale Żyda już nie było. Korzystając z zamieszania, udało mu się zemknąć niepostrzeżenie.

— Kozacy wyrządzili nam wielką szkodę — rzekł Sieniawski. — Żyd powinien być wisieć.

W oddali słychać było odgłos walki, która toczyła

się między piechotą i kawaleryą cesarską, a korpusem Newerowskoja. Po dzielnej obronie generał rosyjski został odparty. O zachodzie słońca pułk Sieniawskiego rozłożył się obozem. Ledwo rozpalono ogniska, kiedy zabrzmiały strzały armatnie. W obozie zapanowało wielkie poruszenie. Niebawem jednak dowiedziano się, że to były salwy.

— Doprawdy — zawołał Sieniawski — byłbym prawdopodobnie zapomniiał, że dzisiaj dzień imienin cesarskich. I ta salwa coś warta. Strzelamy prochem rosyjskim dziś zdobytym.

*

*

*

— To są wieże Smoleńska — mówił Sieniawski, kiedy na czele swego pułku dosięgnął lesistej wyniosłości, skąd widać było starą warownię. — Ukryci w zaroślach, zbliżymy się do miasta na odległość strzału armatniego. Boję się, że będziemy musieli stoczyć tu walkę bardzo ciężką. Czy widzicie te chmury kurzu, na tych pagórkach z drugiej strony Dniepru? To nie mogą być wojska naszej armii. Dałbym głowę, że to armia rosyjska śpieszy na pomoc miastu.

— W takim razie — odparł Bernard — mielibyśmy bitwę oddawna pożądaną!

— Tak, być może, ale bitwę tę toczyć będziemy musieli w warunkach o wiele bardziej niedogodnych. Gdybyśmy wcześniej zajęli Smoleńsk, odcięlibyśmy drogę do Moskwy. W ten sposób oni musieliby zdobywać miasto, a tak będziemy zmuszeni poświęcić tysiące ludzi. Gdybyż przynajmniej udało się odciąć Newerowskoja.

To mówiąc, Sieniawski ruszył galopem naprzód, aby przyjrzeć się okolicy.

Tymczasem pułk postępował po wskazanej drodze, która, wijąc się, prowadziła do miasta.

— Okolica jest piękna — mówił Ludwik do Bernarda. — Czy widzisz ten zamek po drugiej stronie rzeki?

— Ależ doskonale — odparł Bernard. — Bardzo interesująca budowla. Może tam dzisiaj będziemy nocować. Zamki i wsie są puste, więc o gościnę prosić nie trzeba.

— Wędrujemy przez smutną pustynię — odparł Ludwik. — Ale ten zamek czyni na mnie dziwnie przyjemne wrażenie.

— To niewygasłe iskry romantyzmu — rzekł Bernard. — Wydaje ci się pewnie mimowoli, że ten zamek zamieszkuje jakaś cudowna księżniczka, którą chciałbyś może wyratować z jakiegoś niebezpieczeństwa.

— Sieniawski powraca — zawołał Ludwik, przysłaniając oczy ręką.

W istocie, pędził on co koń wyskoczy i wywijał z daleka szablą. Major Niegoliński, który zawsze w jego zastępstwie pułkiem dowodził, zrozumiał znak i kazał ruszyć galopem. Droga prowadziła na dół, a później pięła się pod górę, z której widać było rozmaite oddziały wielkiej armii, posuwające się w stronę miasta. Z drugiej strony rzeki jednak olbrzymie kolumny rosyjskiego wojska posuwały się szybko, aby zająć Smoleńsk przed wojskami francuskimi.

— Naprzód, naprzód! — krzyczał Sieniawski. — Może uda się nam przestraszyć nieprzyjaciela.

I znowu skoczył przodem, jakgdyby nie mógł już powstrzymać starcia z nieprzyjacielem. Kiedy dosięgli rzeki, zobaczyli Smoleńsk, leżący na stromych pagórkach po jednej i drugiej stronie Dniepru. Już słyhać było huk armat i grzechot karabinów. Dym i kurz zakryły dolinę i rzekę. Tylko wieżyce starej warowni sterczały

wysoko. Żołnierze szli za swoim pułkownikiem, nie wiedząc, kogo mają przed sobą, wroga czy przyjaciela. Wreszcie Sieniawski zjawił się przed nimi i zakomenderował:

— Stój!

Pułk stanął, jak w ziemię wryty.

— Pierwszy szwadron na lewo, zachodź!

Pomału prowadził Sieniawski swoich z powrotem, na lesistą wyniosłość.

— Było już zapóźno. Król Neapolu usiłował z tej strony zdobyć miasto kawaleryą, marszałek Ney usiłował zająć je piechotą z tamtej strony, ale oni dobrze się oszańcowali, a przedewszystkiem mają za dużo artylerji. Wielka armia musi się cofnąć, bo zaczynać bitwę w tem miejscu byłoby szaleństwem. Miejmy jednak nadzieję, że walka rozpocznie się jutro, a walka toczyć się będzie o bramę, która wiedzie do Rosyi.

Pułk rozłożył się obozem. Nad wieczorem przybył adjutant sztabu generalnego, wzywając Sieniawskiego do cesarza. Cesarz pragnął zgromadzić wszystkich oficerów, znających dokładnie teren, aby należycie przygotować jutrzejszy atak.

Bernard i Ludwik towarzyszyli Sieniawskiemu, jako ordynansi.

Z trudem dosięgli namiotu cesarza, gdyż wojska, które znajdowały się już tak blisko miasta, teraz cofnęły się daleko na rozkaz Napoleona.

— Co to znaczy? — zapytał zdziwiony Sieniawski adjutanta, który jechał razem z nimi.

— Cesarz chce zostawić nieprzyjacielowi pole bitwy. On sądzi, że jutro wojska rosyjskie staną przed nami w porządku i przyjmą walkę.

— A nasze stanowisko? — pytał Sieniawski znowu.

— Zajmiemy ten amfiteatr pagórków, które półkolem otaczają miasto. Co prawda opieramy się o wyrwy i przepaści, dla odwrotu niezbytby to było korzystne.

— Cesarz wykreślił ze swego słownika słowo: odwrot. Każdy inny wódz popełniłby w ten sposób olbrzymi błąd, ale on jest pewny zwycięstwa. Dotychczas nie brakowało mu nic do tego, tylko nieprzyjaciela, a jutro, da Bóg, dotrzyma nam placu.

— Hm, nie wierzę w to. Po co ma się bić przed twierdzą, kiedy może bić się za twierdzą?

— Bagration ma podobno wielką ochotę do bitwy.

— Tem mniej Barclay!

— Żołnierz rosyjski nie lubi go, tylko cesarz go popiera. Rosyanin niechętnie ustępuje zaatakowany w swojej ojczyźnie. Barclay będzie się musiał bić, bo armia go nie słucha, a najgorzej wstrzymywać od bitwy żołnierza, który chce walczyć, bo po tem, kiedy walczyć trzeba, on znowu nie ma ochoty. Wódz musi znać nietylko teren bitwy, ale i psychologię żołnierza; bo jeśli się tu przeliczy, całą jego taktykę dyabli wezmą.

— Więc sądzisz, panie pułkowniku, że bitwę wygramy? — zapytał po krótkiej chwili adjutant.

— Bez wątpienia, musimy bitwę wygrać, ale ile to będzie kosztować?

— O, zapewne! Już dzisiejszy atak przyniósł strat niemało. Z batalionu, któremu kazał uderzyć marszałek Ney, zostały ledwo dwie trzecie. Żołnierze dostali się w ogień flankowych baterji rosyjskich. Opowiadają, że jedna kula zmiażdżyła dwudziestu dwu ludzi.

— Umrzeć jest obowiązkiem żołnierza — odparł Sieniawski. — Lecz co to, słyhać ogień tyralierski?

— Cesarz rozkazał, aby pierwszy korpus pobawił

się trochę z nieprzyjacielem, może uda im się zwabić go na drugą stronę rzeki.

Podczas tej rozmowy oficerowie przedzierali się z trudnością wśród ogni biwakowych, wojsk obozujących i wojsk maszerujących. Tak dotarli do obozów gwardyi, gdzie na lesistej wyniosłości znajdował się namiot cesarza. Z daleka widać było cesarza objeżdżającego poszczególne pagórki w otoczeniu eskorty. Sieniawski ruszył naprzód, Ludwik i Bernard razem z innymi młodszymi oficerami zatrzymali się w odległości kilkudziesięciu kroków.

Cesarz osadził konia i rozmawiał długo z marszałkiem Ney'em i królem Neapolu. Potem wezwał do siebie Sieniawskiego i zdawał się wydawać mu jakieś obszerne polecenia, bo mówił długo i żywo. Sieniawski powrócił z Ludwikiem do swego pułku, zostawiając Bernarda, który miał czekać na piśmienny rozkaz cesarza.

Z zapadnięciem nocy powrócił cesarz do namiotu w towarzystwie marszałka: Berthier'a, Ney'a, Murat'a, Davoust'a i wice-króla włoskiego. Dwóch żołnierzy ze starej gwardyi stało przed namiotem. Bernard i trzech oficerów czekało na rozkazy. W przeciagu kwadransa trzech oficerowie odjechali ze sztafetami; Bernard został sam i musiał czekać cierpliwie na to, co się stanie. Wokół niego panowała cisza. Zmęczeni żołnierze, zawinawszy się w płaszcze, spali snem głębokim. W tej ciszy Bernard począł rozróżniać dźwięki rozmowy prowadzonej żywo w namiocie. Tylko od czasu do czasu rozumiał pojedyncze słowa; najczęściej były to nazwiska miast: Smoleńska i Moskwy. Chętnie postąpiłby kilka kroków bliżej, ale obaj brodaci grenadyerowie, w wysokich czapach futrzanych; powstrzymywali jego zapalę surowem spojrzeniem czarnych oczu.

— Mówią o bitwie, która może rozpocznie się jutro — myślał Bernard.

Tymczasem z namiotu wychylili się marszałkowie Ney i Davoust. Obaj widocznie podnieceni, szli w przeciwną stronę, nie żegnając się wcale. Było widocznem, że marszałkowie byli wobec siebie nieprzyjaźnie usposobieni. Tymczasem rozmowa w namiocie stawała się coraz gorętszą. Bernard słyszał wyraźnie głos cesarza, który mówił głośno i gwałtownie. W kilka minut potem opuścił namiot wice-król włoski. Kiedy przechodził, strażę sprezentowały broń, ale ten tak zwykle uprzejmy człowiek zapomniał widocznie odpowiedzieć im wojskowym pozdrowieniem. Zdał on się tak bardzo poruszonym w głębi duszy, tak bardzo zajęty swemi myślami, iż świat zewnętrzny zniknął mu z przed oczu. W blasku ogniska polowej kuchni cesarskiej mógł Bernard obserwować pełne wyrazu rysy księcia, na którego czole uwidoczniały się ciężkie chmury troski. Było tyle łagodnej powagi w tem obliczu, tyle męskiej stanowczości, że wspomnienie tej twarzy musiało być niezapomniane.

Jeszcze śledził Bernard szlachetną postać, kiedy szabla zadźwięczała znowu u wrót cesarskiego namiotu. To był król Neapolu, który w swym awanturnicznym stroju huzarskim pojawił się, jak zuchwały bożek wojny. Szepotał do siebie jakieś niezrozumiałe słowa, które brzmiały, jak echo gniewu i niepowstrzymanego temperamentu. Nie zauważywszy Bernarda, przeszedł koło jego konia i wtedy właśnie młody oficer usłyszał, jak Murat, tupnąwszy nogą, zawołał do siebie przyciszonym głosem:

— Moscou! Moscou! Cette ville nous perdra!

Ledwo uszedł kilka kroków, stanął, jakby sobie coś przypomniał, obrócił się i zawołał:

— Gdzie jest ordynans pułkownika Sieniawskiego?

Bernard chciał z konia zeskokczyć i zameldować się, ale Murat zatrzymał go skinieniem ręki.

— Siedzieć! Oto rozkaz dla pułkownika! Marsz!

To mówiąc, oddalił się, a Bernard natychmiast ruszył do swego pułku.

Obdarzony szczęśliwym zmysłem orientacyjnym, przenikał ciemność, wokół której błyszczały płomienne języki ognisk straży. Z daleka były one podobne do błędnych ogników, które wodzą samotnych wędrowców po błędnych manowcach. W krótkim jednak czasie Bernard odnalazł miejsce, gdzie obozowali jego przyjaciele.

Sieniawski przeczytał depesze i mruknął do siebie:

— Dobrze, dobrze, ale boję się, że to nie będzie potrzebne.

Noc przeszła bez żadnych szczególniejszych wydarzeń, zdwojono tylko strażę, a część żołnierzy stała pod bronią, inni jednak, którzy odpoczywali, mogli odpoczywać spokojnie.

Zdawało się, że z brzaskiem dnia wielka armia ujrzy nieprzyjaciela ustawionego w szyku bojowym, ale to było jeszcze jednym złudzeniem. Wielka przestrzeń, którą cesarz kazał zostawić na pole bitwy, była pustą. W mieście, na którego murach wznosiło się ośmnaście starych pekatyńskich wieżyc, zda się życie zamarło. Tymczasem wojska francuskie stały gotowe do walki, którą mogły rozpocząć każdej chwili.

Widziano cesarza, który w towarzystwie marszałków i adjutantów kilkakrotnie ukazał się przed wojskiem.

Jeden z marszałków, Belliard, osadził konia przed Sieniawskim i zamienił z nim słów kilka. Pułkownik natychmiast powołał pierwszy szwadron, którym dowodził Bolesław, i kazał mu towarzyszyć marszałkowi.

Ledwo ujechali kawałek drogi wzdłuż Dniepru, kiedy na zakręcie natknęli się na oddział złożony z trzydziestu kozaków. Na widok nieprzyjaciela pierzchnęli oni tak szybko, jak stado tchórzliwych wróbli. Zniknęli bez śladu. W kilka minut potem widać ich było już po drugiej stronie rzeki.

— U dyabła! — zawołał Sieniawski nagle i, zwracając się do marszałka, wskazał szablą przed siebie.

— Tam ciągną kolumny wojsk! — wykrzyknął. — To armia rosyjska cofa się w stronę Moskwy. .

Marszałek rzucił w tamtą stronę niewesołe spojrzenie.

— Cesarz będzie się bardzo gniewał; dotychczas wierzył ciągle, że wojsko rosyjskie stanie do bitwy, a Davoust utwierdzał go w tem szaleństwie. Teraz niema już złudzeń, bo oto przed nami ciągną się nieprzejrzane masy artyleryi, piechoty i kawaleryi. Trzeba o tem cesarzowi zameldować.

Pędził więc marszałek przez pola w stronę namiotu cesarza.

Tymczasem Sieniawski kazał Bolesławowi natychmiast rekognoskować rzekę i szukać przejścia, przez które mogłaby się przedostać kawalerya, a w ostatecznym razie piechota i artylerya. Sądził bowiem pułkownik, że cesarz wyda natychmiast rozkaz, aby uderzyć z boku na nieprzyjaciela i przeszkodzić mu w odwrocie.

Ale Bolesław szukał napróżno, i omal że kilku ludzi przy tem nie stracił.

Niezadowolony z wyniku, chciał już zawrócić, kiedy za jego plecami rozległ się huk działa. Obrócił się i ujrzał brzeg rzeki obsadzony przez artyleryę francuską, która poczęła razić armię rosyjską poruszającą się po-

woli. Natychmiast artylerya rosyjska odpowiedziała strzałami.

Czarne chmury okryły pola, tylko kiedy niekiedy przesywały je czerwone błyskawice, po których następował huk strzałów. Bolesław, wracając z powrotem, miał już przed sobą straszliwy obraz spustoszenia i śmierci. To już nie była walka kilku baterji; cała przestrzeń, otaczająca Smoleńsk, kolysała się od straszliwej bitwy.

Cesarz rozkazał uderzyć na Smoleńsk, który chciał opanować jak najprędzej.

Ze wszystkich stron ruszyły czarne masy piechoty, aby odeprzeć nieprzyjaciela, który odstrzeliwał się coraz słabiej. Ziemia zdawała się drzeć wstrząsana głuchym łoskotem. Szare chmury dymu pełzały powoli gęstym tumanem i ocieniały pole śmierci. Jak krwawe oko, patrzyło słońce zamglone. Ptaki trzepotały się trwożliwie i uciekały chyżo z miejsca zniszczenia. Bolesław słyszał tylko wciąż oddalający się huk dział. W tej ciszy cała przyroda spoczywała bez ruchu; nie drgnęła gałązka, nie ruszył się listek. Zdawało się, że przerażona strasznymi czynami ludzi i ona czeka na wyrok śmierci. W milczeniu powracał Bolesław, zbliżając się do pola bitwy. Walka napętnia zwykle zapaleń pierś żołnierza, jeśli on bierze w niej udział, lecz kiedy przyjdzie ją oglądać z daleka, budzi niepokój.

Obserwując bieg walki, nie biorąc w niej udziału, widzieli żołnierze Bolesława całą jej okropność.

— Tam w tej dziurze szaleje sam dyabeł — mówił stary Piotrowski i wskazał na miejsce, gdzie stała artylerya francuska, przysłonięta najgęstszym dymem.

— Zdaje mi się, że dostali się w potrójny ogień krzyżowy.

— Naturalnie, niedarmo błyskają te trzy czarne

chmury. U dyabła, i trafiają także. Jaszczyki fruują w górę, jakby stały na minie. Ale patrzcie, rezerwowa bateria idzie im na pomoc, musi się im tam kiepsko dziać. Mój Boże, gdyby nam byli dzisiaj dotrzymali placu, gdyby kawalerya mogła skoczyć także! Do pioruna! Jeszcze jeden jaszczyk!

W istocie, miejsce, które wskazał Piotrowski, było podobne do wulkanu zięjącego ogniem. Dym kotłował się w czarnych, olbrzymich chmurach i ciągnął się daleko. W ten sposób nieprzyjaciel, mając baterię francuską jak na dłoni, sam osłonięty był tumanem dymu. Jego kule i granaty uderzały ze straszliwą mocą w nieszczęsną baterię. Koła i osie trzaskały w drzazgi, konie stawały dęba i rozrywały uprząż. Granaty pękały, jaszczyki z prochem wylatywały w powietrze.

— Zdaje mi się — rzekł Bolesław do Piotrowskiego — że musimy skrócić na lewo, bo inaczej dostaniemy się niepotrzebnie w ogień.

— Tak, panie poruczniku — odparł stary żołnierz. — Moglibyśmy bez potrzeby stracić kilka koni, a poco dawać, kiedy nic wziąć nie można.

Skręcili w niewielkie wklęsnięcie między pagórkami, i odrazu stracili bitwę z oczu. Niebawem Bolesław stanął przed Sieniawskim, meldując mu o nieudanem przedsięwzięciu.

— Wiem już o wszystkim — rzekł Sieniawski — powiedziało nam już o tem kilku żołnierzy znajdujących okolicę. Co prawda jest jeszcze jedno przejście, ale możemy korzystać z niego z pożytkiem dopiero wieczorem. Zmieści się tam ledwo kilku ludzi, a o artylerji niema już mowy. Nie możemy więc myśleć teraz o ataku na wojska rosyjskie. Dopiero wieczorem może uda przeprowadzić się tamtędy kilka oddziałów wojska i przerazić cofa-

jąca się armię rosyjską. Będzie i mój pułk szczęścia próbował. Ciesz się to bardzo, bo dotychczas odgrywalimy tylko rolę widzów.

Tymczasem bitwa pod murami miasta wrzała ustawicznie. Sieniawski, razem z oficerami swoimi obserwował ją z punktu, gdzie wszystko było widać jak na dłoni. Wciąż jeszcze bateria francuska zasypywana była potokiem ognia i żelaza. Żołnierze patrzyli ze smutkiem w to miejsce, gdzie koledzy ich ginęli jeden po drugim. Nagle, wśród gęstych zwalów dymu ukazało się kilku jeźdźców, jadących w stronę namiotu cesarza. Kiedy zbliżyli się, poznano ze zdumieniem króla Neapolu. Jechał on powoli i, salutując niedbale, nie oglądał się poza siebie. Jeden z oficerów odłączył się od orszaku i znalazł się w pobliżu Sieniawskiego. Był to znajomy jego, pułkownik Regnard.

— Na Boga! — zawołał Sieniawski. — Coście robili w tym kotle dyabelskim? Czegóż król tam szukał?

— Musiały zajść jakieś dziwne rzeczy między nim a cesarzem, bo zmienił się zupełnie. Usiłował koniecznie umrzeć w tej dziurze dyabelskiej. Kiedyśmy go zaklinali, aby powrócił, zawołał: „Nie żądam zguby niczyjej!“ I chciał odesłać z powrotem swych adjutantów. Jednogłośnie oświadczyliśmy, że nie opuścimy go pod żadnym pozorem. W tej chwili padł granat i rozszarpał konia jego ulubieńca Duteuil'a, który zdawał się również zginąć na miejscu. Murat skoczył ku niemu i wyciągnął go sam z pod zwłok końskich. Kiedy zobaczył, że żyje i patrzy na niego przytomnie, ucałował go i rzekł: „Wracajmy!“

Bernard słuchał tego opowiadania z nateżeniem. Mimowoli przypomniła mu się scena, która w oczach jego

odegrała się wczoraj przed namiotem cesarskim. Nikomu jednak o tem nie mówił.

— A cóż mogło zajść między cesarzem i jego szwagrem?

— Po prostu podobnie jak Duroc, Darus, Lobau i inni, jest niezadowolony z tej całej wyprawy. Stara piosenka ze starym refrenem! I jeżeli dzisiaj poświęcimy dwadzieścia tysięcy ludzi, ażeby zdobyć tę kupę kamieni, będzie ją śpiewał znowu cały obóz. Do widzenia, panowie!

To mówiąc, pułkownik Regnard pocisnął konia kolanami i pojechał dalej, zostawiając w duszy Sieniawskiego wiele wątpliwości.

III.

Przez cały dzień wznawiano ataki na Smoleńsk. Rosyane bronili się spokojnie, ale straszliwie. Tysiące żołnierzy padało na polu śmierci, ale wciąż jeszcze było to za mało, aż i słońce poczęło się chylić ku zachodowi i zniknęło za szarymi chmurami.

Teraz właśnie nastał czas odpowiedni dla planów Sieniawskiego. Kazał wsiąść żołnierzom na koń i prowadził pułk wzdłuż Dniepru, w takiej odległości jednak, aby z tamtego brzegu nikt go zobaczyć nie mógł. Po upływie godziny ostrożność ta była niepotrzebną, bo nastąpiła ciemność zupełna.

Sieniawski nakazał żołnierzom zupełną ciszę, nie pozwalając niecić ognia, ani palić fajek. Przy nim znajdował się jakiś młody człowiek, który spełniał rolę przewodnika; Sieniawski rozmawiał z nim po rosyjsku tak cicho, że nikt ani słowa zrozumieć nie mógł. Wreszcie pułk zatrzymał się w małym, lecz gęstym lasku. Sie-

niawski ruszył przodem w towarzystwie wieśniaka, rozkazując czekać cierpliwie na swój powrót.

Panowała cisza pełna napięcia. Ponury odgłos bitwy, który brzmiał jeszcze długo w oddali, ucichł zupełnie. Tylko wiatr szumiał w gałęziach drzew, a gdzieś w oddali słychać było odgłos zwojujących się kuropatw. W ten sposób spędzono pół godziny. Sieniawski powrócił wreszcie i prowadził pułk dalej. Żołnierze wspinali się po kilku pagórkach, porośniętych krzewami i wysoką trawą— to w górę, to na dół, wreszcie znaleźli się na stromym stoku, pod którym Dniepr szumiał, a w jasnych jego falach odbijało się ciemne sklepienie nieba.

— Dwójkami za mną! — zakomenderował cicho Sieniawski, a żołnierze podawali sobie ten rozkaz dalej.

Teraz zjeżdżali ostrożnie po stromej pochyłości i przedostawali się przez rzekę, która w tym miejscu była zaledwie na trzy stopy głęboka.

Bernard, który zawsze oryentował się doskonale, trącił Ludwika i, wskazując palcem przed siebie, szepnął cicho:

— Spójrz tylko, czy to nie okna słabo oświetlone. Zdaje mi się, że znajdujemy się w pobliżu zamku, który dziś rano zwrócił naszą uwagę.

— To możliwe — odparł Ludwik. — Ale cóż to za jasny błysk za nami? Co to ma znaczyć? Ponad lasem niebo jest zupełnie czerwone!

— Może to księżyc wschodzi?

— Nigdy być nie może, teraz jest dopiero północ.

Wtem po sklepieniu niebios przedarła się czerwona błyskawica, a krwawy odblask odbił się w falach rzeki.

— To jest ogień! — zawołał Stanisław. — Patrzcie! patrzcie! płomienie wznoszą się coraz wyżej.

— Smoleńsk płonie!

Nie można już było dłużej wątpić. Luna pożarna szerzyła się coraz dalej, oświetlając światłem ponurem całą okolice. Widać już było czarne sylwety wież na tle krwawego nieba, jakby pożogą zachodzącego słońca oświetlone. Żołnierze, patrząc na to piękne, lecz straszliwe widowisko, nie mogli się oprzeć uczuciu przerażenia.

— Zobacz teraz, że wnioskowałem słusznie — mówił znowu Bernard do Ludwika. — Czyż nie widzisz w czerwonym błysku płomieni zamku?

W istocie przed nimi widać było starożytną budowlę zupełnie wyraźnie.

Tymczasem żołnierze przejeżdżali dwójkami szybko rzekę i łączyli się na drugim brzegu.

Sieniawski szeptał przez chwilę z przewodnikiem i odezwał się w te słowa do żołnierzy:

— Jesteśmy u celu. W tym zamku, który przed sobą widzicie, znajduje się wielu generałów i dostojników rosyjskich, zgromadzonych na weselu. Wziąć ich do niewoli jest celem naszej wycieczki. Z początku posuwajcie się cicho, lecz skoro spostrzeżecie, że niema już żadnych przeszkód, ruszycie naprzód jak wichur. A więc naprzód!

Żołnierze jechali ostrożnie aż do łagodnego stoku. Tu kazał Sieniawski trąbić do ataku, a pułk ruszył z miejsca galopem, drogą, wiodącą do zamku i wsi.

ROZDZIAŁ PIĄTY.

I.

Gwałtowne wstrząśnienie, które w czasach ostatnich przeszło biedne serce Anny Feodorówny, musiały ją w końcu złamać, pomimo wszelkich wysiłków zachowania równowagi. We wszystkich włóknach szalały rozpasane nerwy, przywołany lekarz uznał położenie za bardzo krytyczne. Aksinia nie chciała ani na chwilę odstąpić od łoża chorej, łącząc troskę o zdrowie hrabianki z własnym swym losem. Cóżby stało się z nią i Pawłem, gdyby Anna umarła, zanim zdążyliby ten kraj opuścić?

Zresztą chora potrzebowała widocznie jej obecności i pomocy; niepokoila się mocno zawsze, ilekroć przy jej boku znalazł się ktoś inny zamiast Aksinii. I tak nawet obecność matki przejmowała chorą strachem i lękiem zabobonnym. Czasami tylko mogła Aksinię zastępować Jeanette; kiedy jednak stan się pogarszał, Aksinia musiała powracać znowu.

W ten sposób upłynął cały miesiąc. Anna poczęła zwolna przychodzić do siebie; była jednak tak bardzo wyczerpana, że niebezpieczeństwo nie przestało zagrażać jej życiu, mimo polepszenia. Ataki febry ustały,

należało się jednak obawiać, czy wyniszczone ciało zdoła utrzymać w sobie moc życiodajną. Łagodna pora roku działała kojąco; ciepłe słońce czerwcowe nawet w tej dalekiej, północnej krainie pobudzało wszystko do rozkwitu i życia. Hrabianka powracała do zdrowia wbrew swojej woli. I, gdyby nie wewnętrzna boleść, która trapiła jej serce, wdzięczna postać dziewczyny odzyskałaby rychło swój dawny wygląd i wszystkie powaby. Byłaby jak róża świeżo rozkwitła, na której widać jeszcze krople deszczu po burzy niedawnej. Ale ona była złamaną, rosa niebieska nie orzeźwiła jej jeszcze wcale.

Kto sam cierpi, ten ma serce czułe na niedolę drugich. Rychło więc przypomniała sobie Anna o Pawle i Aksinii. Za pierwszy swój obowiązek uważała, aby im obojgu czem rychlej ułatwić ucieczkę. Ojciec Gregory połączył młodą parę węzłem małżeńskim i tego samego dnia hojnie obdarowani, opuścili natychmiast zamek, aby wśród zgiełku wojny znaleźć drogę do szczęścia i wolności.

Hrabianka została samotna; mimo wszystko bowiem, mimo poddania się woli rodziców, serce matki pozostało dla niej zimnem i obcem. Co prawda, ta matka nigdy inną nie była i nawet w czasach dzieciństwa, kiedy Anna darzyła ją uczuciem prawdziwej miłości, ona odpowiadała w najlepszym razie tylko przyjaźnią. I dlatego Feodorowna tęskniła zawsze za inną matką, któraby rozumiała jej cierpienia i smutki. Ochalskiej i Dołgorow znajdowali się ciągle w armii; w pierwszych dniach lipca nadeszła jednak wiadomość, że obaj przyjadą niebawem i wtedy odbędzie się ślub hrabianki. Przeszkody dotychczasowe zostały już usunięte. Ochalskiej otrzymał urlop trzydniowy i w tym czasie zamierzał zostać szczęśliwym małżonkiem. Postanowiono także, że po

ślubie Anna odjedzie z matką do dóbr księcia w głębi Rosyi położonych, aby tam czekać spokojnie na koniec srożącej się wojny. Działo się to wszystko właśnie w tej chwili, kiedy wojska rosyjskie z największą szybkością dążyły do Smoleńska, aby nie pozwolić się opasać armii francuskiej. W nocy, kiedy część armii rosyjskiej rozpoczęła już odwrót w stronę Moskwy, przybyli do zamku Dołgorow i Ochalskoj. Następnego dnia miały się odbyć zaślubiny; stosownie do woli Dołgorowa małżonkowie mieli spędzić pierwszą noc poślubną jeszcze w zamku. Następnego dnia mężczyźni powrócą do armii, a kobiety przez Kalugę wyruszą do dóbr księcia.

Nastala chwila pełna przerażenia, kiedy przed Anną rozwarły się drzwi ponurego więzienia, w którym miała przepędzić już resztę swego życia. Piękna pociecha, że w ten sposób dźwignie szczęście drugich, nie mogła jej wystarczyć. Płakać już nie mogąc, patrzyła w przyszłość z zimnem przerażeniem. A tymczasem wszystko składało się na to, aby dzień jutrzejszy stał się najstraszniejszym w jej życiu.

W oddali rozlegał się huk dział od strony obleganej twierdzy. Kiedy stawała w oknie swego pokoju, widziała oddziały dzikiej jazdy kozackiej, która ciągnęła po drodze do Moskwy prowadzącej. Widok kozaków, Tatarów i Baszkirów przywodził jej na myśl odległe dobra księcia, w których miała się żywcem zagrzebać. I w takich chwilach ze ściśniętem sercem wołała do siebie:

— Po cóż to poznałam piękne kraje, łagodne obyczaje i ludzi szlachetnie myślących!

I potem myśl wartkim płynęła biegiem.

— Szczęśliwą i tam nie byłam; piękne marzenia tylko przez czas krótki snuły się tęczowymi błyski

na ciemnym horyzoncie mego życia. Ale przynajmniej marzyłam...

I wtedy snuła się w myślach hrabianki postać młodzieńca, odległe wspomnienia falą uderzały o serce, a usta szeptały mimowoli:

— Przyjacielu, który podałeś mi rękę w niedoli, do ciebie należy serce moje. Wybacz zdradę, bo wszystko było tylko złudzeniem. Ręka opatrności, której ufalam, zerwała więzy ledwo zadzierzgnięte; gwałtowna burza spędziła błogie marzenie, a noc i zapomnienie pokrywa wszystko mglistym płaszczem.

A kiedy tak mówiła, płynęły z jej oczu lzy rzęsiste i łkanie rozrywało piersi zbolale.

Pograżona w smutku głębokim, stała nieszczęsna panna młoda przy oknie i oglądała pustą okolicę, kiedy nagle poczuła na ramieniu lekkie dotknięcie.

To była Jeanetta, która przyniosła suknię ślubną. Anna wstrząsnęła się gwałtownie, ale nie próbowała skarżyć się więcej; bez oporu pozwoliła się ubierać i zdobić.

Jeanette wplotła właśnie w jej włosy wianek ślubny, kiedy wszedł Ochalskiej, aby ją pozdrowić i natychmiast prowadzić do cerkwi, gdzie czekał ojciec Gregory.

Anna Feodorówna spokojnie, w milczeniu, podała mu ramię i szła z nim razem po schodach szerokich. Na sali przyjęli ją rodzice i zgromadzeni goście. Było tam tylko kilku starszych mężczyzn, spokrewnionych z obydwoma rodzinami, oraz wielu generałów, którzy przybyli na ślub jako przełożeni księcia. Pochód z parą nowożeńców na czele ruszył w stronę cerkwi. Wieśniacy zebrali się tłumnie, tworząc żywą ulicę, po której kroczyła Anna Feodorówna, pozdrawiana wszędzie ze szczerą życzliwością. Krocząc po kwiatkach szcudrze na jej drodze rozspanych,

na ramieniu księcia oparta, weszła hrabianka do cerkwi i słuchać poczęła pobożnego dźwięku dzwonów, z którym mieszał się daleki odgłos toczącej się bitwy. I kiedy tu padały słowa pokoju i błogosławieństwa, tam tysiące ofiar wojny umierało z przekleństwem na ustach. W kilka minut ceremonia religijna skończyła się i orszak weselny powracał znowu do zamku, gdzie zebrani goście zasiedli do wspólnego obiadu.

Tymczasem huk dział wzrastał ciągle i zdawał się zbliżać w stronę zamku. Hrabina Dolgorow była niespokojną i pytała, czy nie byłoby lepiej wyruszyć natychmiast.

— Jesteśmy tutaj zupełnie bezpieczni — odparł jeden z generałów. — Smoleńsk jest kluczem do tej drogi. Dopóki nie dostanie się w ręce nieprzyjaciela, nikt nam spokoju zakłócić nie może. A nad brzegiem rzeki czuwają ustawicznie oddziały kozaków.

— Niezupełnie się zgadzam — zaczął Dolgorow z ponurym wyrazem twarzy — z poglądami feldmarszałka, który wyznaje tylko jedną zasadę: cofać się i cofać.

— Prawdopodobnie żaden z nas nie chciałby tak wojny prowadzić — odparł generał stanowczo. — Gdyby hrabia Barclay de Tolly był Rosyaninem, nie mógłby tak spokojnie znieść hańby naszej ojczyzny. I tu, gdzie widzę tylko prawdziwych Rosyan, mogę w zaufaniu powiedzieć wam coś bardzo ciekawego. Oto mówią już głośno o tem, że cesarz na skutek namowy najwyższych dostojników, postanowił oddać komu innemu naczelne dowództwo.

— A więc księżę Bagration? — zapytał szybko Dolgorow.

— Nie mogę jeszcze nazwiska jego wymienić — odparł generał — ale w każdym razie jest to prawdziwy,

szlachetny Rosyanin. Rozpoczęto z nim już nawet układy. I może przypadnie w udziale towarzyszowi broni Suworowa odzyskać starą sławę Rosyi!

— A więc jest to książę Kutuzow, nikt inny — zawołał z zapalem Ochalskoj. — Wznoszę zdrowie na cześć tego wielkiego starca.

Wstał i wznosił w górę swój kielich, a wszyscy mężczyźni poszli za jego przykładem.

— Niechaj wodzem naszym będzie, kto chce — mówił Dołgorow głosem donośnym — my wzniesmy toast na cześć tego syna Rosyi, który krwawo pomści hańbę swojej ojczyzny.

— Niech żyje! — zawołali wszyscy i uderzyli wzajem szklankami.

Nadszedł już wieczór, kiedy goście oddalili się do przyległych pokojów. Anna Feodorówna widziała z bolesnem przerażeniem, że coraz to bardziej zbliża się godzina, w której stanie oko w oko ze swym mężem.

Kiedy jednak, schroniwszy się do bocznego pokoju, poprawiała swe suknie, przybiegła do niej Jeanetta i szepnęła cicho, że ojciec Gregory znajduje się w jej pokoju i pragnie natychmiast z nią pomówić. Jakżeż chętnie śpieszyła Anna, aby spełnić życzenia ukochanego starca.

— Droga moja córko! — zaczął ojciec Gregory na jej widok — nastąpiła chwila, kiedy muszę mówić z tobą o rzeczach bardzo ważnych. Jesteś już dzisiaj niezaprzeczoną małżonką księcia, tylko śmierć może ten związek rozwiązać.

— O! drogi ojczel! — przerwała mu Anna — wiem o tem dobrze i nic mnie nie zachwieje na drodze obowiązku. Będę mu wierną i posłuszną aż do ostatka dni

moich. Mam jednak nadzieję, że to jeszcze długo nie potrwa.

Znużona boleścią oparła swą głowę zmęczoną na piersiach starca.

— Nie o tem pragnę z tobą mówić, droga ma córko,— odparł łagodnie duchowny — bo wierzę mocno w siłę twojej cnoty. Przychodzę wyjawić ci pewną tajemnicę, której stałem się właścicielem w dniu śmierci Maruszki, twojej piastunki. Przysiągłem jej wówczas, że nie powiem ci tego prędzej, aż w dniu twojego ślubu. Dziś się to stało i dziś już mogę mówić.

Zatrzymał się chwilę i, kiedy Anna patrzyła nań w nieruchomem zdumieniu, rzucił szybko:

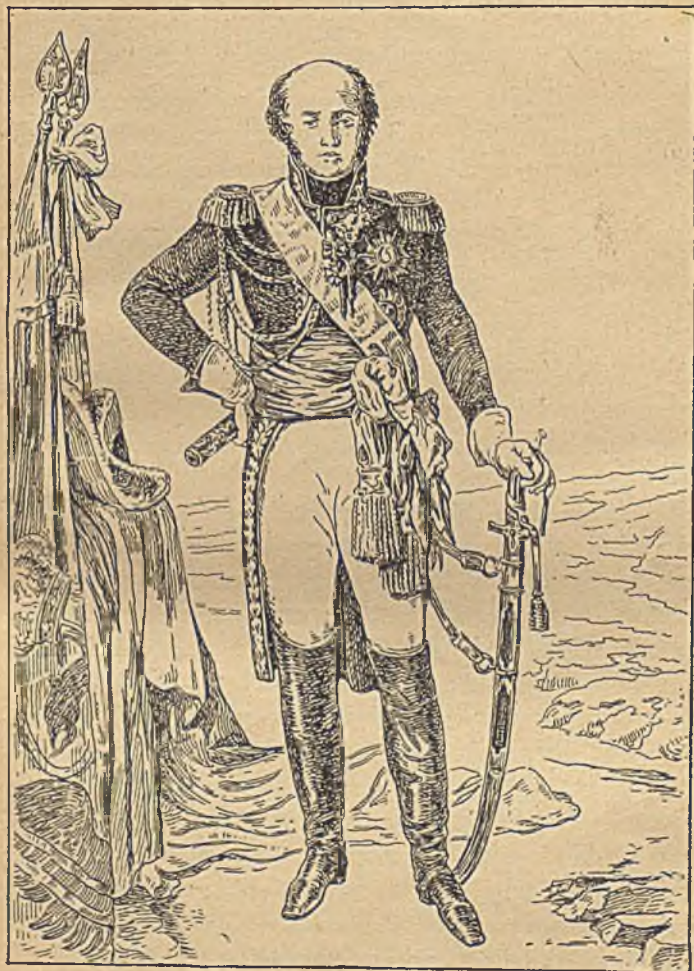
— Ty nie jesteś córką hrabiego Dolgorowa, ty nie jesteś także i córką Rosyi; jesteś Niemką, ale twoi rodzice oddawna już rozstali się z tobą. Hrabia Dolgorow wziął cię do siebie jako swe dziecko, bo swego nie miał. Oto są miniatury twoich rodziców, które oddała mi Maruszka.

To mówiąc, ojciec Gregory, oddał Annie list i mały, kieszonkowy futerał, w którym widniały oblicza młodej kobiety i niemieckiego oficera.

Anna Feodorówna stała nieruchoma, nie mogąc wykrztusić z siebie ani słowa. Nawpół przytomnie wzięła to, co jej ojciec Gregory podał, i położyła na stole. Wreszcie, przyciskając ręce kurczowo do piersi, zawołała głosem pełnym lęku i przerażenia:

— A więc nie jestem jego córką! A przecież — o, Wszechmocny Boże!

— Przyjdź do siebie, moja córko, i zwróć swe serce do Boga, który w cudowny sposób kieruje losami ludzi. Odkryłem ci to, co jest najważniejsze i najpotrzebniejsze, przeczytaj te papiery, a dowiesz się i reszty. Zostawiam



Marszałek Davoust.

cię samą, abys się mogła uspokoić. Jeśli mnie będziesz potrzebować, wezwij, a przyjdę natychmiast.

To mówiąc, starzec opuścił pokój, Anna zaś opadła na krzesło i oparła głowę na dloniach. Sporo czasu minęło, nim zdolala się opanować i wziąć do ręki papiery, które zawierały tajemnicę jej życia. Podobizny rodziców leżały przed nią, a ona patrzyła na nie przez łzy.

Wreszcie, przełamawszy pięć pieczęci na kopercie, czytała list pisany do niej przez Maruszkę, ręką od starości drżąca:

„Najdroższe me dzieci! Jak długo żyłam, straszliwa przysięga krępowała mi usta, kiedy jednak odejdę, niechaj głos mój z ła grobu jeszcze do ciebie doleci i powie ci tajemnicę twojej młodości. Nie jesteś córką Dolgorowa, ani hrabiny!

Miałaś zaledwo kilka dni, kiedy po śmierci matki twojej wzięli cię w Niemczech za swe dziecko. Hrabia był już wtedy cztery lata żonaty. Pustka bezdzietnego małżeństwa i ochota zwiedzania cudzoziemskich krajów kazala mu wiele podróżować. W maju roku 1793 znajdował się w Pymont; tam poznał twoją matkę, która przybyła dla poratowania zdrowia z pięcioletnim chłopcem, którego nazywała Benno. Nazywała się Luiza Waltheim. Jej mąż był oficerem i zginął w pojedynku. Znalazła się wtedy w wielkich kłopotach życiowych, zwłaszcza, że miała zostać po raz drugi matką. W Pymont hrabia Dolgorow i jego żona, poznavszy ją, opiekowali się. Luiza Waltheim została w końcu stałą towarzyszką Dolgorowów. W trzy miesiące potem przyszaś na świat, a jedenastego dnia po twojem urodzeniu matka twoja umarła. Ja opiekowałam się nią w ostatnich godzinach jej życia. Przed śmiercią polecila cię mojej opiece i na moje zło-

żyła ręce wszystko, co posiadała. Hrabia Dołgorow wezwał mnie w jakiś czas potem do siebie i oświadczył, że pragnie cię przyjąć za córkę. Zapytał się, co się stanie z twoim bratem. Hrabia odpowiedział, że musicie się rozłączyć, a ode mnie zażądał przysięgi na hostyę świętą. Nie miałam wyboru. Mój ojciec i moi bracia byli od hrabiego zależni, jedno skinienie jego ręki mogło ich unieszczęśliwić na całe życie. Tak się stało, tak się stać musiało. Ale teraz, w godzinie zbliżającej się śmierci, dręczą mnie ciężkie wyrzuty sumienia, że przez całe życie musiałam cię oszukiwać. To, co uczynił hrabia Dołgorow i jego żona, nie płynęło z serca, to był interes. Hrabina nie mogła dziedziczyć znacznej części swych dóbr, jeśli nie była matką. Pobożnemu ojcu Gregoremu wyznałam na spowiedzi wszystko, co uciskało moją duszę. U niego otrzymasz to w godzinie ślubu, kiedy jako żona wolnego człowieka będziesz zabezpieczoną już na całe życie...”

Rzęsiste łzy płynęły z pod powiek Feodorówny i nie pozwalały jej czytać dalej. Ale po chwili opanowała się, pragnąc dowiedzieć się co rychlej o losie swego brata.

„Chcąc zapewnić chłopcu chociaż wspomnienie o matce, wzięłam jego ubranie świąteczne i zaszyłam tam jeden z pierścieni ślubnych, które zostawiła twoja matka. Następnego dnia hrabia uwiózł go powozem zaprzężonym w pocztowe konie. Co się z nim stało, nie dowiedziałam się nigdy.

Przez trzy lata podróżowaliśmy po Holandyi i Anglii, a wróciwszy do Rosyi, byłaś już hrabianką i jako taką cię wychowano. Pierścień, który ci dałam niegdyś przed moim odjazdem, prosząc, abys nosiła go na pamiątkę, jest pierścieniem ślubnym twojej matki. Za pomocą niego poznasz swego brata. Oto jest wszystko, co mogłam ci od-

kryć. Nie mów o tem swoim opiekunom, gdyż mogliby się mścić na braciach moich, którzy jeszcze zostali przy życiu.

A teraz, żegnaj mi na zawsze, lube dziecko! Przebacz mi, że milczałam, ale sądziłam, że tak lepiej będzie. Niechaj szczęśliwem będzie życie twoje na tej ziemi, tak, jak się to należy twojej dobroci i piękności.

Twoja stara, wierna
Maruszka“.

II.

List ten podniecił Annę Feodorównę do najwyższego stopnia. Targana najsprzeczniejszymi myślami, nie mogła powziąć nic stanowczego. Raz chciała wzywać ojca Gregora, to znowu mówić o wszystkim z opiekunami, albo otworzyć oczy swemu małżonkowi. Z oczyma załzawionemi patrzyła na podobizny swych rodziców.

— O, jak piękną jest twarz mej matki, jak szlachetną, jest twarz mego ojca!

Dziwne wzruszenie opanowywało jej duszę na widok tych rysów tak drogich, choć nieznanym.

— O, wy, chcielibyście swą córkę napewno więcej od tych innych ludzi.

Ale w tej samej chwili przypomniała sobie, że ten promień światła, który padł do niej z tamtego świata, zajaśniał napróżno. Wszak była żoną księcia. Wszystko już przepadło. Cóżby pomogło, gdyby powiedziała hrabiemu, że wie o wszystkim.

Anna długo walczyła ze sobą, nie wiedząc, co ma uczynić. Wreszcie spokój powrócił na jej wybladłe lica i niezłomne postanowienie zapadło w jej duszy.

— Tak, teraz będę jeszcze milczeć, ale przysięgam,

że od tej chwili szukać będę bez ustanku mojego brata. A kiedy go znajdę, zawołam z całej siły: Jestem twoją siostrą! A wtedy niech się dzieje co chce.

Kiedy już chciała opuścić swój pokój, drzwi otworzyły się nagle i wszedł Ochalskiej. Przerażona, cofnęła się mimowoli wstecz, ale ksiązę z wyszukaną galanterią podbiegł ku niej, ucałował rękę i zapytał:

— Czy cię przestraszyłem, ukochana? Stęskniłem się już za tobą i przyszedłem cię szukać, bo już od godziny znikłaś mi z oczu. Najpiękniejsza godzina mojego życia wybiła. Obejmuję ramionami najpiękniejszą, najlepszą i najwdzięczniejszą ze wszystkich kobiet. Moją jesteś i moją będziesz.

To mówiąc, całował jej blade policzki i usta, a ona, drżąc, napróżno usiłowała się bronić, napróżno starała się odpowiedzieć cośkolwiek na jego słodkie słowa. Milcząc, przyjmowała pieśczęty, których odmówić nie było jej wolno.

A ksiązę stawał się coraz to bardziej poufalszym.

— Musimy prędko pić czarę szczęścia i upojenia, bo czas ucieka, będę musiał odejść od ciebie. Znajduję się w sanktuarium miłości, nikt nam teraz nie przeszkodzi. Przed nami tylko jedna krótka noc. Trzeba ją zrabować okrutnemu losowi, bo jutro nas już rozdzieli.

Anna Feodorówna, miotana wstrętem i przerażeniem, nie mogła wydobyć z siebie ani słowa. Ochalskiej sądził, że jej milczenie wyraża wstyd dziewiczy. Dlatego coraz to silniej przyciskał swe palące wargi do jej ust, a ramionami tulił ją do siebie. Pożądanie rozpałało w jego oczach niespokojne błyski. Nagle zerwał się i, nic nie mówiąc, gasił świece jedną po drugiej.

W komnacie zapanowała ciemność, a Ochalskiej szepotał:

— Łoże weselne jest już gotowe, nie opieraj się dłużej, słodka istoto!

Anna Feodorówna zebrała teraz wszystkie swoje siły, odepchnęła go gwałtownie i, nie wiedząc, co czyni, zaczęła poprostu uciekać. Ledwo jednak otworzyła drzwi swego pokoju, straszliwy okrzyk przerażenia wydarł się z jej piersi i padła bezprzytomna na ziemię. Ochalskoj zerwał się nie mniej przerażony i odwróciwszy się w stronę, gdzie padła Feodorówna, zobaczył czerwoną, jak krew, łunę pożaru.

To płonął Smoleńsk i płomienie przedarły się wreszcie przez zwal czarnych chmur, które osłaniały go długo. Twierdza leżała wprost okien Feodorówny, a zasłony nie były spuszczone. Ochalskoj podniósł omdlałą oblubienicę i, trzymając ją w ramionach, usiłował uspokoić.

— Przyjdź do siebie, najdroższa, straszliwą jest ta pochodnia weselna, która świeci nam w twarz, ale zapomnij i o tem. Przyjdzie czas, a pochodnie zemsty jeszcze straszniejsze będą.

Feodorówna nie otwierała wcale oczu. Ochalskoj nie wiedział, co ma uczynić, czy wołać pomocy? czy samemu cucić omdlałą? Ciemno-czerwony odblask pożaru osłaniał śmiertelną bladość omdlałej. Książę uniósł ją z ziemi.

— Ukochana, przyjdź do siebie, ocuć się.

W tej samej chwili w pobliżu pałacu padły trzy donośne wystrzały pistoletowe.

— Co to było? — zawołał Ochalskoj i skoczył do okna.

W ciszy nocnej rozległo się najpierw wołanie zmieszanych głosów, a potem nieregularna salwa strzałów pistoletowych i karabinowych.

— Zdrada, zdrada! — zawołał dziko. — Śmierć i zniszczenie, właśnie w takiej chwili!

Z temi słowy wybiegł z pokoju. W całym zamku panowało nieopisane zamieszanie. Niespodziewane strzały zdradziły, że nieprzyjaciel znajduje się już w murach zamku. Na gankach i schodach, w pokojach i na progu domu wila się bezradna masa parobków i dziewczek, chłopów, muzykantów i wieśniaczek.

— Zaryglujcie drzwi! — wołał Dołgorow. — Most w górę, zbierajcie się na podwórce zamkowym! Natychmiast! Może to tylko fałszywy alarm.

I kiedy rozkazami swymi usiłował napróżno w bezradnej gromadzie wprowadzić jakiś ład i porządek, przedarł się przez tłum jakiś wieśniak i zaczął wołać głośno:

— Nieprzyjaciel! nieprzyjaciel! Mordują, biją! Uciekajcie wszyscy do lasu!

Nastalo nieopisane przerażenie. Tłum, krzycząc głośno, wypadł na dziedziniec i ogród. Jedni ukrywali się odrazu, drudzy woleli uciekać. Wskutek tego nie było mowy o podniesieniu zwodzonego mostu. Dołgorow w wściekłości rąbał szablą nieposłusznych, zwiększając przez to tylko lęk i zamieszanie. Teraz oddział kozaków przesunął się galopem koło bramy, krzycząc głośno:

— Nieprzyjaciel, nieprzyjaciel! Uciekajcie i podpalajcie!

Znowu podniósł się wrzask nieopisany. Nikt już nikogo nie słyszał. Ochalskoj, który tymczasem uzbroił się w pistolety i szablę, krzyknął Dołgorowowi prawie w samo ucho:

— Opór na nic się nie zda. Musimy ratować kobiety. Uciekajmy przez ogród do lasu, gdzie możemy ukryć się spokojnie.

— Trzeba zamknąć przynajmniej bramę — wrzeszczał Dołgorow, zupełnie wytracony z równowagi. — Bo inaczej cała ta rejterada na nic się nie zda.

Nareszcie usłuchano jego rozkazu, bo wejście przez chwilę było wolne. On sam, razem z księciem i trzema zaufanymi służącymi szybko zamknęli bramę na łańcuchy i zasunęli żelazne rygle.

Był to już wielki czas, bo w tej właśnie chwili pojawił się Sieniawski na czele swych żołnierzy i ledwo bramę zamknięto, już kopyta końskie zadudniały na moście. Dołgorow i Ochalskiej pobiegli do pokoju Anny, aby ją ratować. Przerażliwy hałas obudził ją z omdlenia. Spokojnie porządkowała swą odzież i zbierała to wszystko, do czego największą przypisywała wagę. Był to zwitek papieru i dwie skromne miniatury — nic więcej. Szybko zarzuciła na ramiona płaszcz i śpieszyła za ojcem i małżonkiem do sali, gdzie już niecierpliwie czekała hrabina. Kiedy opuszczali już progi zamkowe, oblegający uderzali tak gwałtownie o bramę, że lada chwila można się było spodziewać ich wewnątrz. Tymczasem wielka ilość pozostałych służących i parobków, którzy odzyskali przytomność, gromadziła około bramy wielki stos siana, słomy i chróstu.

— Oddzielimy się od nich wałem ognistym — rzekł Dołgorow — i strzelił z pistoletu w sam środek tych łatwopalnych materyałów. Ogień buchnął natychmiast.

— Tylko jeszcze więcej słomy i drzewa, żeby dym zadusił tych psów, które tu wpadną.

Ludzie znosili coraz to więcej suchego materyału, a hrabia zachęcał ich jeszcze:

— Tak, dobrze, podpalcie cały zamek! Kiedy go już musimy opuszczać, niech i dla nich nie zostanie nic więcej, prócz kupy gruzów!

Kiedy widział, że rozkaz jego został wypełniony, pośpieszył do ogrodu, gdzie złączył się z pozostałymi.

[W kilka minut potem nadbiegła służba i wszyscy po-

dażyli w stronę tylnej furtki w ogrodzie, przez którą można się było dostać do lasu.

Z podwórza zamkowego szły już słupy czarnego gęstego dymu.

— Nie będą tam długo mieszkać! — zawołał szyderczo jeden z parobków.

— Za dziesięć minut cały zamek stanie w płomieniach.

— Milczeć teraz — rozkazał Dolgorow.

Przebywszy bramę, śpieszyli wąską ścieżyną do pobliskiego lasu. Ledwo jednak u jego stanęli skraj, kiedy gromada jeźdźców w pełnym galopie pojawiła się koło muru ogrodowego. Uciekinierzy biegli szybko w stronę lasu, ale jeźdźcy spostrzegli ich i nim tamci ująć się zdolali w bezpieczne miejsce, świsnęły kule, błysnęły szable ponad głowami uciekających.

Tymczasem Sieniawski wysadził bramę zamkową. Ledwo ją jednak otwarto, kiedy gryzący dym buchnął zjadliwą falą w twarze żołnierzy. Jednocześnie jednak uderzył w bramę wichur potężny i, wpędziwszy płomień w stronę podwórza i ogrodu, oczyścił wejście ze stosu siana, słomy i chróstu. W ten sposób droga była wolną. Sieniawski zawołał szybko:

— Obsadzić wszystkie wyjścia, nie puszczać nikogo! Bolesław ze swoim szwadronem wzdłuż muru ogrodowego na lewo! Stanisław na prawo!

Sam zeskoczył z konia i w towarzystwie oficerów zaczął przeszukiwać wnętrze zamku. Ale tutaj nie było już nikogo, tylko wszystko wskazywało na pośpieszną ucieczkę.

— Czyżbyśmy mieli chybić? — pytał Sieniawski nieco rozniewany. — Zdaje mi się, że ten pożar Smoleńska rozpedził trochę za prędko weselników.

Po chwili dodał znowu, zwracając się do oficerów:

— Gdybyśmy teraz mieli trochę piechoty i armat, uderzyłbym bez namysłu na armię nieprzyjacielską. W nocy strach ma wielkie oczy. Ale tak, jak jesteśmy, nie możemy się dalej zapuszczać. Patrole piechoty i pułk kozacki, na który natknęliśmy się we wsi, mogą nam sprowadzić na głowę za wiele wojska. Sądzę więc, że nie mamy nic lepszego do zrobienia, jak zatrąbić do odwrotu i wrócić przez rzekę tak cicho, jakeśmy tu przyszli.

Wszyscy oficerowie bez wyjątku zgodzili się z poglądem swego pułkownika.

Wkrótce powrócił Bolesław, a potem Stanisław. Ten ostatni przyprowadził ze sobą kilku jeńców ze służby hrabiego.

— Pod samym lasem — raportował — natknąłem się na uciekających; byli to mieszkańcy tego zamku, razem z kilku kobietami. Rzuciliśmy się za nimi i wtedy część uciekała dalej, część stawiała opór. W blasku płomieni, które padały od strony płonącego zamku zobaczyłem jakiegoś oficera rosyjskiego, który, niosąc na rękach młodą kobietę, chciał schronić się w gęstych zaroślach. Dopełnem go na koniu, i wezwałem, aby się poddał, ale on, ujrzawszy mnie, wy dobył pistolet i strzelił. Chybił, a ja odpowiedziałem strzałem i powaliłem go na ziemię. Tymczasem kilku Rosyan wmieszało się między nas i musiałem walczyć z nimi. Nadbiegli moi ludzie i wyratowali mnie z groźnej już opresyi. Tymczasem jednak zniknął oficer i młoda kobieta. Jeńcy zeznali potem, że to był książę Ochalskiej i jego dziś poślubiona żona, córka hrabiego Dołgorowa, właściciela tego zamku.

— Wracajmy teraz! — zawołał Sieniawski — bo może być źle!

Kiedy przekonano się, że między jeńcami nie znaj-

duże się żadna ważniejsza osobistość, uwolniono ich, grożąc śmiercią w razie powtórnego wzięcia do niewoli. Potem ruszono w drogę.

Gdy pułk Sieniawskiego przeszedł Dniepr z powrotem, pułkownik nie pozwolił jeszcze odpocząć swoim żołnierzom. Ponieważ wiedział, że Smoleńsk opuszczony został prawie zupełnie przez Rosyan, zapragnął go zająć przed innymi. Dlatego postanowił przedostać się do miasta przez przedmieście, które dla kawaleryi było dostępne. I tak wiódł swój pułk w zupełnej ciszy, aż do pierwszych domów miasta. Żaden głos, żaden ślad nie zdradzał, aby w tej kupie gruzów ocalał choć jeden mieszkaniec. Pułk jechał drogą poprzeczną. Nagle Sieniawski ze zdumieniem zobaczył przed sobą jeźdźców. Byli to żołnierze z korpusu ks. Poniatowskiego. Pozdrowiono się wzajemnie, przy czem obie strony patrzyły na siebie ze zdumieniem. Sieniawski jechał dalej blisko głównego wału. Wtem zobaczył w ciemnościach jakiegoś człowieka, skradającego się ostrożnie. Sieniawski, biorąc go za nieprzyjaciela, zawołał na niego po rosyjsku. Ale żołnierz nie odpowiedział ani słowa, tylko usiłował uciekać. W nadziei, że ten człowiek może powiedzieć coś ciekawego, Sieniawski kazał go przytrzymać kilku jeźdźcom.

— Vive l'Empereur! — zawołał niespodziewanie zagadkowy żołnierz i najeżył bagnet w stronę swoich kolegów.

Jak się okazało, był to podoficer z korpusu Davoust'a, który na własną rękę przekradł się pomiędzy murami Smoleńska. W ten sposób zamiar Sieniawskiego po raz drugi zniweczony został. Żołnierze francuscy znajdowali się już wewnątrz miasta i mogli przekonać się naocznie, że Rosyanie porzucili zupełnie tę część mia-

sta i, zerwawszy na rzece mosty, obsadzili pewną część Smoleńska, leżącą po drugiej stronie rzeki.

Tymczasem świtać zaczęło. Pierwsze promienie słońca oświetlały straszliwe widowisko. Wokoło widać było dymiące zgliszcza. Stosy nagich ciał, które leżały na ziemi, albo krwią ociekały, albo nawpół były spalone. Niektóre części ciała znajdowały się oddzielnie. Ze zwłok zwęglonych sterczały nagie piszczele.

Sieniawski kazał pułkowi swemu objechać miasto wokoło, sam jednak wraz ze Stanisławem pozostał wewnątrz, aby obejrzyć dokładnie straszliwe zniszczenie.

— Smutne zwycięstwo — zauważył melancholijnie. — A może to nie warto zdobywać stepy rosyjskie kosztem takich ofiar. Poświęcimy życie tylu dzielnych żołnierzy, a zamiast wiosek i miast, nie znajdziemy nic więcej, prócz dymiących kup popiołu.

Nawet wesoly, pełen życia Stanisław, przyzwyczajony do najokropniejszych obrazów wojny, nie mógł się oprzeć ponuremu nastrojowi, kiedy wędrował razem z Sieniawskim wśród ruin i stosów ciał.

— Jeszcze więcej niepojętem jest dla mnie, w jaki sposób ten kraj spustoszony ma wyżywić olbrzymie masy wojska, które teraz przezeń wędrują. Wydaje się, że, zanim nowy zasiew tu wszędzie, żadna żywa istota nie będzie mogła wyżywić się tutaj nawet przez dni kilka.

— Nawet wilk wywędruje do Polski i Prus, bo inaczej umrze z głodu. — Ale co to, jakaś muzyka?

Były to gwardye francuskie, które wśród dźwięków wesolych wkraczały do miasta. Te różne tony w tem miejscu i w tej chwili, były jakimś strasliwym szyderstwem. Sieniawski cofnął się w boczną uliczkę i patrzył na przeciągające wojska. Żołnierze grali Marsyliankę, która w sercu każdego Francuza budzi wesołość i odwagę,

ale teraz oblicza żołnierzy były smutne i pełne jakiejś uroczystej powagi. Oczy wpijały się nieruchomo w przerażający obraz spustoszenia. Na spalonych od słońca obliczach żołnierzy nie było radości. Dumnie, ale ponuro kroczyli przez zwaly ciał, żarzące się rumowiska, podobni do nadciągającej burzy.

Teraz pojawił się i cesarz na swoim arabskim siwku. Rzucił wokoło badawcze spojrzenia, lecz ani na chwilę nie przerywał rozmowy z hrabią Lobau, który jechał przy jego boku.

— Cesarz wygląda, jak na paradzie drezdeńskiej — zauważył Stanisław z wyrazem zdumienia.

— Taki już jego sposób — odparł Sieniawski. — Zachowuje się zawsze tak samo, zarówno w słońcu jak i burzy. Pójdźmy za nim. Chciałbym bardzo usłyszeć, co teraz rozporządzi. Być może, że niedługo zaczniemy jakąś poważną operację.

To mówiąc, ruszył szybko przez dymiące zgliszcza, aby przyłączyć się do sztabu generalnego, w którego towarzystwie cesarz oglądał szczegółowo twierdzę.

III.

— Mam już dosyć tego wszystkiego — rzekł Bernard, dźwigając ciężki worek, wraz z Ludwikiem. Zresztą mniejsza o mnie, ale mojemu biednemu koniowi należy się coś więcej, niż niedojrzały owies i żółta trawa.

— Ty jesteś szczęśliwy — odparł Ludwik — myśmy nawet i tyle nie znaleźli. Wszystko wokoło jest opustoszałe i bezludne, wsie spalone, nie wiem nawet, jak się to wszystko skończy.

— Daj pokój, żeglujemy po pustyni, ale mamy prze-

cież na pokładzie Kolumba, który będzie nas dalej prowadził, choćbyśmy ani jednej gwiazdy nie widzieli na horyzoncie. Ale teraz pomóż mi nakarmić konie.

— Dobrze — odparł Ludwik!

— Chwała Bogu, że znajdujemy się w ustroniu. Gdybyśmy stali na wolnym miejscu, zbiegłaby się tu cała armia, jak muchy do naparstka słodkiego mleka.

Tymczasem niepostrzeżenie zbliżył się Sieniawski.

— Do kroćset! ależ wy żywicie swe konie, jak w cesarskiej stajni w Paryżu.

— Nieprawdaż — rzekł Bernard — wspaniały widok. Prostu podsłuchałem dragonów, którzy znaleźli mały skarb w postaci kilkunastu worków owsa. Poszedłem za nimi i znalazłem jeszcze ten worek.

— Umiesz sobie zawsze radę dawać, Bernardzie — rzekł Sieniawski.

— Szczęście jest wypadkiem — dorzucił sentencyonalnie Ludwik.

— Ale byłbym zapomniał — zawołał Sieniawski, aderzając się w czoło. — Mam dla ciebie, Ludwiku, list. A dla nas wszystkich ważne wiadomości. Jutro będzie bitwa.

Tymczasem Ludwik czytał list, który zawierał straszną wiadomość. Siostra donosiła mu o śmierci matki, która zmarła kilkanaście dni temu.

— A więc nie zobaczę jej nigdy! — wołał Ludwik, szlochając, i oparł głowę na piersiach Bernarda.

— A więc jutro bitwa — powtórzył Bernard z temperamentem wisielca. — Ale czy naprawdę?

— Tak, Kutuzow chce się bić jutro, to nie ulega już żadnej wątpliwości. Cesarz rekognoskował już pole bitwy. Dzień wczorajszy był tylko przygrywką. Dzień siódmego września będzie zapisany w historii świata.

— Trzebaby go podkreślić czerwonym ołówkiem, krwawo czerwonym — mówił Bernard — ale mnie jest wszystko jedno, im więcej śmierć się sroży, tem spokojniej ja na to patrzę. Nie widzę nic głupszego, jak kładzenie jakiegokolwiek nacisku na śmierć. Ale chodźmy stąd, niema tu nic więcej do roboty.

Szli razem po małej wyniosłości, skąd można było oglądać dalekie pola, zaludnione żołnierzami i końmi. Pejzaż był już jesienny. Liście pożółkły, a stare grusze rzucały na ziemię zwiędłe liście. Zieloność obumarła, przechodziła w ton szary. Bezbarwne niebo, ruń ołowiana i ostre uderzenia wiatru szły po wilgotnem i mglistem powietrzu.

— Moja dusza podobna jest temu widokowi, kochany Bernardzie — mówił Ludwik swym miękkim, kobiecym głosem. — Tak pustą i wszelkiej radości pozbawioną, a przecież tak poruszoną do głębi, jak ta obumarła pułstynia, pełna ruchu i zgiełku.

— Słońce rzadko rzuca nam swe radosne promienie. A jeśli zaświeci, budzi tylko tęsknotę naszych serc, drzemiących w śnie głuchym. Jawią się postaci wymarzone. Lecz skoro wyciągamy do nich ramiona, znikają bez śladu. W takich chwilach zwykłem ścisnąć, zamiast kochanki, mój płaszcz żołnierski.

Umilkli obaj i patrzyli na słońce, które znikalo powoli za chmurami.

Przyszła noc zimna, tak, że nawet ognie i grube płaszcze żołnierzy niewiele pomogły. Cały dzień przeszedł w milczeniu, jakgdyby obozujące obok siebie wojska nieprzyjacielskie zawarły zawieszenie broni. Zdawało się, że chodziło im obu o chwilę spokoju, aby rozpocząć jutro walkę z tem większą siłą. Ta cisza straszliwa kładła

się na piersiach, jak ciężar bezmierny, rabując każde radośniejsze poruszenie. W kołach żołnierzy, obozujących kolo ogni, rozmowa rwała się, jak słaba nić. Przyszłość nadciągała zwolna, ale oblicze jej było jeszcze zasłonięte. Najpiękniejsze wspomnienia tylko na chwilę rozpałały umysły i ponure myśli wracały znowu.

Zmierzch już zapadał, kiedy w stronie nieprzyjacielskiego obozu rozległ się nagle donośny strzał armatni. Żołnierze skoczyli na równe nogi, badali, pytali co się stało? W takich chwilach, w takich okolicznościach strzał nagły zwiastuje zawsze coś bardzo ważnego. Jakoż po kilku minutach dowiedziano się, że zbliża się moment rozstrzygający dla całej wojny. Strzał ten był skierowany przeciwko grupie jeźdźców, między którymi i cesarz się znajdował. Torturowany niepewnością, czy nieprzyjaciel nie cofnie się znowu nocnym marszem z pola bitwy, Napoleon wskoczył na konia i w ciemności oglądał raz jeszcze stanowisko nieprzyjaciela. Z radością poznał, że tym razem nadzieja go nie omyliła. Czarne strumienie rezerw, toczące się po równinie — wozy z prowiantami, które z Moskwy przybyły — linia szanców, około których pracowano gorączkowo — to wszystko nie było złudzeniem.

Dzień bitwy nadszedł wreszcie.

W pół godziny po wystrzale w obozie wielkiej armii pojawiła się proklamacya cesarza. Adjutant przywiózł ją także i Sieniawskiemu.

Pułkownik jeźdźców polskich zebrał swych towarzyszków i w blasku ogni obozowych czytał donośnym głosem słowa cesarza:

„Żołnierze! Dzień bitwy, którego tak gorąco pragnęliście, nadszedł. Zwycięstwo od was zależy. Zwycięstwo to jest nam potrzebne, zapewni nam ono spokojne leże

zimowe i szybki powrót do ojczyzny. Bądźcie tak walecznymi, jak pod Austerlitzem, Friedlandem, Witebskiem i Smoleńskiem, aby jeszcze prawnuki mogły mówić z dumą o swych przodkach: on walczył w strasznej bitwie pod murami Moskwy“.

Krótkie, pełne ważkiej treści słowa cesarza zapadły głęboko w dusze żołnierzy. Szlachetny ogień palił się w oczach wszystkich, kiedy Sieniawski, wznosząc szablę wysoko, zawołał:

— Niech żyje cesarz!

Tysięczny odgłos płomiennych okrzyków wzbił się w górę i, odbiwszy się echem potężnem, biegł w ciszy nocnej aż do nieprzyjacielskiego obozu.

Dzień jutrzejszy wymagał niezwykłych wysiłków i dlatego Sieniawski rozkazał żołnierzom, aby natychmiast udali się na spoczynek i aby zbudzili się jutro sił pełni.

Sam zaś z oficerami swymi postanowił przejść się po obozie gwardyi w stronę namiotu cesarza, który znajdował się niedaleko od biwaku kawalerji. Wkrótce zatrzymali się przed czworobokiem, który tworzyli gwardziści, stojący około namiotu cesarza. Widok tych bohaterkich żołnierzy, których twarze pokryte były siecią blizn, a piersi orderami, przejmował zdumieniem każdego.

— Mógłbym tu siedzieć dziesięć lat i rysować — zawołał Bernard. — Co za znakomite studia twarzy i strojów. Spójrzycie na tego brodatego sierżanta. Z jakimż niebywałem lekceważeniem opatruje on swoją świeżą ranę. Co prawda, blizny nie są dla niego nowiną. Widzę na jego twarzy kilka takich szerokich, zygzakowatych hieroglifów, że muszą być one chyba dziełem szabli Mameluka. To czoło, to jakby pamiętnik dyabelski: kto się

tu zapisał, ten i w pamięci na zawsze pozostał. A tamten znowu goli się najspokojniej, jakby jutrzejsza bitwa była tem samem, co niedzielny spacer do Neuilly, albo wesoly wieczór w winiarniach w St. Denis, gdzie jest jeszcze dużo czarnookich gryzetek. Ależ oni przypominają starych Lacedemończyków, którzy zdobili głowy wieńcami w dniu bitwy. Zdaje mi się, że temu grenadyerowi jest wszystko jedno, czy zatańczyć „françaïse“ ze swoją dziewczyną, czy też na skrzydle swego pułku maszerować naprzeciwko baterji, ziejącej ogniem. Muzyka będzie przecież na obu tych uroczystościach. Założyłbym się, że ten poczciwiec zamierza jutro wkroczyć do Moskwy. Całe jego oblicze zdaje się wołać: „Vive la bagatelle“. I ta bitwa i ta cała wyprawa jest dla niego tylko szeregim drobnostek. A przecież nie jest to człowiek pierwszej młodości; wygląda tak, jakby namiętnie mógł opowiedzieć coś niecoś o Marengo i Arcole. Niech ci się szczęści jutro, przyjacielu, życzę ci, abys jutro wieczorem tak samo wesolo nucił swą karmaniołę, jak to czynisz dzisiaj!

— Widziałem już tych żołnierzy w zupełnie innem usposobieniu — odparł Sieniawski. — Może teraz obóz wydaje ci się bardzo interesującym i pełnym życia, ale ty widzisz go po raz pierwszy, a ja patrzę nań od lat długich; i dlatego patrzę zupełnie inaczej. W ich oczach czytam równowagę duchową posuniętą do ostatecznych granic. Nie obawiają się zapewne przejść najgorszych; ale niema tego, co widziałem niegdyś w przededniu naszych zwycięstw, niema dzisiaj tego palącego, namiętnego pragnienia wálki i zwycięstwa.

Te melancholijne wynurzenia przerwał jeden z oficerów głośnym okrzykiem:

— Patrzcie tam, na namiot cesarza! Z jakiej przyczyny tłoczy się tam tylu ludzi?

Wówczas zobaczono, że wielkie gromady żołnierzy śpieszą w stronę namiotu, gromadzą się wokół niego nieprzejrzaną ciżbą. Ci, którzy powracali, wyglądali bardzo wesolo i rozprawiali żywo ze sobą. Słychać było wykrzykniki zdumienia i radości, które dochodziły tutaj ze zbiegowiska.

— Cóż tam jest takiego? — zapytał Sieniawski grenadyera, który właśnie wynurzył się z najgęstszej gromady.

— Co tam jest, mój pułkowniku? Ach, coś bardzo pięknego, coś bardzo wesołego! Widzieliśmy dziecko, wspaniale dziecko! Syn cesarza! Tak, panie pułkowniku, to jest obraz, jakby wymalowany śniegiem i różami. O, skoro się jest samemu ojcem, odczuwa się to wszystko daleko poważniej. Mam syna, który od małego Bonapartego jest tylko o ośm dni starszy, naturalnie nie mogłem sobie kazać przysłać jego obrazu, ale mam go w pamięci tak doskonale namalowanego, że mi nic więcej nie potrzeba, ale taki obraz, to zawsze rzecz piękna. Trzeba go, panie pułkowniku, koniecznie zobaczyć.

Strumień ludzki porwał szczęśliwego gadulę, a Sieniawski z towarzyszami zaczęli z trudem posuwać się naprzód.

Ale tłum ludzki był zbyt wielki. Tylko z oddalenia mogli zobaczyć, nie rozróżniając dokładnie rysów, że tuż koło namiotu cesarza, pod strażą dwóch brodatych grenadyerów umieszczono portret króla Rzymu. Żołnierze oglądali go z radością i ciekawością zarazem.

— Jest w tem coś wzruszającego dla mnie, — rzekł Ludwik do Bernarda — że w tych czasach pełnych zgieł-

ku wojennego, Napoleon jest nietylko wodzem, lecz i ojcem, a jego dzielni żołnierze biorą udział w tej radości.

— Tak, tak — rzekł Sieniawski, uśmiechając się trochę ironicznie — on jest wielkim znawcą ludzi. Ten obraz to doskonały sposób, aby przypomnieć każdemu o szczęściu ojczyzny. I teraz zaręczam wam, że każda dusza jest tu pełna wspomnień tej pięknej Francyi, gdzie jeden zostawił dzieci, drugi żonę, a trzeci lubą kochankę. A przecież niema innej drogi do Paryża, jak przez Moskwę. O tem wiemy wszyscy dobrze.

— Sądziłbym — zaczął Ludwik — że wspomnienie tego rodzaju może raczej zohydzić wojnę żołnierzom, bo widzę, że to ona właśnie dzieli ich od wszystkiego, co miłe, spokojne i szczęśliwe.

— Zapewne — odparł Sieniawski — wszystko to być może, ale nigdy w przededniu bitwy. Trudy ponosi żołnierz ciężko, niebezpieczeństwa lekko. Chętniej jest zuchwałym, aniżeli wytrwałym. A teraz właśnie czas trudów minał i zbliża się krótka chwila niebezpieczeństwa. Tę wita radośnie, bo wierzy zawsze, że przyniesie mu wiele zysku. Pokażcie mu tylko pewne zwycięstwo, a zaręczam wam, że nie będzie się nigdy troszczył o to, iż, aby wejść do nieba, trzeba zdobyć piekło. Musi jednak być tego pewnym. Słowa jego wiary brzmią: zwycięstwo, pokój, powrót do ojczyzny. Kto potrafi rozniecić rzetelną tęsknotę do tego ostatniego, ten nie potrzebuje obawiać się o dwa pierwsze zjawiska.

— Dobry wieczór, panie hrabio! — odezwał się nagle znany głos.

Był to pułkownik Regnard.

— Dobrze, żeśmy się jeszcze dzisiaj spotkali — mówił dalej — jutro może naprózno będziemy pytać o siebie. Sądzę, że bitwa będzie poważną. U licha, nie masze-

rowaliśmy przecież ośmset lieues po to, aby stoczyć jakąś marną walkę podjazdową.

— Dotychczas jednak nie mogliśmy się zdobyć na nic innego — odparł Sieniawski.

— Każdy owoc chce dojrzeć, panie hrabio, a w Rosyi żniwa wypadają później, niż u nas. Ale uważajmy, jutro będzie co zbierać. Tym razem Rosyanie mają uczciwe zamiary.

— Czy to aby pewne?

— Niema już żadnej wątpliwości. Byłem właśnie przy tem, kiedy nadeszły najświeższe wieści. Stary Kutuzow jest pewny, że jutro my rozpoczniemy atak, i postanowił dotrzymać placu, jak twierdza. Zaprawdę, wojska rosyjskie gotowe są do walki rozstrzygającej, do walki na śmierć i życie. Słyszeliście zapewne koło południa dźwięki niespodziewanej muzyki. Widzieliście to wielkie poruszenie w ich obozie, kiedy wszyscy ludzie stanęli pod bronią.

— Tak, nie uszło to mej uwagi, ale cóż u pioruna. miała znaczyć cała ta awantura?

— To była mowa pogrzebowa przed weselem, które my jutro wyprawimy. Stary książę otoczył się całym duchowieństwem i razem z niem obszedł obóz. Przed szeregami żołnierzy niesiono obraz święty, uratowany ze Smoleńska. Obraz ten jest uważany za cudowny. Żołnierze rosyjscy są fanatyczni. Duchowni przygotowali ich do walki, kto z nich zginie, nie będzie się już troszczył o niebiańskie rozkosze. „Będziecie jutro walczyć o ołtarze waszego Boga“, wołano do nich. „Musicie ochronić świętą Moskwę, którą nieprzyjaciel chce zburzyć, musicie zabezpieczyć wasze żony i córki przed hańbą i niewolą“. Takie rzeczy działają zawsze. Żołnierz rosyjski pożąda teraz kul naszych, jako męczeństwa i ofiary. Widzie-

liśmy także i proklamacye. No, nie znalazłem tam wiele pochlebstw o moim narodzie. Stary cyklop nie żałował doboru wyrażeń, aby w sercach swoich niedźwiedzi wzniecić nienawiść do nas.

Poruszył ręką i, rzucając niespokojne spojrzenia, dodał jeszcze:

— Bitwa będzie poważna — bez wątpienia!

— Do dyabła! — zawołał niechętnie Sieniawski. — Bernard, czyżbyś wątpił w zwycięstwo?

— Przenigdy! ale będzie nas drogo kosztować! Dwadzieścia albo i trzydzieści tysięcy ludzi będzie tu leżeć jutro spokojnie obok siebie, zapomniawszy o tem, że byli nieprzyjaciółmi. I gdybyśmy, pułkowniku, mieli być między nimi, pozwól mi się teraz pożegnać, bo muszę wracać do swego korpusu.

Podał rękę Sieniawskiemu, którą ten raz i drugi mocno potrząsnął.

— Żegnajcie mi, panowie oficerowie — rzekł jeszcze do pozostałych. — Do widzenia! Zobaczymy się jutro wieczorem, a może dopiero w Moskwie. Gdyby ktokolwiek z nas słowa dotrzymał, nie należy mu brać tego za złe.

To mówiąc, zniknął w ciżbie ludzkiej.

Ledwo pułkownik Regnard odjechał, ukazał się wachmistrz pułku Sieniawskiego, niosąc wodzowi swemu zapieczętowaną depeszę.

— Trzeba zaraz wracać — rzekł Sieniawski, skoro ją tylko przeczytał. — [Wojsko musi jeszcze tej nocy zmienić swe stanowisko. Chodźcie panowie, nie mamy czasu do stracenia.

Wkrótce stanęli w obozie. Sieniawski kazał ogień pogasić, a ludziom natychmiast stanąć pod bronią.

Kiedy pojawił się adjutant i przyniósł nowe rozkazy, pułk był już gotów i mógł natychmiast wyruszyć.

Podczas marszu widać było, że w całym obozie Francuzów ognie pogasły i tylko gdzieś tam tlił się żar nawpół ugaszony, niby błędne ogniki. W rosyjskim obozie natomiast ognie płonęły wesoło, tworząc na tle ciemnego horyzontu niebios wielką świetlaną przestrzeń. Marsz był bardzo krótki. Oddziały wielkiej armii łączyły się prosto w centrum ogólnego obozu. Pułk Sieniawskiego zatrzymał się na stoku szerokiej wyniosłości. Po prawej stronie znajdował się teren pokryty gęstymi zarostami, stanowiąc jednocześnie przejście do wysokopiennego lasu. Rozkaz wodza zgromadził tu olbrzymią ilość jazdy. Około godziny jedenastej stanowiska były już ściśle określone. Sieniawski kazał swym ludziom zsiąść, lecz konie pozostawić osiodłane. Żołnierze ułożyli się na ziemi w ciemnościach. Oczekiwanie pełne naprężenia podniecało duszę i niepokoiło serce. Sen zbliżał się powoli i pierchał za najłżejszym szmerem. Wreszcie jednak zmęczenie fizyczne pokonało duchową podnieotę. Pomimo ostrego chłodu nocy jesiennej, wszyscy żołnierze zapadli w sen głęboki. Spał nawet i Ludwik; lecz niespokojne widziadła nocy budziły go często i wtedy patrzył na rzeczywistość jeszcze bardziej ponuro, niż na sny swoje.

IV.

Straszliwy poranek dnia bitwy nadszedł wreszcie. Na spokojnem niebie widać było tylko nieliczne smugi białych chmur, które zwieszały się aż nad strumieniami, przecinającymi pole walki. Świeży powiew ranka zwiął szybko mgły nocne. I oto ponad ponurymi wierzchołkami lasu sosnowego ukazało się słońce i poczęło rzucać swe oślepiające promienie na pole, gdzie olbrzymie masy

wojska francuskiego stały uszykowane do bitwy. Długie szeregi bagnetów błyszcząły krwawo. Lśniły orły napoleońskie, a w hełmach kirasyerów skrzyła się cała tarcza świetlana. Mogło się zdawać z daleka, że to cielsko jakiegoś olbrzymiego węża ciągnie się bez początku i bez końca.

— To jest słońce z Austerlitz! — zawołał cesarz, który ukazał się w wyniosłości, po lewej stronie kawalerii, koło wczoraj zdobytej reduty.

Sieniawski razem z innymi komendantami skoczył na pagórek, aby obejrzeć teraz pole bitwy, i zatrzymał się tak blisko, że mógł doskonale słyszeć słowa cesarza. Ale generałowie, do których były one skierowane, nie odpowiedzieli nic.

Ludwik i Bernard, którzy towarzyszyli Sieniawskiemu, zatrzymali się blisko. I oni także słyszeli głośny wykrzyknik cesarza.

— Promienie słońca oślepiają nas zanadto — rzekł Bernard cicho do Ludwika. — Nie możemy zobaczyć nieprzyjaciela, lecz on widzi nas tem lepiej. To słońce nie jest dla nas korzystnem.

Ludwik nie odpowiedział nic, wokoło panowało głębokie milczenie.

Teraz widać było baterye, które wyruszały naprzód, aby obsadzić bliżej położone wyniosłości. Stanowiska ich bowiem, które zajmowały w nocy, były zbyt oddalone od wojsk nieprzyjaciela. Nieprzyjaciel jednak nie chciał korzystać z tak dogodnej sposobności. Zdawało się, że w tej wojnie, w której on tylko się bronił, nie chce pierwszy krwi rozlewać, nawet na polu walki przez się wybranem. Wtem na lewem skrzydle zabrzmiał głuchy strzał działa. Koło wsi Borodino widać było dym i kurz, wznoszące się jednym tumanem.

Święta cisza została przełamana. Czarna zasłona przeznaczenia rozdarta. Piorun uderzył, siejąc zniszczenie. Straszliwą potęgą toczy się koło w rękach przeznaczenia. Będzie druzgotać, miażdżyć i niszczyć, żadna siła nie powstrzyma jego straszliwej potęgi.

Rozkazy cesarza krążyły już po polu walki. Salwy armatnie grzmiały ze wszystkich wyniosłości, podobnych do potworów ogniem ziejących. Dym i płomień buchały z ich wierzchołków, ziemia drżała, a w powietrzu rozlegał się straszliwy łoskot. Rzeka piekielna toczy się naprzód, czarna powódź dymu zalewa pola, krwawe okosłońca przeciska się z trudnością przez niezmierzone ciemności. Z sercem ściśniętem oglądali Bernard i Ludwik wstrząsające widowisko, które przyniosło im tyle wrażeń nie widzianych nigdy. Mimo wszystko jednak potrafili się opanować i nie utracić nic z godności osobistej.

Na całym pagórkowatym terenie walka wrzała teraz gorąco. Niedaleko od stanowiska, które zajmował pułk Sieniawskiego, po prawej ręce, jednak poza odległością strzału, leżały trzy nieprzyjacielskie reduty, które nieprzeliczonymi potokami żelaza siały śmierć w atakujących wojskach.

— Marszałek Davoust będzie musiał poświęcić wielu ludzi — rzekł Sieniawski, kiedy kolumny formowały się na równinie do szturm na straszliwe reduty.

W bojowym zwarte szyku posuwały się szybko zjednoczone przez dyscyplinę wojskową w jedno ciało, w którym tylko jedna żyła dusza. Trzydzieści dział towarzyszyło im w ataku. Kurz i dym osłoniły ich niebawem tak gęstym tumanem, że zniknęli wkrótce z przed oczu patrzących. Sieniawski orlem spojrzeniem ogarniał całe pole bitwy. Właśnie na prawem skrzydle rozpoczął atak książę Poniatowski. Wychyliwszy się z lasu, który osłaniał je-

go stanowisko, posuwał się z wolna ze stanowczą jednak przewagą na lewe skrzydło nieprzyjaciela.

Z zięjącego ogniem wulkanu, który zdawał się polknąć Davoust'a i jego wojska, wydobył się nagle jakiś adjutant i pędził, co koń wyskoczy, w tę stronę, w której znajdował się cesarz. Z pierwotnego punktu obserwacji posunął się Napoleon o kilkaset kroków naprzód, aby tem dokładniej oglądać walkę. Słowa adjutanta nie dochodziły przeto do pułku Sieniawskiego. Wkrótce jednak potem widać było, że adjutant w towarzystwie generała Rappa powracał znowu w zgiełk bitwy.

Sieniawski, pragnąc się dowiedzieć o losie walki, zbliżył się do transportu rannych oficerów, który właśnie przejeżdżał w pobliżu.

— No, koledzy, jakżeż tam idzie? Czy jesteście pierwszymi ofiarami? — zapytał.

— Ale nie będziemy ostatnimi — odpowiedział kapitan, który nosił rękę na temblaku. — Te baterye tam w górze zasypują nas prawdziwym gradem kartaczy. General Compans zabity, marszałek raniony!

— Marszałek Davoust?

— Tak, ten sam, któżby inny.

— Walka tedy jest krwawą?

— Byłoby łatwiej policzyć tych, którzy zostali przy życiu, aniżeli zabitych.

— Dziękuję wam, kolego, za wieści i życzę szybkiego powrotu do zdrowia.

Bitwa ogarniała coraz to więcej wojska i przestrzeni. Marszałek Ney ruszył naprzód z trzema dywizjami. Obok pułku Sieniawskiego niesiono znowu rannego. Był to generał Rapp, który, ledwo ukazał się na polu bitwy, już zmieciony został z konia kulą. Nieustraszony żołnierz otrzymał dwudziestą drugą ranę. Niesiono go powoli

w kierunku wyniosłości, na której znajdował się cesarz.

Dywizye marszałka Ney'a rozwijały się teraz na wolnej przestrzeni; skoro tylko dostały się w ogień nieprzyjacielski, ruszyły szybko naprzód z gromkim okrzykiem wojennym. Zdawało się, że bitwa rozstrzygnie się lada chwila i kawalerya ruszy do ataku, na co Sieniawski był gotów każdej chwili.

Obok nich przebiegł szybko, jak błyskawica, król Neapolu. Jego adjutanci rozsypali się na wszystkie strony, jak stado wróbli. Murat zbierał lekką kawaleryę, aby z góry uderzyć na nieprzyjaciela. Sieniawski otrzymał rozkaz i ruszył także. Masa ludzi i koni łączyła się powolnym klusem, aby w chwili stanowczej uderzyć zgodnie. Teraz zabrzmiały głucho bębny piechoty, które grały do ataku. Szturm rozpoczął się z szybkością błyskawicy. Straszliwy huk armat podwoił się, a cała wyżyna stała się podobną do morza kurzu, dymu i ognia. Nie widziano, kto padał, nie widziano, kto zwyciężał. Wtem umilkł straszliwy huk armat, i huczny okrzyk radości przedarł powietrze.

Dzielne wojska Ney'a i Davoust'a zdobyły nieprzyjacielskie reduty. Król Neapolu dał znak i kawalerya ruszyła szybko przez pole bitwy. Kamienie pryskały pod uderzeniem kopyt końskich, ziemia drżała, a konie parskały wesoło. Bernard spojrzął na Ludwika, który jechał tuż obok niego, a ten odpowiedział mu spojrzeniem; tak porozumiewali się przyjaciele w tej chwili poważnej, bo na słowa nie było już czasu. W kilka minut jazda stanęła na górze. Wojska rosyjskie rozproszone; gnane ogniem baterji francuskich, kawalerya łatwo zepchnęła jeszcze dalej. W tej chwili jednak działa poczęły grać na nowo, a kartacze i kule rozhulały się po szeregach żołnierskich. Jednocześnie w pobliżu wioski odległej, widać by-

ło masy wojska poruszające się z nową energią. Był to książę Bagration, który na rozkaz Kutuzowa wprowadzał do walki nietknięte jeszcze rezerwy, aby ocalić zwyciężony korpus. Wszystkie wyniosłości obsadzone były przez artylerję, która skierowała morderczy ogień na nadciągającego nieprzyjaciela.

Los zrządził, że pułk Sieniawskiego stał się niejako celem wytycznym, w który uderzały pociski nieprzyjacielskie. Olbrzymia masa kul i kartaczów szczyła tu spustoszenie zarówno na froncie jak i na skrzydłach. Niebawem też i w pułku zapanowało niezwykle zamieszanie. Kule armatnie wyrywały olbrzymie luki w zwartych szeregach. Ludzie i konie padali na ziemię, rozbrzdgując kałuże krwi. W powietrzu rozlegał się co chwila bolesny okrzyk rannych.

Tylko jeden Sieniawski nie stropił się ani na chwilę, lecz wzniosłszy szablę wysoko, zawołał głosem potężnym:

— Naprzód!

Pociągnięci odwagą swego pułkownika, żołnierze szli dalej do ataku. W tej samej chwili jednak grad pocisków uderzył znowu. Koń Ludwika, trafiony w brzuch, stanął na tylnych nogach, a padając na ziemię, odrzucił od siebie daleko jeźdźca. Bernard patrzył na to wszystko ze ściśniętem sercem, ale o ratunku nie mogło być mowy. Pułk pędził dalej poprzez zabitych i rannych. Rozproszona piechota rosyjska zebrała się znowu i poczęła prażyć, równie skutecznie, atakującą kawaleryę. Ze wszystkich stron śmierć uderzyła w szeregi, które skłębily się i straciły odrazu porządek. Oficerowie padali zabici, albo ni knęli w tumanach dymu. Nie słyhać było żadnych rozkazów i strach paniczny chwytął zwolna dusze żołnierzy.

Dwa szwadrony dragonów, które posunęły się zbyt daleko, uciekając teraz przed straszliwym ogniem armat-

nim, uderzyły o ludzi Sieniawskiego, dotrzymujących jeszcze placu. To dopełniło miary. W kilka minut linia została złamana, i jeźdźcy ruszyli do ucieczki.

Zraniony koń Bernarda uniósł go w dzikich skokach jeszcze przedtem z szeregu. Młody malarz, ogłuszony straszliwym zgiełkiem i zamieszaniem, nie mógł nic prawie odróżnić okiem nienauczonym i napróżno szukał pułku Sieniawskiego. Tymczasem zobaczył nadciągających kozaków, którzy go już prawie otoczyli. Szybko zwrócił konia i uciekał dalej. Wtem widzi, że król Neapolu w podobnem znajduje się niebezpieczeństwie.. Rusza mu w pomoc. Jednocześnie ukazują się inni jeźdźcy, którzy ratują swego wodza. W tej samej chwili jednak kula karabinowa rozciąga konia królewskiego na ziemi. On sam jednak wstaje nie draśnięty nawet i postanawia albo zginąć, albo zwyciężyć. Gromada jeźdźców łączy się z nim razem i rusza z nieustraszonym śmiałością na reduty nieprzyjacielskie. Bernard, któremu po upadku Ludwika jest także wszystko jedno, zeskakuje z konia ranionego i łączy się razem z nimi. Z daleka widać dwa zwarte pułki nieprzyjacielskich kirasyerów, które pędzą szybko w stronę atakowanych szanców. Gromada straceńców widzi się zgubioną, lecz u brzegu wyniosłości pojawia się znowu marszałek Ney na czele piechoty. Artylerya francuska, towarzysząca tym oddziałom, rozpoczyna straszliwy ogień i w zwartych szeregach kirasyerów rosyjskich otwiera drogę dla swoich dzielnych współbraci. Następuje jedna i druga salwa piechoty, a trzy dywizye marszałka Ney'a idą do ataku. Nieprzyjaciel zatrzymuje się, waha, jego szeregi opustoszone przez ogień baterji francuskich zostały złamane. Z czarnej masy wojsk rosyjskich odrywają się pojedyncze postacie i rzucają się do ucieczki. Wkrótce przerażenie ogarnia wszystkich, całe

wojsko rosyjskie zamienia się w bezładną masę uciekających. Zwycięzcy z wesolym okrzykiem biegną za nimi. I teraz dopiero, kiedy uratowali swego wodza i wyparli nieprzyjaciela, zatrzymują się zziębnięci, zmęczeni, aby choć przez chwilę zebrać siły do dalszej walki.

Bernard skorzystał z tej chwili, aby zobaczyć, co się stało z Ludwikiem. Na pobojowisku widać już było kilku żołnierzy, którzy pomiędzy leżącymi szukali generalów i wyższych oficerów. O innych troszczyć się było niepodobna. Jakkolwiek było to rzeczą bardzo niebezpieczną, Bernard szukał Ludwika na terenie, który leżał pomiędzy obydwoma wojskami nieprzyjacielskimi. Straszliwy widok poruszył jego duszę, kiedy kroczył przez pole zniszczenia! Na zabitych nie patrzył, całą jego uwagę pochłaniał widok rannych, którzy błagali go o ratunek, a którym on nic pomódz nie mógł. Szybko przesuwiał się koło nich, odwracając twarz w przeciwną stronę, a oni wyciągali ku niemu krwawiące ramiona i wołali słowami, które ścisnęły serce.

Ale on nie mógł nic zrobić, musiał śpieszyć dalej. Widok ten przypominał mu tylko, że przyjaciel jego w podobnie strasznym znajduje się położeniu.

Stosy trupów konskich i ludzkich tamowały mu drogę co chwila. Jeden z nieszczęśliwych, który w gwałtownych kureczach rzucał się po ziemi, chwycił go za nogi i wołał rozdzierającym głosem:

— Wybaw mnie, ratuj mnie!

Bernard, wzruszony tem wszystkim, chciał go już ratować, ale nieszczęśliwy rzucił się jeszcze raz i drugi, poczem ciało jego zeszytniało, dotknięte ręką śmierci. Zimny dreszcz wstrząsnął Bernardem. Drżąc na całym ciele, cofnął się wstecz i zasłonił oczy rękoma. Wtem z oddali usłyszał głos, który wydał mu się dźwiękiem

anielskim. Spojrzał i zobaczył Ludwika na koniu, który przybył tu także, aby szukać przyjaciela. Bernard szybko pobiegł ku niemu i obaj młodzi ludzie uścisnęli się serdecznie, w ich oczach błysnęły łzy radości. Ale nie było czasu do stracenia.

— Siadaj za mną! — zawołał Ludwik — abyśmy jak najprędzej złączyli się z pułkiem.

Bernard wskoczył na konia i po chwili obaj towarzysze znaleźli się na miejscu, gdzie Sieniawski zbierał na nowo swoich ludzi.

Bolesław i Stanisław powitali z radością przybywających.

— A więc żyjecie? I nic się wam nie stało? — brzmiało wzajemne pozdrowienie.

Także i Sieniawski powitał ich serdecznie i zawołał do swoich żołnierzy:

— Dajcie tu konia!

Bernard siedział znowu na jednym z koni, który, straciwszy jeźdźca, naturalnym kierowany instynktem, sam przybył do pułku.

Przez kilka minut żołnierze odpoczywali, opowiadając sobie wzajemnie przeżycia. Ale nie było na to wiele czasu. Bitwa rozpoczęła się na nowo.

Na rozkaz króla Neapolu pułki kawaleryi zebrały się znowu, aby nieprzyjaciela, osłabionego ogniem artyleryjskim, zmusić do ucieczki.

Sieniawski złączył się z dzielnymi brygadami, które dowodził Bruhères i Nansouty. Masy kawaleryi uderzyły na nieprzyjaciela i zmusiły go do cofnięcia się, lecz na pobojowisku zaległy nowe ciała żołnierzy, ofiary zwycięstwa. Ale wyniosłości, położone nieco dalej, były zajęte ciągle przez straszliwe baterye, które słały ustawicznie grad kartaczów na równinę. I dlatego zwycięstwo chwiała się ciągle, jak fale niespokojnego morza. Tru-

pami znaczo każdy krok naprzód, trupami znaczo każdy krok wstecz. Wreszcie piechota, dobywając już sił ostatnich, uderza na strome wyniosłości, ogień nieprzyjaciela milknie i znowu nastaje chwila ciszy. Sieniawski zatrzymał się ze swoim pułkiem w wąwozie, gdzie ukrył się, aby uniknąć kul nieprzyjacielskich, kiedy walka wrzała na niekorzystnym dla jazdy terenie.

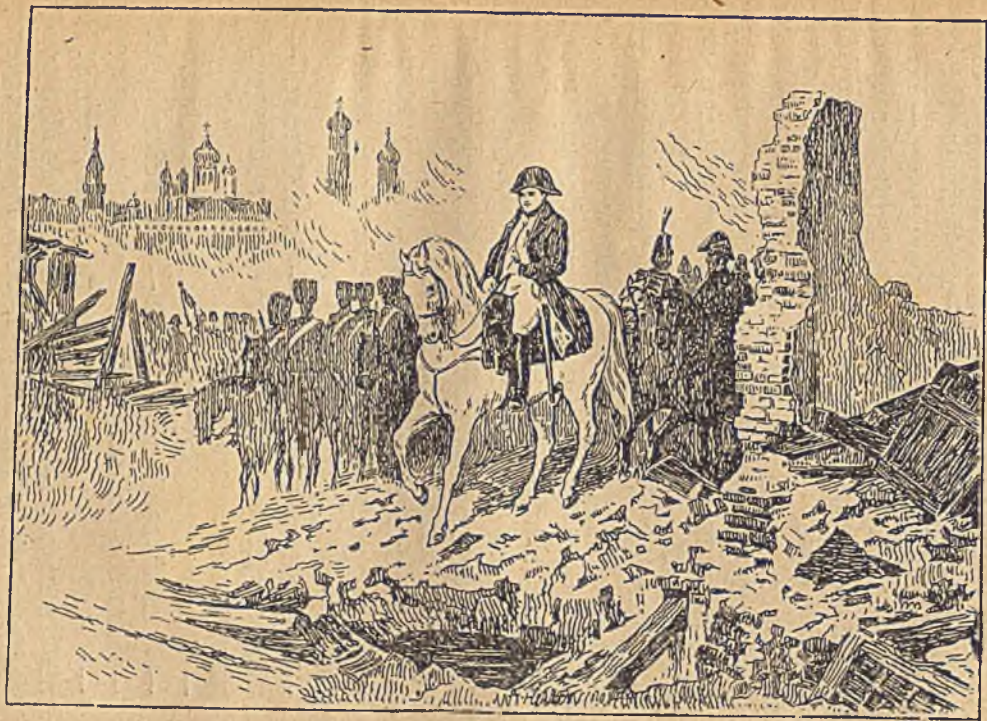
Z twarzą spokojną, wyniosłą objeżdżał szeregi i oglądał straty. Naliczył wielu. Blisko trzecia część pułku zginęła lub była ciężko ranna. A przecież było to dopiero południe i bitwa nie doszła do kresu.

Adjutant Murat'a, pędząc galopem, rzucił mu rozkaz, aby podążył na lewe skrzydło armii i krył artylerję ruszającą naprzód. Jednocześnie oficer pojechał z nim na najbliższą wyniosłość i ukazał punkt, gdzie się miał udać Sieniawski.

Armia francuska posuwała się coraz bardziej naprzód. Tymczasem nieprzyjaciel ściągał rezerwy, aby z męstwem wytrwałem rozegrać drugi akt straszego widowiska.

Aby doprowadzić do skutku swoje zamiary, kazał Napoleon olbrzymiej linii artylerji ruszyć naprzód. Ta broń straszliwa miała z daleka zniszczyć odrazu siłę nieprzyjaciela. Sieniawski postępował w towarzystwie trzech ciężkich baterji, które miały zająć punkt dosyć daleko wysunięty. Zadaniem jego było bronić baterji, gdyby groził im atak nieprzyjacielskiej jazdy.

Zgiełk wojenny, który słyszano dotychczas, podobny był tylko do burzy nadciągającej z oddali. Teraz jednak rozległy się pioruny, uderzające ze straszliwym łoskotem. Rosyane rozwijali się długimi kolumnami na wzgórzach, przeciwległych. Kule uderzały ze straszliwą dokładnością w ich czarne masy. Widziano, że nieprzyjaciel



Napoleon podpalającą się Moskwa.

ściele się na ziemię poprostu całymi szeregami; pomimo to jednak z zimną krwią linia bojowa rosyjska ustawiała się wciąż na nowo.

— Stawiają gwałtowny opór — rzekł Sieniawski, który ze swego miejsca ogarniał całe pole bitwy.—Ale poświęcenie ich i bohaterstwo nie mają żadnych racjonalnych podstaw. Nie tam powinni się zbierać, ale albo dalej, albo szybko ruszyć naprzód. Ten błąd będzie ich drogo kosztował.

Ponieważ w tej chwili udział pułku ograniczał się do roli widza w tej bitwie, oficerowie otoczyli kołem swego pułkownika.

— Patrzcie, patrzcie — wołał Stanisław — kule armatnie wyrywają poprostu całe luki w szeregach. Doprawdy, to niema sensu, aby w tak głupi sposób poświęcać najlepszych żołnierzy.

— Ale i my także tracimy czas—odparł Sieniawski. — Gdyby gwardye ruszyły teraz do ataku i gdyby zdołały wyzyskać te korzyści, za które nasi koledzy krwią zapłacili, to odrzucilibyśmy z łatwością całą armię rosyjską na prawe skrzydło. Doprawdy nie wiem, gdzie mogliby wtedy uciec.

— Byłem sam świadkiem tego — dodał Bernard — że król Neapolu już prrzedtem prosił cesarza, aby pozwolił gwardyom ruszyć do ataku.

— I marszałek Ney także — rzekł Bolesław.

— A on nie zgodził się na to? — pytał Sieniawski.

— Prawdopodobnie.

— To nie do uwierzenia! To nie do uwierzenia! Widocznie cesarz jest za bardzo oddalony od pola bitwy; gdyby znajdował się w tem miejscu, gdzie my teraz stoimy, napewno kazałby czempredzej ruszyć do ataku.

— Nie mogę sobie wyobrazić — zauważył spokojnie

Ludwik — aby wódz tej miary co cesarz, nie miał jakichś bardzo ważnych powodów, dla których nie chce zgodzić się na takie żądanie.

— Chciałbym zobaczyć, coby on mógł mieć przeciwko temu? — odrzekł Sieniawski. — To prawda, że oba skrzydła nie posunęły się jeszcze tak daleko, jak samo centrum. Ale patrzcie! Książę Poniatowski zdobywa teren z rosnącą szybkością, wice-król włoski walczy także nie bez powodzenia.

— Cóż to? Pułkownik Regnard przybywa do nas! — zawołał ktoś z otoczenia.

Wistocie był to pułkownik Regnard, który z zabandażowaną głową i ręką wycofywał się z bitwy w towarzystwie dwóch swoich żołnierzy.

— Jak ci się wiedzie, przyjacielu? — zawołał Sieniawski.

Regnard skrzywił się pogardliwie.

— Nie najlepiej, pułkowniku. Mam nadzieję tylko, że nie zginę w tej bitwie. Wypuszczono ze mnie tyle krwi, że nie mam już siły do walki. Ale to głupstwo! Mnie do rozpacz doprowadza co innego.

— Cóż takiego? — pytał Sieniawski.

— Co takiego? — powtórzyli oficerowie.

— Wy pytacie się jeszcze? Ależ zobaczcie tylko, jak wygląda bitwa. Można się wściec ze złości, że cesarz jest tylko cesarzem, a nie chce być wodzem. Zwycięstwo leży przed nim, a on namyśla się, czy ku niemu rękę wyciągnąć. Murat, Davoust i Ney zaklinali go na wszystkie świętości, aby przysłał im gwardyę, ale on odmówił. Do diabła! Wszystko się chyba sprzysięgło na to, aby nas zniszczenie pochłonęło.

— Pomimo to, jednak zwyciężymy!

— Naturalnie, czyż może być inaczej? Nasi żołnierze

uderzają na nieprzyjaciela, jak wilki na stado owiec. Trzeba było widzieć moich ludzi, z jakim lekceważeniem szukali śmierci. Do pioruna! Wiem, co to znaczy bić się, ale tak, jak dzisiaj, armia francuska nie walczyła jeszcze nigdy.

— Nieprzyjaciel robi także to, co do niego należyt

— Zapewne, broni się jak postrzelony odyniec. Ale to wzmaga tylko bohaterstwo naszych żołnierzy. A teraz bądźcie zdrowi, przyjaciele. Muszę się kazać porządnie opatryć, bo ledwo się już trzymam w siodle.

To mówiąc, podał rękę Sieniawskiemu i odjechał szybko w przeciwną stronę.

Tymczasem bitwa rozwinęła się na nowo. Bohaterski książę Eugeniusz miał straszliwą pracę przed sobą. Na wyniosłości, położonej między Borodinem a Siemionowskiem, nieprzyjaciel zasłonił swe stanowisko straszliwą redutą, której dwadzieścia cztery działa lały całą rękę ognia i żelaza na atakujące kolumny.

— Tam jest zwycięstwo! — zawołał Sieniawski, kiedy zobaczył ten punkt, gdzie ciężar bitwy przenosił się zwolna.

— Ta reduta to pięta Achillesowa — powtórzył raz jeszcze. — Dlatego musimy ją zdobyć. A cesarz pokaże znowu, że jest wodzem z pod Marengo i Austerlitz.

Ledwo wyrzekł te słowa, kiedy już otrzymał rozkaz, na mocy którego miał się przyłączyć do całej masy kawaleryi, która po raz trzeci miała atakować lewe centrum nowo-formującego się nieprzyjaciela.

W zagłębieniu, przez które mały strumyk przepływał, zbierała się jazda, osłonięta naturalnem położeniem terenu. Jednocześnie rozwijały się olbrzymie kolumny piechoty, które też niebawem ruszyły do ataku na redutę. Straszliwy loskot wstrząsnął ziemię. Wszystkie działa re-

duty nieprzyjacielskiej zagrały jednocześnie. Grad kartaczów uderzył po szeregach, jakgdyby pragnął je zgnieść za jednym zamachem. Kurz wzbił się wysoko i pokrył atakujących gęstym tumanem. Nie widziano, kto padł, i kto biegł dalej. Ale wkrótce orły napoleońskie załśniły znowu i w nowo-sformowanych szeregach ruszyły pułki naprzód. Żelazny potwór na pagórku milczał, ale zaczął się tylko, aby być jeszcze pewniejszym swojej zdobyczy. Ledwo zgęstniały szeregi, dwadzieścia cztery paszcze piekielne błysnęły znowu ognistymi językami, a ryk straszliwy, wstrząsający ziemią i niebem, rozległ się znowu. Jak łan zboża, gwałtownem uderzony skrzydłem wichru, pochyliły się teraz szeregi atakujące. Zdawało się, że połowa ich pada. Wreszcie przerażenie zdobyło przewagę. Szeregi zachwiały się, cofnęły i rozproszyły w pośpiesznej ucieczce. Nowe wojska zastąpiły ich miejsce, ale kartacze siały znowu straszliwe zniszczenie. Stosy ciał tworzyły istne piramidy, jakgdyby miał powstać wał ochronny dla twierdzy ogniem ziejącej.

Reduta rosyjska po raz drugi odparła nieprzyjaciela.

Po obu jej stronach opierały się skrzydła wojska rosyjskiego i one słały śmierć w szeregi atakujące. Murat posłał dwa pułki jazdy przeciwko tym kolumnom, aby je odeprzeć, a potem schwytać redutę za gardło, i zdobyć. Ledwo jednak dostali się w obręb ognia nieprzyjacielskiego, śmierć sieje straszliwe spustoszenie w ich szeregach. Dzielny wódz Montbrun pada na ziemię. Żołnierze, widząc go ginącego, chwiejają się i zaczynają się łamać. Lecz oto pojawia się przed nimi generał Caulaincourt, a stając na miejscu zabitego, woła:

— Żołnierze! Nie oplakujmy tych, którzy zginęli, ale zemścijmy się za nich!

Na rozkaz króla Neapolu cała masa kawaleryi rusza

do boju. Dwa pułki kirasyerów saskich tworzą lewe skrzydło, za nimi pułk polskich, potem Sieniawski ze swymi żołnierzami i reszta lekkiej kawaleryi. Pomalu posuwają się naprzód, formując długą linię.

Wtem pada słowo komendy, grzmi trąba, i cała kawalerya z szybkością strzala rusza przez pola. Nawet huk armat milknie, kiedy kopyta końskie uderzają gwałtownie i kiedy brzmi huczny odzew wojenny żołnierzy. Chmura kurzu zakrywa im wszystko, tylko błyskawice dział nieprzyjacielskich wskazują jeszcze drogę. Impet rośnie z każdą chwilą i widać, że temu atakowi nic się oprzeć nie zdoła.

Kości rzucone, za chwilę rozstrzygnie się walka o władztwo świata!

Pułki kawaleryi uderzają ze straszliwą siłą w linię nieprzyjacielską i odrzucają ją daleko na równinę. Ten widok budzi nowe męstwo wśród cofającej się piechoty. Z okrzykiem wściekłości ruszają naprzód, aby już nie ustąpić. Żelazne pociski druzgocą ich szeregi i porywają tysiące. Ale oni idą naprzód poprzez stosy trupów. Padają orły! Naprzód! Padają wodzowie! Naprzód, aby ich technienie ostatnie było na polu zwycięstwa. I tak uderzają w ponurą chmurę śmierci. Ziemia jest podobna do morza wzburzonego, otchłań zniszczenia jeszcze raz roztwiera swoją paszczę. Jeszcze raz ryczą żelazne wrota piekielne, zalewając atakujących ogniem i żelazem. Ich szeregi padają na ziemię, ale ci, którzy pozostali przy życiu, wołają: „Zwycięstwo!“ i ruszają naprzód.

Nagle nastaje cisza, huk dział milknie. Czarna zasłona dymu opada i blask świetlany uderza oczy walecznych. Słyszą okrzyki radości i zwycięstwa. To są dzielne niemieckie pułki, które zdobyły szaniec.

I słońce tego dnia odbija się radośniej w ich hełmach wspaniałych.

Działa nieprzyjacielskie zostały zdobyte! Nieprzyjaciel odparty! Niebawem jednak armia rosyjska usiłuje zaprowadzić porządek w rozproszonych szeregach, jakby chciała walkę toczyć na nowo. Walki jednak nie może podjąć z powrotem. Armia rosyjska cofa się, ale nie chce uciekać. Obracając gniewne oblicze w stronę bitwy, cofa się powoli na nowe, pewne stanowisko. Pagórki, wklęsnięcia, wyniosłości i rzeczki zamieniają się na twierdze prawdziwe. Tymczasem artylerya francuska posyła im ciągle pociski zabójcze, aż wreszcie cicha noc swym ciemnym płaszczem wszystkie okropności tego dnia otula.

V.

Pulk Sieniawskiego, który osłaniał baterie przed atakami nieprzyjacielskiej kawaleryi, brał udział w bitwie aż do późnego wieczoru. Kiedy noc zapadła, Sieniawski powracał z żołnierzami swymi przez pole bitwy, aby znaleźć jakieś obozowisko. Niebo było przesłonięte gęstymi chmurami, a zimny deszcz, podcinany ostrym jesiennym wiatrem, uderzał w zmęczone twarze żołnierzy. Wokoło panowała ciemność nieprzejrzana, choć oko wykol. Po strasznym hałasie dnia nastąpiła głęboka, przerażająca cisza; tylko korony drzew poruszały się z żalostnym chrzęstem i szumem, a kruki i wrony, które już oddawna zwietryły swoją zdobycz, krakały nad głowami jeźdźców. I jak ta natura wokoło, tak samo wyglądały dusze żołnierzy. Głębokie milczenie hamowało każde słowo na ustach.

— Czyż to jest uczucie zwycięstwa? — zapytał się w myśli Ludwik i wstrząsnął się mimowoli.

Koło niego jechał Bernard i, również milcząc, oglądał milczącego przyjaciela.

Wtem koń jego potknął się tak silnie, że jeździec o mało przez głowę nie zleciał.

— Do licha! — zawołał, podtrzymując konia w cuglach. — Zdaje mi się, że zawadziłem o jakiegoś nieboszczyka.

Bernard miał rację. Pułk Sieniawskiego znajdował się właśnie w tem miejscu, gdzie tak niedawno szalały działa rosyjskie.

— Musi tu być wielu zabitych — rzekł cicho Sieniawski — a pewno i wielu ciężko rannych. Jedźcie więc ostrożnie, abyście nie pomnażali męki opuszczonych.

Ale ten rozkaz był niemożliwy do wykonania. Ilość zwłok ludzkich i końskich, które pokrywały ziemię, była tak wielka, że niepodobna było ominąć ich przy każdym niemal kroku.

— Trzeba skrócić na lewo w wąż — rozkazał Sieniawski. — Okrążymy trochę, ale pomimo to dostaniemy się prędzej na miejsce przeznaczenia.

— Dobrze — rzekł cicho Ludwik do Bernarda — że noc zakrywa te straszne obrazy. Wprawdzie fantazya ma teraz pole do popisu, ale napewno rzeczywistość ukazałaby się w szacie daleko potworniejszej.

Cicho jechała gromada jeźdźców przez pole bitwy. Często zdawało się, że do uszu dochodzi jęk, albo westchnienie. Wiatr szumiał w gałęziach, to znowu słychać było odgłos kopyt końskich, brzęk szabel i parskanie koni. Każdy odetchnął swobodniej, kiedy wreszcie pułk ominął już straszną wyżynę i zaczął posuwać się doliną, gdzie ofiary bitwy napotymano coraz rzadziej.

Wreszcie pułk znalazł się na miejscu swego przeznaczenia. Sieniawski przywołał swych oficerów i rzekł:

— No, przyjaciele, porozmawiajmy trochę, a potem wszyscy pójdziem na spoczynek, bo się nam to chyba dzisiaj należy. Dzień był ciężki, to prawda! Czy wiecie, ilu nas jeszcze zostało? Nie więcej, jak stu dwudziestu pięciu ludzi, licząc w to i oficerów. Bitwa zabrała nam trzyestu siedemdziesięciu ludzi.

Oficerowie spojrzeli po sobie, jakby dopiero teraz uprzytomniając sobie, co się stało. Było ich już tylko pięciu. Jedenastu zginęło, siedmiu ciężko rannych leżało w lazarecie polowym, a z tych, którzy siedzieli przy ogniu, dwóch lekkie odniosło rany.

— Wszystkich, wszystkich, których tu obok nas nie ma, żal mi serdecznie — mówił Sieniawski. — Ale doprawdy, szczególnie jednego człowieka żal mi serdecznie. Jest to Piotrowski, nasz stary wachmistrz, który miał więcej blizn niż włosów na głowie, a przecież w piersiach jego tlał nigdy niewygasły ogień miłości dla ojczyzny.

— A więc Piotrowski padł? — pytał Bernard.

— Padł tam, przy reducie, gdzie najwięcej naszych śmierć znalazło. Nie chciał się cofać, a wtedy kula armatnia obaliła go razem z koniem.

— A może jest tylko ranny? — zapytał Ludwik.

— Nie, to wykluczone, miałem już raport dokładny. A zresztą śmierć była wyraźnie wypisana na jego twarzy. Jeżeli jutro będziemy mieli dosyć czasu, chciałbym wyprawić staremu bohaterowi pogrzeb uroczysty.

Sieniawski wstrząsnął się, jakby dreszczem zimnym przejęty.

— Stajemy się za sentymentalni. Kto wie, co się jeszcze tej nocy wydarzyć może? Chodźmy na spoczynek!

Niebawem wszyscy zapadli w sen głęboki. Ale Sieniawski, prześladowany troską i niepokojem, zasnąć nie mógł. Późno w nocy podniósł się ze swego legowiska

i, w płaszcz otulony, obchodził szeregi żołnierzy, którzy leżeli koło ogniska, w głębokim śnie pogrążeni. Tylko strażę czuwały, patrząc bezmyślnie w płomień ogniska.

— Która godzina, przyjacielu? — zapytał Sieniawski.

— Północ.

— Czyście nic nie słyszeli? Może w oddali rozległ się strzał armatni? Może gdzieś niedaleko bęben uderzył?

— Nie, nic nie słyszeliśmy, panie pułkowniku.

— To dziwne — mruknął Sieniawski. — Mielliśmy prześladować nieprzyjaciela, nie dać mu pokoju, ale może zwycięzcy więcej są zmęczeni od zwyciężonych. *

Poszedł powoli na wyniosłość tuż obok położoną, skąd można było patrzeć daleko. Pole bitwy leżało przed nim czarne i milczące. Dalej błyskały półkolem ognie obozowe rosyjskie, zupełnie tak samo, jak poprzedniego wieczoru.

— A więc to jest cały owoc tej strasznej walki? Wróg niezachwiany zajmuje tę senną pozycję, a jutro słońce zajdzie po raz drugi tak samo krwawo, jak dzisiaj. Jeszcze jedno takie zwycięstwo, a będziemy zgubieni.

Wtem zmieszany szmer głosów dalekich wpadł mu w uszy. Sieniawski poznał, że pochodzi on z rosyjskiego obozu.

— Czyżby chcieli wśród nocy zrobić jakąś wycieczkę?

Tymczasem zaszumiało coś znowu obok niego w zaroślach.

— Kto tam?

— To ja — odparł Ludwik. — Ciężkie sny prześladowają mnie i oka nawet na chwilę zmrzyć nie mogę.

Sieniawski położył dłoń na jego ramieniu i westchnął.

— O, przyjacielu, moje sny są może jeszcze cięższe. Gdybyś był tak doświadczonym żołnierzem, jak ja, pojał-

byś mnie odrazu. To zwycięstwo jest naszym zniszczeniem, jest naszą zgubą. Ta wojna nie może się skończyć szczęśliwie. Cesarz jest zaślepiiony. Nie zna starej Rosyi. Spodziewa się zdobyć Moskwę i tam zawrzeć pokój. Jeśli istotnie uda mu się wtargnąć do starodawnej stolicy, która jest od nas oddalona już tylko o dwa marsze, to czyż nie bierze pod uwagę, że wówczas staniemy dopiero u progu państwa rosyjskiego? Mieszkańcy Moskwy znajdują miejsce i pożywienie w dalszych prowincjach, a nas głód będzie zżerać razem zimą. A przecież jeszcze nie jesteśmy w Moskwie. Może wypadnie nam trzy bitwy stoczyć, zanim dostaniemy się do niej. Jeśli tysiące naszych żołnierzy zginą znowu, w jakiż sposób zdołamy panować nad tymi olbrzymimi obszarami, które zdobędziemy? Każda siła ludzka ma swoje granice.

Ludwik nie odpowiedział nic, tylko zamyślił się głęboko.

— I kiedy patrzę na pole zniszczenia — mówił dalej Sieniawski — mimowoli czasami zapytać się trzeba: po co to wszystko? Kto bitwę widział, ten zna tylko śmiejące się oblicze wojny. Lecz zobacz jutro pole bitwy, a będzie to jakby larwa straszego potwora.

Podniecony swemi słowami i wyobrażeniami, schwytał rękę Ludwika i wołał:

— Ale zobaczysz musisz, musisz wiedzieć, co może uczynić mężczyzna dla sławy i dla ojczyzny! Ale, jeśli bohaterstwo jest zbyt cenne, jeśli w piersiach naszych rodzi się myśl straszna, że wszystko nadarmo, wtedy przychodzą chwile, w których żelazna siła żołnierza łamie się, jak trzcina.

To mówiąc, Sieniawski mimowoli oparł dłoń o jego piersi. Jego serce uderzało niespokojnie, a policzki gorzały ogniem. Idąc ramię w ramię, zeszli na dół i udali

się na spoczynek, aż szarzejący świt poranku rozbudził ich znowu.

VI.

Ordynans przyniósł wiadomość, że cesarz pragnie odbyć rewiew wojsk swoich. Nad samym rankiem pułk dosiadł koni i ustawił się razem z innymi.

Dopiero teraz dowiedziano się od adjutantów, że wojsko rosyjskie rozpoczęło w nocy odwrót. Król Neapolu z częścią kawaleryi szedł za niem, aby zbadać, dokąd ciągnie: do Moskwy, czy do Kaugi.

Cesarz nie miał wcale zamiaru ścigać wojska rosyjskiego ze swymi zmęczonymi i wyczerpanymi żołnierzami.

Pułki stały wyciągnięte w długą linię, przytykając skrzydlami do pagórków, które ograniczały pole bitwy. Smutna pustynia leżała przed nimi, ale tak daleko, że nie można było dostrzedz jej nędzy. Samo wojsko przedstawiało zresztą także widok ponury. Żołnierze nie byli dumni ze swego zwycięstwa, a oczy nie patrzyły z radością przed siebie. Ich mundury czarne były od dymu i prochu, porwane kulami i uderzeniami szabel. Głód, zimno, nadmierny wysiłek, wyczerpały nawet najdzielniejszych. Oczy straciły swój blask ognisty, na czole był smutek, który zdawał się rosnać z każdym spojrzeniem na pole śmierci, gdzie tylu braci snem wiecznym uspiionych leżało, albo wzywało śmierci jako ostatecznego wybawienia. A przecież to pole, pełne trupów i krwi, było jedyną zdobyczą wojenną. Z wielu pułków trzecia część została. Małe gromadki stały koło swych orłów, zbyt małe już, aby je chronić.

Tak czekano na cesarza.

Pojawił się wreszcie, jadąc powoli wzdłuż szeregów. Pozdrowiał żołnierzy, chwalił ich męstwo w krótkich zwartych słowach, przyrzekał nagrody, ordery i odznaczenia.

Oficerowie wznieśli okrzyk:

— Niech żyje cesarz!

A żołnierze powtórzyli go jak zwykle. Dziś jednak było to stare przyzwyczajenie, obowiązek serca, ale nie zapał, który wybucha radośnie i dziarsko.

Tam zresztą, gdzie słyhać było przedtem głosów tysiące, teraz wołały setki, gdyż wielu zamknęło usta na zawsze.

Po rewii, cesarz zawrócił koniem, aby zobaczyć pole bitwy. Wielu generałów i wyższych oficerów jechało za nim. Jechał Sieniawski, który kazał Ludwikowi i Bernardowi trzymać się w pewnej odległości. Ledwo ujechali parę kroków, kiedy Bernard trącił Ludwika.

— Patrz, spojrzij na prawo!

Właśnie nadjeżdżał wóz transportowy, na którym umieszczono rannych. Patrzyły z niego twarze blade, krwią pokryte, jakby cichym trapione bólem. Niektórzy patrzyli dziko i szydersko, jakby nie dbali o swój los. Tylko niektórzy jęczeli głęboko. Jeszcze inni patrzyli wesoło, jakby chcieli powiedzieć: „Na ten czas uszliśmy śmierci“.

Orszak cały stanął wreszcie tam, gdzie śmierć szalała najwięcej.

Jadąc wawozem, widać było wielu rannych, którzy zwlekli się tutaj z pola bitwy, aby szukać schronienia przed burzą. Leżeli w wyrwach ziemnych i drżeli od zimna i febry. Jakiś stary grenadyer kłapał gwałtownie zębami, nie wydając ani jednego głosu jęku, patrzył na przejeżdżających gasnącemi oczyma. Ludwik był tym

widokiem tak przerażony, że chciał już zsiąść z konia i nieść pomoc nieszczęśliwemu. Na szczęście jednak w tej samej chwili dwóch żołnierzy umieściło go na noszach i ponieśli dalej.

Po kilku chwilach Bernard trącił znowu Ludwika.

— Spójrz, jakie to straszne!

Przed nimi leżał młody człowiek o złotych włosach i rysach nawpół dziewczęcych. Z uchylonych ust zdawały się padać suche słowa skargi. Błagalnie spoglądał na żołnierzy, którzy zabierali rannych. I zdawało się, że jęczy cicho: „Dopomóżcie nareszcie!”

Ludwik nie mógł wytrzymać i, zeskoczywszy z konia, zbliżył się do nieszczęśliwego, aby mu pomódz.

Lecz jakiś brodaty grenadyer powstrzymał go od tego, mówiąc:

— Niema mu co pomagać, kto ma tylko jedną nogę i pierś kulami podartą, ten nie wróci już do Francji.

Nieszczęśliwy słyszał widocznie te słowa, które zabrały mu ostatni błysk nadziei, bo, wzdychając głęboko, patrzył na Ludwika.

Ludwik pochylił się nad nim i rzekł:

— Nie jest jeszcze tak źle, przyjacielu. Odwagi! Spróbuję cię podnieść i zanieść na wóz.

Ranny patrzył na niego z wdzięcznością i w gasnących jego oczach widać było błysk radości.

Ludwik z Bernardem podnieśli rannego, ale w tej samej chwili głowa jego opadła.

— Ach, moja matko! — szepnął zbielełymi wargami i ducha wyzionął.

— Nareszcie męczarnie jego skończyły się — rzekł Ludwik, widząc na zmęczonem obliczu uśmiech śmierci.

Kiedy znaleźli się w pobliżu orszaku królewskiego, zobaczyli znowu wyżyne, na której walka wczoraj, przy

reducie nieprzyjacielskiej, tak strasznie szalała. Całe pole zasłane były trupami. Rannych było stosunkowo mniej, gdyż od najwcześniejszego ranka pracowały tu setki żołnierzy.

Tem straszniejszy był jednak cały widok.

Rosyanie i Francuzi leżeli obok siebie pokotem. Widać było rany straszliwe, powyrywane członki leżały pojedynczo tu i owdzie. Ciała koni nawpół rozerwanych popadały na zabitych i rannych. Rozbite helmy, karabiny i szable lśniły się pomiędzy krwawymi zwłokami. Tu i owdzie widać było szczątki strzaskanych armat.

Było ciężko jechać tamtędy. Kopyta końskie uderzały co chwila o zwłoki, które często zdawały się jeszcze drgać życiem.

Cesarz zatrzymał się. Bystrem spojrzeniem ogarnął całe pole śmierci, ale wzrok jego nie był wzrokiem litości i smutku. Był to wzrok wodza, który bada pole bitwy. Zdawało się, że chce sam pozostać. Skinieniem ręki kazał oddalić się tym, którzy znajdowali się w pobliżu niego, tylko marszałek Berthier został i jechał z cesarzem dalej.

Sieniawski zawrócił ze swymi towarzyszami w tę stronę, gdzie wczoraj pułk jego po raz pierwszy dostał się w ogień bitwy. Z daleka widać już było polskie uniformy. Sieniawski rozglądał się uważnie dookoła, pragnąc znaleźć Piotrowskiego.

— Widziałem, że w tej okolicy właśnie padł.

Wtem na horyzoncie pojawił się Stanisław, który niebawem osadził konia przed Sieniawskim.

— Dostaliśmy rozkaz wymarszu, pułkowniku. Mamy rekognoskować wszystkie drogi do Moskwy prowadzące.

— Kto przyniósł rozkaz?

— Adjutant króla Neapolu.

— Czyście znaleźli żywność dla koni?

Stanisław potrząsnął przecząco głową.

— A więc konie są głodne.

— Trochę siana i nawpół zwiędłej trawy, to było wszystko, cośmy im dać mogli. Mamy jednak nadzieję, że znajdziemy coś lepszego w wioskach dalej położonych.

Kiedy jeźdźcy wydobyli się z pola bitwy, ruszono szybko, aby dopędzić pułk, który już wymaszerował. Za nimi leżało pole śmierci, a oni pędzili szybko, aby rzucić się znowu w niespokojną otchłań wojny.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.



KOLEGIUM NAUCZYCIELSKIE
w GLIWICACH

503686